



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumentie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

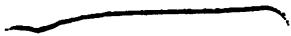
Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>







BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH.

№ 89.

PAMIĘTNIKI

Szymona Konopackiego



Z przedmową

J. A. Święcickiego.



Cena 30 c

W prenumeracie 2

ODPOWIEDZIALNY ZA REDAKCYĘ WE LWOWIE

Edmund Kolbuszowski.

Adres wydawnictwa: Lwów, plac Maryacki l. 4.

20 05

12/11/05

12/11/05

PAMIĘTNIKI
Szymona Konopackiego

Z PRZEDMOWĄ

J. A. Święcickiego.



WARSZAWA.
DRUKARNIA
Granowskiego i Sikorskiego.
47. Nowy-Świat 47.

BIBLIOTEKA SZCZEPAŃSKICH

Nf _____

Р. 711
Р. 712-3
...1

Дозволено Цензурою.
Гаршана, 26 Мая 1899 года.

PRZEDMOWA.

Szymon Konopacki urodził się 16 października r. 1790 na Ukrainie we wsi Wołodówce, którą ojciec jego, Prokop, trzymał czas jakiś prawem zastawnem. Gdy jednak tradycja rodzinna ciągnęła ojca na Wołyń, gdzie ród Konopackich, herbu Trzaska, oddawna był osiadły, nasz Szymon, przewieziony niemowlęciem do Szulajek, położonych pomiędzy Cudnowem a Romanowem, spędził tu lata dziecinne. Kształcił się naprzód w Międzyrzecu Koryckim w szkołach pijarskich, następnie w konwikcie ks. Dominikanów w Lubarze, pod kierunkiem księdza Wyszyńskiego i nakoniec znów w szkole międzyrzeckiej, gdzie przez swoją gorliwość w pracy i talent rymotwórczy zjednał sobie względy wyjątkowe ks. Seweryna Kulikowskiego, nauczyciela literatury polskiej i łacińskiej, a późniejszego prefekta liceum warszawskiego i tłumacza Liwiusza na język polski.

Ukończywszy w r. 1809 szkoły międzyrzeckie wstąpił Szymon do palestry żytomierskiej dla kształcenia się w nauce prawa przy głośnym wówczas mecenasie Nikodemie Szczepkowskim, a w dwa lata

później, jako młodzieniec, liczący zaledwie lat 21, wybrany został jednomyślnie podsejdem sądu ziemskiego zwiahelskiego, który to urząd, honorowy tylko, a więc bezpłatny, był wówczas godnością bardzo poważną. Szymon, mimo tak młodego wieku, zaszczytnie spełniał swe obowiązki, to też po upływie jednego triennium był jednomyślnie wybrany i na następne trzecie. Zrzekł się jednak, idąc za wolą ojca, tej godności i wyjechał do Warszawy, gdzie przyjaciel jego, poeta Alojzy Feliński, późniejszy dyrektor liceum krzemienieckiego, wyrobił mu miejsce sekretarza w komisji, wysadzonej przez Rosyę, Austryę i Prusy do uregulowania handlu i żeglugi we wszystkich prowincjach, składających Rzeczpospolitą przed r. 1772. Gdy po zwinięciu tej komisji Konopacki wrócił na Wołyń, mianowano go prokuratorem funduszów edukacyjnych liceum krzemienieckiego, po słynnym prawniku Borkowskim. Po trzech latach gorliwej i użytecznej pracy na tem stanowisku przyjął z wyboru urząd podkomorzego zwiahelskiego i spełniał go przez długie lata ku powszechnemu zadowoleniu.

Wreszcie szlachta wołyńska, oceniając wykształcenie i nieskazitelny charakter Konopackiego, powoływała go na presea izby cywilnej wołyńskiej (1844 roku) i na marszałka powiatu zasławskiego.

„Zmęczony nareszcie długiem urzędowaniem — pisze w roku 1869 w „Tyg. Ilustr.“ sąsiad i przyjaciel Konopackiego, Tadeusz Jerzy Stecki—i obywatel-skiemi posługami, usunął się od nich Konopacki i w cichej wiejskiej ustroni w powiecie zasławskim, we wsi Ławrynowicach, od lat kilkudziesięciu jego

dziedzicznej, otoczony dziećmi i wnukami, gronem przyjaciół i sąsiadów, pomimo późnego wieku, z zamiłowaniem wciąż jeszcze literackiej oddaje się pracy. Wybitnie charakteryzują go, typ prawie z niego tworząc, pamięć i rzeźwość młodzieńcza, oraz ujmujący dar słowa, zwłaszcza, gdy o dawnych dziejach rozprawia. Czystość i poprawność języka, prawdziwy purytanizm w przestrzeganiu form jego, cechują w nim człowieka oddalęńszej epoki. Kiedy mówi, zdaje się jakby Książnin lub Niemcewicz, z grobów powstawszy, przemawiali. Od bardzo dawna pisze *pamiętnik* swego życia, *niezawodnie ciekawy i pełen interesu*, ale to księga zamknięta, o której innym zapewne mówić kiedyś przyjdzie.“

Gdy Stecki pisał słowa powyższe, starzec prawie 80-letni, zapewne ani przypuszczał, że w 11 lat potem inny biograf Konopackiego, Eustachy Śleszyński, będzie w „Kłosach“ (r. 1881) kreslił ciepłą sylwetkę żyjącego jeszcze staruszka.

„Ożeniony w r. 1826 z Klementyną Łażnińską, podkomorzanką ostrogską—mówi biograf Konopackiego E. Śleszyński w r. 1881 — został ojcem kilkorga dzieci; a ta słodczy charakter, ta dobroć, ta wyrozumiałość dla ludzi, ten niewypowiedziany spokój ducha, który wszyscy bliżsi znajomi w 90-letnim dziś starcu podziwiają, nadawały zawsze rozrzewniający charakter patryarchalności rodzinnemu jego kółku. Podając szczegóły z życia sędziwego naszego patryarchy, literata, pośrednika w sprawach zawitych, urzędnika wyborowego, chciałem jedynie oddać hołd należny czcigodnemu mężowi, którego cały żywot może służyć za wzniosły wzór cnót rodzinnych

i obywatelskich pokoleniu młodemu. *Najciekawszem bezwątpienia dziełem jego będą pamiętniki*, do których długi, a tak czynami wypełniony żywot i wielka znajomość miejscowych stosunków i ludzi obfity materiały nagromadziły.

Otóż pierwszą część tych „Pamiętników“, o których obaj wzmiankowani biografowie wspominają, przewidując, że będą one najcenniejszą po Szymonie Konopackim spuścizną, dajemy dziś czytelnikom „Biblioteki“, w przekonaniu, że znajdą w nich niemało rysów charakterystycznych do tej epoki, która jakkolwiek niezbyt odległa, jest wogóle u nas najmniej znana.

Na zakończenie dodać musimy, że Szymon Konopacki już w latach młodzieńczych pisał wiersze liryczne w duchu romantycznym, które, przedrukowane dwukrotnie w r. 1841 w jednym tomie, zjednały autorowi popularność. Prócz poezyj oryginalnych i tłumaczeń z obcych poetów, pisał Konopacki dużo rozpraw i artykułów treści historycznej i archeologicznej, rozsianych po wszystkich pismach krajowych, a także w „Encyklopedyi powszechnej“ Orgelbranda.

Najobszerniejszą pracą Konopackiego jest *Chronologia dziejów Królestwa Polskiego dla młodego pokolenia* (Żytomierz, 1860, 2 tomy z Dodatkiem). Umarł w r. 1884.

J. A. Świącicki.

Uczucioxy pogląd na przeszłość

w lat 82.

W S T Ę P.

Mówią, że człowiek, dożywszy zgrzybiałej starości, zaczyna stopniami słabnąć na umyśle i nieznanie cofa się do dziecinnych pojęć. Przykłady wielami stwierdzone, mogły to podać za niezbitą prawdę. Z tem wszystkim, dwa lata już upłynęło, jak zacząłem dziewiąty krzyżyk lat moich, a wrażenia doznawane w młodości, mimowolnie w pamięci utkwione, jakby w zwierciadle odbijają się dziś w mej duszy, i żadnej nie dostrzegam różnicy pomiędzy uczuciem, niegdyś obudzonym przez rzeczywistość, a dzisiejszem jej rozpamiętywaniem. Pamięć przeto jest niewyczerpanym lat sędziwych skarbem. Ztąd w miłe wspomnienia zamożny, nie powiem z mędrce starożytnym na tronie, że aż do cnoty, wszystko jest marnością.

Humorystyk, Wawrzyniec Stern, ku ludzkiej uciezce opisał sentymentalną podróż swoją do Francji i Włoch. Ja cichutko dla siebie zamierzam przebiez wspomnieniami odbytą pielgrzymkę domowego życia. Utrzymam w tajemnicy przed światem ten pamiętnik najmiłszych i mniej miłych zdarzeń z sumiennym dziś o nich sądem. A jeśli jeszcze rok ja-

ki Bóg mi żyć przeznaczył, odczytam to kiedyś i ciekawie badać będę, czy tezsame o rzeczach mniemania, jakie tu zapiszę, trwać będą i nadal. Posłuży to za wskazówkę mego postępu ku dziecińskiej starości.

Przyjście moje na świat.

Urodziłem się za czasów Rzeczypospolitej polskiej na Ukrainie, dnia 16 października n. s. 1790 roku, we wsi Wołodówce. Wiedzieć należy, iż ojciec po skończonych naukach u Pijarów lubieszewskich i po sposobieniu się ówczesnym obyczajem do prawnictwa przy palestrze łuckiej, unikał niemilej mu macochy, jako pieszczony jedynak z pierwszej żony mego dziada Józefa, i dlatego wymknął się z wotyńskiej odwiecznej siedziby rodzinnej, powiatu Łuckiego, na dalszą ziemię ukraińską, gdzie, mając udzielony sobie od ojca niewielki kapitał, trzymał w województwie Kijowskiem za arendownym kontraktem naprzód wieś Turbijówkę, i jako w niedalekie sąsiedztwo, dojeżdżał często do państwa skarbnikowstwa Garbowskiich. Nakoniec 1783 roku ożenił się z ich synowicą, panną Ludwiką, cześnikówną żydaczewską. Przystęp do tego związku był niespodziany i przypomina wiersz Krasickiego: „Poznał Irenę, i sam się ożenił.“ Sto tysięcy złotych w złocie, licząc jak wówczas dukat po złotych osiemnaście, dał Kajetanowi Ilińskiemu, staroście żytomierskiemu, i prawem zastawy wziął od niego w siódmym procencie od swej sumy, dwie wioski: Szulajki i Racie, pomiędzy Cudnowem a Romanowem, należące jeszcze wówczas, jak i Żytomierz, do województwa Kijowskiego. W pół roku od przyjścia mego na świat przybyłem na rękę mamki z rodzicami mymi do Szulajek.

Domowe wychowanie.

Słyszałem o takich, którzy pamiętali wypadki jakoby poprzedniczego ich życia, to jest doznane przed powtórne na świat ich przyjściem. Dziwne przekonanie o wędrówce dusz ludzkich, nazwanej metampsuchozą wedle wiary staro-indyjskiej, ponawia się i dziś jako główna zasada spirytystów. Nim kiedyś w swoim miejscu nadmienię o nich, przywiodę tu zdarzenie odpowiednie tej zasadzie. Ośmioletni chłopczyk, syn zamożnego domu, znanej mi rodziny, będąc z matką w Odessie, gdy tam w jednym z magazynów rozpatrywał iluminowane widoki miast włoskich, ozwał się do matki: „Mamo! ja w tem mieście byłem.“ „Tak ci się zdaje — rzekła mu — wszakże mógłbyś być tam tylko ze mną, a ja w tem mieście nigdy nie byłam; to Neapol.“ „Ja zapomniałem jak się to miasto nazywa, ale znam dobrze wszystkie te kościoły i pałace. Przypominam sobie, że w jednej tam kaplicy jest w dwóch flaszkach cudowna krew jakiegoś świętego. O! znam dobrze ten Neapol, bo tam mieszkałem wprzód niż u mamy.“ Zdziwiona, ale rozsądna matka, powiedziała mu tylko: „Marzy ci się nie do rzeczy.“ Słyszałem o drugim podobnie dziwnem odrodzeniu się nie ewangelicznym, nie w duchu, lecz w ciele. Niegdyś bywałem dość często w Sławucie po zamieszkaniu w Ławrynowcach. Raz ś. p. ksiązę Eustachy Sanguszko (który umarł we wrześniu 1844 roku), mówił mi o ściszej przyjaźni, jaką miał z pułkownikiem Józefem Poniatowskim z Tahańczy i ztąd opowiadał mi, że kiedyś Poniatowski na wzmiankę o Kamieńcu, odezwał się: „Od urodzenia mego nie byłem w tem mieście, a przecież znam najdokładniej wszystkie domy, kościoły, ulice i zaułki, i mógłbym plan całego miasta zrysować.“ Ksiązę zapytał go: „Czy tak dokładne opisanie Ka-

mieńca czytałeś?“ „Nie; ale całe to miasto z jego szczegółami utkwiliło mi w pamięci z owych czasów, nim urodziłem się człowiekiem, to jest kiedy byłem kawką, i nieraz w licznym towarzystwie kawek ponad Kamieńcem przelatywaliśmy.“ Takie nieprawdopodobne urojenia mogą przecież marzyć się ludziom; a nikt z żyjących nie pomni pierwszych dni życia w kolebce. Dusza w pieluszkach śpi jeszcze i chociaż dziecku przy piersi matki zdarzają się wrażenia miłe lub wstrętne, które objawia uśmiechem lub płaczem, to przecież wrażenia lekkie, przelotne jak motylek, nie gnieźdzą mu się w umyśle, i sądu o nich niema. Organa niezupełnie rozwinięte podobne w niemi są do instrumentu ze świeżo nawiązanymi strunami, którym braknie koniecznego stroju, a bez czego najbieglejszy artysta grać nie zdoła. Tym artystą w dziecku jest śpiąca dusza, która w niemi czeka rozwinięcia władz umysłowych. Wychowanie przecież prawie od pierwszych dni życia zwykle się zaczyna. Z nieustannych czuwań, metodycznie powtarzanych nad dzieckiem, powstają nieznacznie stopniowane ku jego dobru nawyknięcia. Pierwsze dzieje owego czuwania nad nami, tak machinalnie wpływowe, nie zostawiają śladów w organach mózgowych, i ztąd przeszłości niemowlęcej nikt pamięcią nie dosięgnie. Zdarzenia lat pierwszych marzą mi się jakby senne, ale daty nie wcześniejszej, jak od pięciu lat życia. Oto przywodzę sobie przybycie do rodziców moich pani skarbnikowej Garbowskiej z Ożarówki, stryjenki matki mojej, z którą nazajutrz byliśmy w cerkwi szulajeckiej na nabożeństwie niedzielnym. Było to widocznie za czasów trwającej tu jeszcze unii i w porze letniej, bo przed wyjazdem jadłem dużo wisien. Ubrano mnie najparadniej, w błękitny grodeturowy kontusik z czarnym aksamitnym kołnierzem i mankietami, biały kitajkowy żupan i złocisty pas z frędzlami, przypasano mi i karabelkę z drewnianą klingą w porządnej czarnej pochwie. Słowem, tak ustro-

o w kompletny mundur województwa Kijowskie-
 abrała mnie babunia do swej karety. Nim zdą-
 ny do cerkwi, zbytek wisien najniespodzianie
 chnął na jaw. Narobiłem psoty i obiciu karety
 n suknem i całej paradzie mego munduru.
 wypadek, ze względu na wiek mój, nadzwyczaj
 y, nie dał się zapomnieć. Z tychże czasów w pamię-
 j zostało wejście Rosyan w okolice naszą; bo też
 nie nastraszył mnie Doniec z rudą potężną brodą
 ką w rękę, gdy znieńacka wszedł do pierwszego
 u, gdzie sam bawiłem się, ciągnąc nitką uwiązane
 t małe saneczki. W tymże roku pomnę, że
 mój, który mieszkał w Hołuzyi, w powiecie Łu-
 umarł, jak doniesiono mojemu ojcu. Było to
 w pięciu moich latach, jak później przekonałem
 o jest 1795 roku. Wrażenie o tej śmierci do-
 o ztąd w mej pamięci, że się wymykał przed
 cą mojej matki, która kazała zdjąć ze mnie
 oną, po letniem ubraniu opasującą mnie wstąż-
 a opasać czarną, i gdy schwycony, upornie
 aniałem się, to służąca, panna Przeorska, pokaza-
 i w drugim pokoju ojca mego nad listem z Ho-
 i szepnęła mi w ucho: „Widzisz, że tatko pla-
 ło twój dziadunio umarł, i teraz wszyscy tu
 będą ten czarny kolor.“ W jesieni tegoż roku
 ątne są dla mnie urodziny młodszego o lat pięć
 nie brata, ś. p. Franciszka, który lat temu dzie-
 najniewinniej oskarżony przez niegodziwego
 zieka, we wsi własnej Gizewszczyźnie, za wy-
 i w 1863 r., do których osobiście bynajmniej należeć
 nóg, umarł w Żytomierzu, następnego 1864 roku.
 leści ztąd mojej, tajonym przedemną zgonie mego
 anego brata, obszerniej napiszę, jeśli pilnując lat
 dożyję tej daty. O przyjsciu na świat ś. p. Franci-
 łatwo mi było pamiętać ztąd, że gdy księdza
 wieziono, a nie było naprędce kuma, ja z ciotką
 , Wiktoryą Budzyńską, trzymałem go do chrztu,
 st kazano mi dotykać ręką poduszki podtrzymy-

wanej przez ciotkę, gdzie trzydniowy braciszek mógł leżeć. Była to wielka dla mnie uroczystość, zwano mnie bowiem chrzestnym ojcem Franusia. Kochałem go też zawsze jakby podwójnem uczuciem, i on mi poczciwie dowodził przez całe życie niezachwianego braterskiego przywiązania.

Miałem, zda się, już lat sześć, gdy kochana matka zaczęła uczyć mnie abecadła. Jej pracy nademną winienem naukę czytania i pisma; a chociaż całego rodzeństwa było nas pięcioro, nie pojmuję, czemu dziś nie pamiętam, kto uczył początkowo starszego o lat pięć brata mego, ś. p. Antoniego, i starsze od mnie dwie siostry moje: ś. p. Anastazyę, która w późnym wieku umarła panną 1864 roku, i ś. p. Katarzynę, która była za Stanisławem Duninem. Własną tylko początkową naukę dobrze pamiętam, jak nieraz siedząc przy matce za stolikiem nad elementarzem, patrzyłem chciwem okiem na jabłko lub gruszkę tuż przedemną, do których nie miałem prawa aż naznaczone kilka wierszy bez omyłki przesyłabizuję.

W skończonym roku siódmym dobra matka sposobila mnie sama do spowiedzi. Mielismy w tym celu jechać o milę od nas do wsi Michałówki, gdzie mieszkała matka Wojciecha i Antoniego Budzyńskich, wdowa, lubo na twarzy zgrzybiała starszka, jednak zawsze wyprostowana, wzniosłej postawy, w ubiorze Karmelitanek, stolnikowa Budzyńska. Wierną jej była rezydentką panna Paszkiewiczówna, podobnie starszka. Przy dworze, pod tymże dachem, była kaplica i tuż pokoik, gdzie mieszkał stary kapelan Dominikanin, ksiądz Ludwik. Przed naszym tam wyjazdem matka moja jeszcze mi powtarzała, co to jest spowiedź i jak rzetelnie mam jej dopełnić; dla próby zaś, czy pamiętam, co trzeba mówić, przystąpiwszy do konfesyonału, kazała mi przeżegnać się i mówić głośno, jak mnie nauczyła. Spełniając ten rozkaz, zacząłem od krzyża świętego: „Miąca i syna.“

— Co ty gadasz? — zawołała matka. — Mów:

Imię Ojca! — I obszernie zaczęła mi tłumaczyć tak jasno, tak do pojęcia, co to jest Bóg wielki, a pełen łaski i dobroci, który pozwala mianować się Ojcem naszym, że od tej chwili umysł dziecinny, już cokolwiek rozwinięty, schwycił na wiek cały niezachwianie dotąd prawdy wiary naszej. Łotrowało się też zasem odpowiednio temu wiekowi. Gdy się zdarzyło silniej jakąś psotą zawinąć, matka natychmiast dała mi to uczuć, nie wzywając mnie pieszczotliwie „Szymciu“, ale temi słowy: panie Szymonie! To „panie“ było dodawane dlatego pewnie, aby nie mylano, że matka wzywa furmana, który miał moje imię. Raz pomnę w czemś przewiniłem i mało dbając, co na to kto powie, bawiłem się na dworze odbieraniem z kory laseczki tylko co ściętej w ogrodzie.

Wezwany tak ostrym sposobem, zastałem matkę z dyscypliną. Skoro na progu stanąłem, wzięła mnie za rękę i zaczęła owemi rzemykami smagać mnie po plecach, a ja, jakby żartując z tej kary, podobniez dotykałem zlekka laseczką po plecach matki, i tak dwa lub trzy razy okręciliśmy się w kółko. Wrazu uśmiechnęła się tylko. Ale raptem przybrawszy twarz surową, rzekła: „A to tak pamiętasz z katechizmu przykazanie Boże: czcij ojca i matkę swoją! Nie zapomnij-że spowiadać się z tego, bo jeśli nie wyznasz przed księdzem, żeś rękę podniósł na matkę, jeśli nie dopełnisz za to pokuty, to kiedyś Bóg cię może ukarać, że nie doznasz uszanowania od swoich dzieci.“ Gdyby kochany ojciec był nadszedł na tę scenę, pewniebym uczuł silniejszą jego rękę przy użyciu tej dyscyplinki.

Oboje rodzice nasi byli nadzwyczaj pobożni, zarówno kochając nas pięcioro bez żadnej różnicy, wzorowem, chrześcijańskim życiem, religijne wpajałi uwagi. A ileż to troskliwości o nas! ile nieraz śłopotów przynosiliśmy!

W owych siedmiu latach życia okropną miałem

przygodę. Było to zimową porą. Szczęściem mnie, nadjechała z Wyszczykus ciotka moja, Wiry Budzyńska. Wedle tej pory ubrany byłem w jowy niebieski surducik, u którego z przodu ost guzik, bają obszyty, w części był wytarty, tak, z pod obszycia drewniany wyglądał guziczek. chciało mi się wydobyć go do reszty, z bał. stawszy w garderobie szpilki, zacząłem sam je w pokoju dlubać nad tą robotą z otwartą gębą. trzeba nieszczęścia, że mi szpilka z ręki prysnęła pr w gębę. Sądząc, że upadła na ziemię, schyliłem aby ją odszukać, ale raptem uczułem, że mnie s ukuła w gardło. Krzyknąłem na to z płaczem. I ka moja z ciotką wbiegły z drugiego pokoju. (wiedziałem, jak można było przy bólu, co się s Na to matka przerażona cofnęła się, załamawszy ce, i w drugim pokoju, szybko chodząc, głośno y wała: „Święty Antoni, ratuj!” A ciotka, nie tr przytomności, całą swą rękę włożyła mi w g i nie mogąc schwycić szpilki, aby ją wydo pchnęła ją dalej, tak, że wyszła mi z gardła pe główką w głąb dalszy. Już nie kole, zawołałem dowany, i ujrzałem na poczciwej ręce wydół z mojej gęby, dość głębokie a prawie krwiste z od moich zębów. Bóg dobry uchronił mnie od z następstwa z tej szpilki.

W siódmym roku lat moich zjazd u nas nadzwyczaj liczny w dniu imienin mojej matk jest dnia 25 sierpnia 1797 roku. Przybyli spo wani i niespodziani goście z dalszych nawet ol mnóstwo krewnych i przyjaciół, ojciec mój boi obszerne miał po Wołyniu stosunki. Na tenże (był wezwany eks-prowincyał zakonu Dominika powszechnie poważany przeor klasztoru lubarsk ksiądz Dominik Wyszyński, dla ochrzczenia z monii trojga nas razem: siostry mojej Katarz mnie i brata mego Franciszka, jeszcze wówczas rękę mamki. Ten cały balik z tańcami, a miar

cie obrzęd chrztu z ceremonii przy zapalonych w dzień świecach, mocno mi utkwiał w pamięci. Któżby uwierzył, że niezatarta pamięć o tym tak uroczystym obrzędzie, w lat blisko czterdzieści później stała mi się jedyną pomocą do otrzymania dekretu z Heroldyi, kiedy oboje rodzice moi już dawno nie żyli. Wyjaśnię to pod właściwym temu dekreto-
wi rokiem, jeśli dożyję do opisu owej daty.

Powtarzały się dość często podobne zjazdy w cichych dziś Szulajkach, a to bądź w dniu imienin mojej matki, bądź w dniu 4 lipca, na imieniny mego ojca. Trudno wyrazić, jak raz mocno byłem zdziwiony, gdy w lat kilkadziesiąt po śmierci rodziców moich znalazłem w „Dzienniku Warszawskim“ z 1863 roku pod N. 122 artykuł: *Gderania pana Podstolego*, z podpisem Michał J., gdzie pan podstoli zaczyna od tych wyrazów: „Niedawno znajdowałem się na imieninach pana starosty Konopackiego.“ I dalej opisując zjazd liczny tak poważnych wiekiem obywateli, jako też młodzieży, nadmienia, że: „po serdecznych uściskach, powitaniach, bawiliśmy się poważną rozmową, nie brakło wątku, gdyż w parę tygodni następowały żytomierskie wybory¹⁾; było więc o czym pomówić, zastanowić się i obradzić etc. etc.“ Następnie wychwala dawną szczerą gościnność szlachecką, a gderze aż do końca na pochwycone przez młodzież obyczaje nam niewłaściwe z zagranicznych wzorów. Na tych u mego ojca w lipcu, w dniu jego imienin, zjazdach, zwykle liczniejszych co trzy lata, oprócz życzliwości dla solenizanta, było istotnie ważnym dla Wołynian przedmiotem naradzanie się względem obioru obywateli na wyższe urzędy, jakoto na marszałka gubernialnego, na prezesa głównego, jak wówczas, sądu obu departamentów i na deputatów, w nich zasiadających. Ojciec mój, połączony

¹⁾ Wybory wołyńskie odbywały się zwykle w lipcu, a od roku 1838 zaczęły odbywać się w maju.

z wielu współziomkami bądź powinowactwem, bądź przyjaźnią, czynnie i przeważnie wpływał do tej rady. Nieraz też i w Żytomierzu, wśród agitujących się wyborów, gdzie już ja nietylko wotowałem z łuckiego i nowogród-wołyńskiego powiatu, ale powiatowym już byłem urzędnikiem, patrzyłem na to, jak ojciec mój odbierał wizyty bogaczy, zalecających się daremnie do którego z naczelnych w gubernii urzędów. Ale anachronizm „Gderania pana Podstolego“ tak mnie zaintrygował, że z odezwą moją o rozwiązanie tej zagadki udał się natychmiast do szanownego, w Warszawie mieszkającego, senatora Skibickiego, który uwiadomić mnie raczył, że autorem powyższego artykułu jest pan Michał Jeziński. Nowe zdziwienie! Wiem bowiem najdokładniej, że ten zaszczytnie znany z pism swoich literat nigdy nie był w domu ojca mego, ani też nie jest znany nikomu z rodziny naszej. Ktoś tylko z okolicy naszej mógł wystawić przed nim dom mego ojca, jako typ szlachecki, pozostały z czasów, kiedy szanowano jeszcze krajowe nasze obyczaje. Za ten obraz domu rodziców moich, z całą rzetelnością zdjęty, szczerą autorowi wdzięczność dochowuję.

Okolo lat ośmiu umiałem już czytać i w dwóch liniach jako tako pisać, gdy w Wyszczukach wujostwo moi, Budzyńscy, przyjęli do swej dziewięcioletniej córki, Zuzanny, nauczyciela, pana Szostakowskiego, i skłonili rodziców moich, aby nas troje, to jest moje dwie siostry i mnie, przywieziono tam dla pobierania łącznie z ich córką nauki. Pamiętam tylko, że więcej tam było zabawy, niż ślęczenia nad książką. Pan Szostakowski rysował bukiety, nawodzone wodnemi farbami, i coraz nowe rozdawał nam czworogu, a my w zachwycie nad tą sztuką, podziwialiśmy czerwone i niebieskie kwiatki. Nie więcej jak w pół roku, rodzice zabrali nas z Wyszczuk, bo zdarzył się Francuz, a moda pomiędzy obywatelstwem już

wówczas krzyczała na gwałt o języki obce, mianowicie francuski.

O trzy wiorsty od moich rodziców, we wsi Stołpowie, mieszkała natenczas księżna Ponińska. Ojciec mój dowiedział się, że z powodu wyjazdu jej za granicę, oddalony nauczyciel Francuz, szuka miejsca. Wezwał go więc słownie przez posłańca. Przybył natychmiast pan Defleury, emigrant, rojalista z rozlokowanej około Dubna armii Kondeusza. Starzec ten osmdziesięcioletni, ołysiały, jednooki, wcale nie udawał, jak wielu wówczas z jego rodu, ani hrabiego, ani też wielkiego mędrca, z upodobań zaś jego wnosić wypada, że należał do profesyi ogrodników, bo celował w umiejętności szczepienia drzew owocowych, pielęgnowania szparagów, wybornej salaty i słodkiego, olbrzymiej wielkości grochu; a w obyczajach prostakiem był zupełnym. Po dość trudnem porozumieniu się z nim ojca mego, bo Francuz mało znał wyrazów polskich, a po łacinie nie umiał, językiem zaś jego nikt jeszcze u nas nie mówił, przyszło jakoś do ugody, przy której zastrzeżona była nauka dla nas trojga i dla ciotecznej siostry naszej, Zuzanny Budzyńskiej. Pomnę, że przy umowie ojciec mój zrobił uwagę, iż dzieci będą miały trudność wielką ztąd, że one jego, a on ich rozumieć nie może. Francuz uśmiechnął się na to i powiedział: — Dobra, dobra! no prosilem. — Położył tabakierkę na dalekim stoliku, odszedł od niej, usiadł i ozwał się do mnie, wskazując na stolik:— *Simon! donnez moi ma tabatière.*— Łatwo się to zrozumiało wskazaniem na stolik, wyrazem *donnez*, podobnym do „daj“ i *tabatière*. Francuz w tryumfie ucałował mnie, gdym podał mu tabakierkę. Z tem wszystkiem pobożny ojciec nasz w obawie, aby cudzoziemiec nie zachwiał w nas położonych już zasad religii, doradził mu ku prędszemu pojęciu języka jego, aby rzecz przez nas najlepiej po polsku pamiętana, to jest *Ojciec nasz*, najpierwej codziennie przed

lekcją mówił nam głośno po francusku, a my gdy tę modlitwę za nim powtarzać będziemy słowo po słowie, to znany nam pacierz może ułatwić pojęcie języka. Francuz uznał słuszność tej rady; ale później wyśmiewał przed nami codzienne godzinki, które po lekcji porannej przed obiadem zwykle odmawialiśmy z rodzicami.

Przybyła do nas cioteczna siostra nasza, Zuzia, więc we czworo zaczęliśmy brać lekcye, zaczynając zawsze od *Notre Père*. Po jego dyktowaniu z pamięci pisaliśmy w dwóch liniach potoczne, Bóg wie jakie, rozmowy francuskie. Szło to z początku z wielkim jego i naszym kłopotem, bo musiał prawie ciągle dyktować literę po literze; ale po trzech miesiącach takiej pracy już umieliśmy niektóre wyrazy bez jego przewodnictwa dość trafnie po ich wymówieniu napisać, chociaż wiele wyrazów nie rozumieliśmy w tych rozmowach. Ojciec mój, dowiedziawszy się o tem, nabył od sąsiada dykcyonarz Trotza w czterech tomach w skórę oprawnych, które dotąd są u mnie.—Szanujcie dzieci te książki—ojciec mój mawiał—bo drogie; zapłaciłem za nie cztery czerwone złote.—Ile ten Francuz przynosił przykrości moim rodzicom, ile dał do przetrwania w cierpliwości przez miłość dla dzieci, opisałem to w jednym z pięciu listów, drukowanych w „Dzienniku Warszawskim.”

S z k o ł y.

W dziesiątym roku życia mego już płynnie czytałem po polsku i niezłem pisał; a przez dwa lata ciągle i nieodstępnie obcując z Francuzem, który mnie pieścił i z upodobaniem nauczał, mogłem już jako-tako rozmówić się w jego języku i niemylnie czytać. Brat mój starszy, Antoni, zostawał wówczas

nadal w konwikkie księży Karmelitów berdyczowskich przy publicznej ich szkole, gdzie razem byli młodszy dwaj synowie szwagrów mego ojca, Marceli, syn Wojciecha i Ignacy, syn Antoniego Budzyńscy; a gdy ich ojcowie odebrać mieli ztamtąd i odwieźć do Lwowa, gdzie starsi ich synowie, Kazimierz i Mikołaj, byli na nauce, ojciec mój, pomnąc o Pijarach, u których w Lubieszowie brał niegdyś wychowanie, skłonił szwagrów swoich do oddania tych młodszych synów do konwiktu Pijarów międzyrzeckich. Jakoż w roku 1800, w końcu sierpnia, Antoni Budzyński odwiózł do Międzyrzecza syna swego Ignacego i synowca Marcelina w towarzystwie ojca mego, który i mnie malca postanowił już oddać do publicznej szkoły. Umieszczono nas w konwikkie na piętrze, gdzie po licznych celach, w każdej pod nadzorem profesorów, było nas wszystkich 54. W tychże murach na dole było sześć klas i parwa. Cała ta szkoła publiczna miała wówczas mieszczących się po dworkach, pod dozorem panów dyrektorów (korepetytorów), licząc z konwiktorem, czterystu kilkudziesięciu uczniów. Ksiądz Kociurzyński był rektorem, ksiądz Damczewski, matematyk, był prefektem, a regensem konwiktu był ksiądz Żebrowski, u którego my trzej mieliśmy wygodną kwaterę w towarzystwie kilku innych, a to w sali ogromnej, na komórki podzielonej deskami oszalowanemi. Ja miałem na łóżko moje komórkę wspólną z ciotecznym bratem moim Ignacym Budzyńskim, starszym odemnie o lat kilka, który się mną opiekował. Obok nas miał swoją miluchny i powszechnie już wówczas kochany dziesięcioletni Jakób Cichoński, który na biedę, zajmował ją łącznie z Marcelim Budzyńskim. Jak ogień z wodą, nigdy się zgodzić nie mogli. Obaj Budzyńscy byli przyjęci do czwartej klasy. Nie pojmuję jak się to stało, ponieważ wielka musiała być różnica pomiędzy nimi co do postępu w naukach: Marceli o wiele nie wyrównał Ignacemu. Ja, początkujący,

byłem w pierwszej klasie, gdzie się uczył gramatyki Kopczyńskiego, że „różnymi się ludzie od zwierząt rozumem i mową,“ i moralnej nauki: „Gdy się sparzysz od ognia.“ Cichoński, więcej niż ja przysposobiony w małej szkółce Misyonarzy zaślawnickich, chodził już do klasy drugiej i wzorowo, jak zawsze, się uczył. Nie dziwiono się więc ciągłym sporom pomiędzy nim a Marcelim Budzyńskim, który często zaniedbywał lekcję, a nieraz pod pozorem zajęcia we właściwej porze do klasy wymykał się z fuzyjką pod płaszczem na ptaszki, za co ksiądz Żebrowski, schwyciwszy go na tem zbroczeniu, uwolnił go wprawdzie od kary, jako po raz pierwszy, ale mu fuzyję skonfiskował.

Lecz któryż z mędrców świata nie podlega jakiejbądź słabostce? Ksiądz regens obok naszej sali w osobnej stancyi o drzwiach do nas otwartych, grywał na skrzypcach, z widocznem zamiłowaniem swej jakoby biegłości, i ani się domyślał, że to rzepolenie razilo nam uszy, a jakby niedość nam na tem, Marceli, ów winowajca, brał u muzyka z pałacu pana Steckiego początkowe lekcye na tym instrumencie. Pamiętam, że on raz cichaczem stanąwszy za regensem, w milczeniu słuchał gry jego, i po ciężkim pasażu, po skrzypieniu słuch kaleczącym, nie mogąc jakoby utaić swego uniesienia, ozwał się za nim:— Cudnie, precudnie! — Regens obraca się i z przymileniem rzecze mu: — Widzę, że ty chłopcze, umiesz poznać i czuć piękność muzyki; no, kiedy tak, to ci zwracam zato twoją strzelbę, ale schowajże ją na zawsze, bo surowo ukarzę cię, jeśli się kiedy z nią wymkniesz. — I wszedłszy do swej garderobki, wyniósł konfiskatę i oddał mu ją. A Marceli po niejakiem czasie w zmwowie z podobnym sobie, zrów cichaczem na ptaszki polował. Mój zaś opiekun Ignacy Budzyński był celującym w konwikcie tak z nauki, jako też z obyczajów, i w nagrodę tej nad wszystkimi przewagi, otrzymał gwiazdę wielkości dłoni, atła-

sową w błękitnym kolorze, z promieniami o hacie złotym, gdzie pośrodku był złotem wyszyty napis: *Dux juventutis* (Wódz młodzieży). Do tej dystynkcji mieli przystęp sami tylko konwiktorowie.

Z liczby ówczesnych kolegów moich zasięgam pamięcią najprzód mieszkających z nami pod okiem regensa: wspomnianego wyżej Jakóba Cichońskiego, Erazma Przebyszewskiego, Zarębę, chodzącego o kuli, Kazimierza Bętkowskiego i Seweryna Zborowskiego z młodszym jego bratem. Z innych stancyj konwiktu pozostali mi w pamięci: Karol Szwiejkowski, Adolf Dobrowolski, Leon ksiązę Czetwertyński, Kalikst Starzyński, Kazimierz Kaczkowski, Gawroński i Kazimierz Zawadzki. Oprócz tu wymienionych, wielu z reszty fizyognomie jeszcze nie zatarły się w pamięci, lecz nazwiska ich już dla mnie na zawsze zgięły.

Co do nauki wówczas mojej, pomagał mi wiele brat mój cioteczny, ów udekorowany „Wódz młodzieży,” a errata codziennie w klasie poświadczala, że się zaliczał do pilnych. Lecz ku końcowi kwartału skrofuły tak mnie silnie nacisnęły i takie miałem wyrzuty w ogromnych pryszczach po twarzy i na głowie, że doktor, zwykle wzywany do konwiktu, Babel, który później zamieszkał we Lwowie, a natenczas domowym był lekarzem dziedzica miejscowego, Jana Steckiego, chorążego w kor., polecił regensowi, aby mnie nie obarczano nauką. Do tej biedy przyłączyło się przy ciągłych lekarstwach i osłabienie do tego stopnia, że więcej bywałem w łóżku, niż na nogach.

O pięć mil od Międzyrzecza mieszkała we wsi Krzewiczach wdowa, wujenka mego ojca, pani Peretiatkiewiczowa, z trzema już dorosłemi córkami: Antoniną, Benigną i Teklą. Zmarły mąż tej wdowy, Tomasz, był rodzonym bratem matki mego ojca, Antoniny z Peretiatkiewiczów Józefowej Konopackiej. Staruszka ta wielką tchnęła przychylnością dla n.oich

rodziców, a dowiedziawszy się z korespondencyi od nich, że mnie oddano do konwiktu Pijarów razem z krewnymi moimi dwoma Budzyńskimi, odniosła się naprzód do moich rodziców, aby nas mieć w swoim domu na zbliżających się świętach Bożego Narodzenia, a we właściwym na to czasie przysłała ogromne z budą sanie, aby mnie i dwóch krewnych moich zabrać do Krzywicz. Ja, jako wówczas cokolwiek zdrowszy, przechadzałem się już. Doktor jednak nie radził narażać się na mroźne powietrze z opryszczoną twarzą. Ksiądz regens na odebrany list od pani wojskiej z Krzywicz odpisał, donosząc jej, dla jakich powodów jechać nie mogę, a zezwolił na tę podróż Budzyńskim. Po latach kilkunastu dowiedziałem się tam, że opieszały w naukach Marcelli zbyt skore okazał usposobienie do miłości, bo w Krzewiczach szalenie zakochał się w pięknej pannie Benignie, która w lat kilka później wyszła za Wicentego Postruskiego, chorążego rowieńskiego.

W początkowych miesiącach 1801 r., gdy znacznie pocieplało, mój ojciec zawiadomiony, że jeszcze nie chodzę do klasy, przybył i zabrał mnie do domu z twarzą okropnie przez wyrzuty oszpeconą. Matce mój zdawało się, że te wyrzuty cierpiał ztąd, iż w niemowlęctwie miałem nie więcej, jak tylko dwa przyspane ospy naturalnej, a szczepienie jej nie było jeszcze w użyciu. Nie spełna więc pół roku byłem tym razem w szkołach Pijarów międzyrzeckich.

W domu, ze skłóci rodzice moi nie chcieli ryzykować zdrowia mego na próby deradzanych środków i postanowili szukać rady doktora Menicha w Lubarze, o trzy mile od nas, który się odznaczał bardzo liczną praktyką i z niej do takiej przyszedł zażytności, że już zaczął być muirować ów o piętrze pałacyk nad Słucza, który stał się dziś godną rezydencją dziedziczkę Lubara, pani hrabiny Wodzickiej, z domu Karalskiej z Lubara. Ojciec mój powiósł mnie do pana Menicha, przyrzekł mu pewne wyna-

grodzie, najął dla mnie stancję i wikt u znanego sobie starca, chorążego byłej kawaleryi narodowej, pana Bagińskiego, gdzie doktor pysznemi końmi, w pięknej karyolce codziennie mnie wizytując, tak skutecznemi poił miksturami, że po kilku miesiącach i twarz mi się oczyściła i zupełne odzyskałem zdrowie.

W temże miasteczku Lubarze był w klasztorze Dominikanów, wspomniany wyżej, a poważany w całej okolicy ich przeor, zasłużony zakonu tego prowincyał, ksiądz Dominik Wyszyński, który pod koniec mego tam przebywania po kuracyi, naradziwszy się z ojcem moim, z marszałkiem powiatu Żytomierskiego, Marcinem Bukarem, mającym wówczas małoletnich dwóch synów, Jana i Adama, i z kilku innymi z okolicy obywatelami, postanowił otworzyć konwikt pod swoją inspekcyą, w murach na to dostatecznych, tuż obok klasztoru, gdzie za roczną opłatą pięćdziesięciu dukatów od osoby mają być udzielane nauki wedle programu szkół publicznych. Do spełnienia tego zamiaru księdza Wyszyńskiego najchętniej dopomogli mu obywatele. Rychło potem wezwał znanego sobie niegdyś z akademii krakowskiej, pana Daszkowskiego, na prefekta konwiktu, wyszukał Francuza i Niemca nauczycieli tych obu języków, a do wykładu matematyki, fizyki, historyi, literatury polskiej, byli w klasztorze Dominikanie do dawania nauk dość usposobieni; niektórzy z nich bowiem przybyli z Litwy i kończyli nauki w owoczesnej akademii wileńskiej. Otworzył się konwikt przy Dominikanach lubarskich 1802 roku, a pierwszymi od jego założenia uczniami byli dwaj Bukary, synowie Marcina, i ja trzeci. W przeciągu kilku tygodni wzmogła się liczba naszych towarzyszy do trzydziestu kilku; wielu bowiem odbierało synów swoich ze szkół berdyczowskich i tuż obok z publicznej szkoły Bazylianów lubarskich, aby ich w naszym konwikcie umieścić. Wedle postępu w nauce, jaki kto z nas okazał, do

odpowiedniej przeznaczono go klasy; ja z Bukarami należeliśmy do pierwszej. Lecz wkrótce młodszy Bukar, Adaś, obłożnie zachorował. Ojciec jego, nie porzestając na miejscowym doktorze Menichu, przysłał domowego od siebie lekarza, Michalka, głośnego później empiryka, który się nazwał Wojciechowskim. Wspomnę o nim niżej. Ale i ten, pomimo przyznawanej mu, a nabytej z praktyki biegłości, nie pomógł mu i miły Adaś, w samej jutrzence życia, zgasł pomiędzy nami. Po tym wypadku, starszy brat jego, Jan, zabrany był z konwiktu do innej szkoły publicznej.

Prefekt nasz, Daszkowski, stał mi się z wdzięcznością pamiętnym od lat dwunastu życia mego dotąd, dlatego jedynie, że nauki poranne klas wszystkich codziennie zaczynały się od modlitwy, którą on, starzec otyślały, klęcząc na czele nas klęczących, donośnym głosem odmawiał, a my za nim słowo po słowie powtarzali. Ta piękna modlitwa, zaczynająca się od wyrazów:—Boże mój, wierzę w Ciebie, wzmoćnij moją wiarę!—stała mi się, jak *Ojciec nasz*, nauczony przez matkę, jakby konieczną potrzebą mej duszy; i lubo dość długa, codziennie odmawiam ją przy pierwszym ocknieniu się ze snu, a to od owej daty przez całe lat 70. Niech mu za tę modlitwę Bóg wiekuistym szczęściem nagrodzić raczy! Po skończonym roku, Daszkowski, dla niewiadomej nam malcom przyczyny, opuścił nasz konwikt. Ja zaś byłem w nim ciągle lat cztery. Niektóre tam wypadki pamiętne wspomnieć tu należy. Zdarzały się w tym konwikcie nieporządki wynikłe z pobażania starszym uczniom, zwłaszcza familii bogatszych. W klasie pierwszej, Niemiec Sztrejł, oprócz swego języka, był nauczycielem łaciny. W czasie tej jego lekcji, raz wszedł z czwartej klasy konwiktora, Aleksander Maszkiewicz, w poufalej żyjący stosunkach ze Sztrejtem. Zasiadł pod piecem z fajką na krótkim cybuzku i w milczeniu słucha, jak który z uczniów umie

swoją lekcję. Ja stałem obrońcy plecami do niego i później dowiedziałem się, że mrugnięcie jego na profesora, ściągnęło karę na mnie. Byłem ubrany jak to pamiętam, w bardzo opięte spodenki. Pan Sztrejł zapytuje mnie, jak słowo *amo* będzie w czasie przyszłym? Niedobrze to pojąłem, czy o przeszłość, czy też o przyszłość bada, i zacząłem bąkać jak nieświadomy. Na mrugnięcie żartownisia Maszkiewicza profesor ozwał się: — Weźcie go! — Maszkiewicz porywa mnie za nogi, drugi z rozkazu Sztrejłta za głowę i położonego ściągnął mnie silnie kańczuczkiem, nie grubszym od pióra gęsiego, lecz który tak przylgnął do opiętych spodenek, że po dwóch uderzeniach spadłem ze stołka omdlały; może wpływał na to i przestach niedotkniętego dotąd żadną karą. Ale przytomny a okrutny na skórę polską Niemiec wnet znalazł ratunek. — Weźcie go znów! — krzyknął; i gdy silnie trzy razy tymże kańczuczkiem mnie uderzył, już nie spadając ze stołka, stanąłem na nogach rżewnem zalany łzami. Pierwszy to i ostatni raz, aż do zupełnego wyjścia mego ze szkół, tak mnie ukarano.

W lat kilkanaście później, już po dwóch odbytych przezemnie urzędowaniach, byłem w r. 1819 na kontraktach kijowskich. Tam w klubie zbliża się do mnie figura wysokiego wzrostu, w niedźwiedziach, wychudłej a bladej twarzy i poufale wita mnie temi słowy: — Jak się masz, mój kochany synu! — Zdziwiony tym wyrazem „synu“ od osoby mi nieznaney, powiedziałem mu: — Pan się mylisz, bo nie jesteś moim ojcem. — Och, Boże mój! nie wypieraj się mnie! Toż przecie pamiętasz pewnie, jak cię do chrztu trzymałem, gdy Sztrejł dopełniał tego obrzędu. — Aleksander Maszkiewicz? — zapytałem. Rzuciliśmy się sobie w objęcia, nie zdradzając, że to on był przyczyną ówczesnych gorzkich łez moich. Maszkiewicz natenczas, gdy go w Kijowie ujrzał, był tam prezesem sądu głównego wydziału kryminalnego. Po całych

nocach w karty grywał, jak mi mówiono, i ztąd blady, wynędzniały, wyglądał jak dezertor z katafalka. Lecz później grać zaprzestał, skoro w r. 1827, w Karlsbadzie grając w wista, wygrał od bankiera wiedeńskiego 25,000 dukatów. Ale nie dość na tem, był on wyraźnie ulubionem fortuny dzieckiem, upodobał go sobie bezdzietny, zda się, dziedzic Tetiowszczyzny na Ukrainie, bogaty Potocki, i ten majątek wypuścił mu jakby w arendowną posesyę, z warunkiem, aby odsyłał mu za granicę corocznie dziewięć tysięcy rubli srebrem, gdy inwentarz wykazywał dochód większy niż dwa razy tyle, a po śmierci dziedzica posesor miał się stać dziedzicem Tetiowszczyzny. Taka transakcja weszła z przyznania do akt sądowych. Stary Potocki po dwóch latach umarł za granicą, a Maszkiewicz został panem milionowym; lecz jako po nieżonatym, a przeto bezpotomnym, majątek jego dostał się sukcesorom jego siostry, która była na Podolu za Darowskim, podobno za owym głośnym z dekretu swego sędzią powiatu Kamienieckiego, o którym dla pamiątki wypada w treści nadmienić. Do owego dekretu sędziego Darowskiego dał powód następny wypadek. W Kamieńcu — w rynku, był właścicielem porządnej o piętrze kamienicy, kupiec Ormianin, już niemłody, a ożeniony z młodą i piękną Ormianką; na dole, gdzie kupiec najczęściej przesiadywał, był jego magazyn, a piętro było ich mieszkaniem. W tej kamienicy przeznaczono kwatere dla młodego, z pułkiem przybyłego, oficera. Po kilku dniach dobrze wychowany oficer czuł się w obowiązku oddać wizytę gospodarzowi. Od obojga uprzejmie przyjęty, powtarzał niekiedy wizyty i bywał przyjmowany w nieobecności nawet gospodarza. Lecz raz, a było to letnią porą, kiedy okna na piętrze były pootwierane, kupiec dla jakiejś pilnej potrzeby, wychodzi z magazynu swego w niezwyklej porze na górę, i ujrzał... o zgrozo! młodego oficera na kłęczkach przed jego żoną. Gwałtownie opanowany za-

irością, a barczysty i silny Ormianin, porywa wążych składów oficera i wyrzuca go przez otwarte okno na ulicę. Spada biedny oficer, niby anioł potępiony, z raju do piekła! Lecz w upadku na ulicęafia na przechodzącego włościanina i sam przez toez najmniejszego szwanku ocalony, łamie nogę bierniejszemu przechodniowi. Wytacza się rzecz do policy. Włościanin wzięty był natychmiast pod opiekę szpitala. Idzie o sądowe wynalezienie winowajcy. Sąd powiatowy rozwiązywał takie sprawy wedle praw Pruskich, które w naszych Zachodnich guberniach obowiązywały aż do roku 1842. Ta pierwsza instancja wyrażała w podobnych wypadkach opinię, a sąd główny pierwszego departamentu ją potwierdzał lub też zmieniał. Po ścisłym śledztwie i przejrzeniu odpowiednich praw i ukazów, sędzia Darowski wywindykował następną opinię:— Ponieważ wedle ukazu Piotra I, pod takim-to rokiem, każdy mieszkaniec miasta, mając wyrzucać z piętra przez okno sprzęt mu niepotrzebny, powinien do przechodzących ulicą głośno potrzykróć zawołać: „Strzeżcie się, strzeżcie się!“ i z wyprowadzonego śledztwa okazuje się, że powyższy kupiec Ormianin nie dopełnił tego postanowienia, przeto za sprzeciwienie się prawu ma zapłacić sztrafu rubli asygnacyjnych 25 i oprócz tego nie tylko ponieść koszt wszelki na kurację leżącego w szpitalu skaleczonego włościanina, lecz razem wynagrodzić mu stratę czasu odjętego zarobkom, jego stanowi właściwym. Oficer zaś wymieniony wyżej, nieświadomie spadł na ulicę, a mocą Boga uchroniony od wszelkiego szwanku, nie ma być pociągany do odpowiedzialności za złamanie nogi włościanina, na którego upadł.“

Ta sędzię opinia, jak świadczy pismo publiczne w obcym języku za granicą drukowane, po apealacjach przez kupca Ormianina, zanoszonych do coraz wyższych jurysdykcji, przeszła przez sąd główny, przez senat, aż do najwyższej władzy; i cesarz

Aleksander I własnoręcznym podpisem raczył opinię w stanowczy dekret zamienić

Ale rozgadawszy się o tak niepospolitym padku, za daleko odstąpiłem od pierwszej klasy i wiktu lubarskiego, od bolesnej tam mojej pierwej i ostatniej w szkołach przygody, jaką przyniósł przez swawolę szwągier sędziego Darowskiego, Aleksander Maszkiewicz. Lecz Bóg dobry na szali sprawiedliwości każde złe wynagradza dobrem. Słuchając chętnie współczucie, jakie po tej w dziecinnych latach przygodzie okazał mi kolega i rówieśnik mój w klasie, świętej a nieodżałowanej pamięci Józef browski, zawiązało pomiędzy nami ścisłą i przez jego życie niezachwianą przyjaźń, która w wielu okolicznościach była osłodą mego życia.

Z ważniejszych wydarzeń w tym konwiku pomnę o postrachu niepilnych, opieszłych młodych na wiadomość, w roku 1803 powziętą od profesora że spodziewany jest do nas wizytator szkół guberni Wołyńskiej, Podolskiej i Kijowskiej, Tadeusz Czajkowski. Jakoż ten głośny w kraju z nauki i gorliwości człowieka rozszerzenie wizytator zaszczycił w tym roku swoją tnością swoją nasz konwikt. Porozdawane niekiedy mowy powitalne w polskim, francuskim, łacińskim i niemieckim języku już na pamięć dobrze ułożyliśmy. Nauczyciel Francuz, uznając mój akcent za najlepszy, napisał mi mówkę z kilkudziesięciu wierszy, które z łatwością się nauczyłem. Czajkowski wszedł do sali w asystencyi poważnego wiekiem i sługą księdza Wyszynskiego i prefekta, księdza Piłkowskiego. Na pierwsze wejście uderzył profilem twarzy wizytatora, przypominający mędrca greckich; olysiała zbyt wcześnie, lecz w górę pochylona głowa, a przytem rzut jego wejrzenia na twarze tam zebranych, z ujmującą w twarzy słodyczą. Wyraziło się, że to wejrzenie było, jakby ojca cieszącego się widokiem własnych jego dzieci. Po mowie Czajkowskiego, którą miał przyjaciel mój, Józef Bobrowski,

na przez prefekta, który był razem w wyższych asach profesorem literatury polskiej, przysła kolejnie do mnie. Podeszedłszy dwa kroki ku wizytatorowi, kląknąłem się sunięciem nogi i uchyleniem głowy, jak mnie nauczono, i zacząłem mowę francuską. Czacki, z wrodzonym nadzwyczaj krótkim, aby znać z fizyognomii mojej dociec, czy rozumiem, co mówię, oparł swoje dwie ręce o trzynastoletnie moje ramiona, z przymileniem w twarzy słuchał, wpatrując się ciągle w moje oczy. Po ukończonych czterech mówkach przyszedłszy Czacki przemówił do nas, nausilniej zachęcając do nauk. Pamiętam dobrze, jak w końcu nadmienili, a cośmy nieraz nawet z dumą powtarzali sobie, że w nieszczęśliwym upadku narodu na nas polega dziś nadzieja okazania przed światem, że kraj nasz godny jest lepszego losu. I na tem skończyła się owa straszna dla niektórych z nas wizyta. Mówiono później, że Czacki na osobności podobno egzaminował samych profesorów i że w ogólności z konwiktu był zadowolony. Następnie co roku straszono uczniów opieszłych, że wizytator ma przybyć i że każdemu z uczniów ma badać o postępy w nauce. Ale daremne bywały obawy, już Czacki nie przychodził nas nie wizytował. Nawet ten raz jeden, jak się wnoszę, mógł się zdarzyć jako zaszczyt konwiktu, za wpływem ówczesnego dziedzica Lubara, generała niegdyś wojsk polskich, Krzysztofa Karwickiego, który jako ożeniony z córką Hiacynta Małachowskiego, kanclerza koronnego, był spowinowacowany z Tadeuszem Czackim, urodzonym z Katarzyny Małachowskiej, siostry tegoż wiecznej pamięci kanclerza, i słusznie uwielbianego Stanisława, marszałka wielkiego sejmu, który był rodzonym kanclerzem konwiktu. Karwicki przez szacunek dla starca księdza Małachowskiego, założyciela konwiktu ku dobru uczelni, rad był pewnie podnieść nieco znaczenie konwiktu bytnością w nim wizytatora.

Z roku 1805 pamiętam przejście przez Lubar

pulku dragonów na kampanię austerlicką nieszczęśliwej pamięci. Jechał na czele pulku komendant jego, ówczesny pułkownik, później generał, ojciec szanownego sąsiady mojej, żony Aleksandra Nartowa, Sztake, który niekiedy bywał w domu rodziców moich w lajkach i ztąd znał mnie dobrze. Przypatrując się drogą przejściu tego pulku, gdym był z innymi i z fesołem na przechadzce, ujrzałem znanego mi pułkownika i powitałem go zdjęciem kapelusza, a on z uśmiechem dotknął ręką swego kasku. Było to po raz pierwszy nie na zawsze, bo już go więcej nigdy nie widziałem. Mówioro mi, że zamieszany w rozterki król w 1825 roku, uwięziony, w tymże roku umarł. W tym czasie on był z panną Kępską, która po nim ożwiawszy, wydała w zamęcie dwie córki swoje, młodszą za Humięckiego, później naszego powiatu sławskiego marszałka, a młodszą za Aleksandra Nartowa, obie cudnie piękne i starannie wychowane i potem sama weszła w powtórny związek z hrabią Humieckim, już niemłodym, stryjcem swego z ojcem, dziedzicem wsi Mikulina około Łabunia.

W ciągu mego przebywania w konwikcie i w szkole skim zmieniali się nauczyciele dwóch obcych języków. Najdłużej zostawał tam Francuz, ksiądz Wilmin, kanonik ołycki, który mnie polubił i zwykle jeździł ze mną do moich rodziców na dwumiesięczne wakacje i na święta. Francuz ten w przyzwoitym sobie umiał się zgodzić z każdym towarzyszem, ważny ze starszymi wiekiem, żartujący dowcipnie z młodzieżą, ożywiał wesolą swoją familijną i szereg posiedzenia. Raz na Boże-Narodzenie, gdy całe moje domem zaproszeni byli na teś do Wygnanki, o trzy mile od nas, gdzie mieszkała moja wdowa po Wojciechu Budzyńskim, z nami swymi Kazimierzem i Marcelim, pojechał i kanonik Vilmin. W tej wsi nie było kaplicy, lecz w olicynie przeznaczono pod zamknięciem obszerny pokój, gdzie po czyszczeniu zaczęto

zwierchności duchownej mogła wdowa słuchać mszy świętej, jeśli ksiądz się zdarzył. Kanonik Vilmin był uprzedzony przez mego ojca, że z jego łaski, w dniu tak uroczystym, będziemy mieli, nie jeżdżąc do kościoła, mszę świętą. W wigilię wieczorem bawiliśmy się w grę ćwika, do której i on należał. Po skończonej grze kanonik, rad z kilku złotych wygranych, zartował z młodzieży, która cośkolwiek przegrała. Kazimierz Budzyński, zważając tę jego uciechę, wygranej, bierze go na bok i szeptem rzecz udaną, jakoby on zakład zrobił z obecnym tam stryjecznym bratem Mikołajem, że jutro kanonik w trzech kwadransach skończy trzy msze swoje, i dodał: „jeśli wygram, w takim razie, tobie kanoniku złożę cichutko stałą na to stawkę”. Uśmiechnął się, na zgodę polajac rękę kanonik; a nazajutrz, rzeczywiście trzy msze święte w tak krótkim czasie kompletnie były odprawione. Zakład był niby o rubla, który cichaczem dostał się naszemu kanonikowi, a wszyscy byli zdziwi, że w zimnym pokoju niedługo zatrzymało nas nabożeństwo. Po latach kilku mojego z nim przebywania w konwikcie lubarskim dowiedziałem się w Międzyrzeczu, że on tam przy publicznej szkole księży Pijarów był wprzód nauczycielem swego języka, gdzie przed samymi wakacjami, na uroczystość Ś. go Józefa Kalasantego, patrona Pijarów, uprosił rektora, aby mu pozwolił mieć kazanie. Wprawdzie, co do naszego języka księży byli pewni, że Francuz nie wystawi się na pośmiewisko, bo najtrudniejsze dla cudzoziemca wyrazy polskie, nauczył się dokładnie wymawiać. Ale w rzeczy ważniejszej był zawód. Oto dnia 4 marca, wśród ciągnącego się nabożeństwa dla szkoły licznych parafian, wstępuje na ambonę wzniosłej postawy poważny kanonik, a odczytawszy odpowiednią ewangelię, zaczyna od tych wyrazów: — „Ś. ty Józef Kalasanty miał imię toż same, jakie miał Obłubieniec N. M. Panny; a ponieważ ten był stolarzem, przeto mógł robić konfesyonały, zatem mówmy

o sakramencie spowiedzi". — I tak z rzemiosła stol-
skiego wzniósł się do ważności spowiedzi, którą
bie obrał za przedmiot kazania. Po tem to kaza-
nie przeniósł się do naszego konwiktu lubarskiego, z
następnie oddaliwszy się, otrzymał przez wpływ
i starania probostwo w powiecie Zaslavskim, we
Butowcach, gdzie niegdyś Jan Przyłuski, kaszte-
brzeziński, dziedzic tego majątku, piękny wymuro-
wał kościół. Odwiedzałem go tam parę razy w po-
jeździe przez Butowce traktem krzemienieckim. Na-
przód było to w podróży z przyjacielem moim Jó-
zefem Bobrowskim do wsi Hrycek, gdzie mieszk-
a matka Bobrowskiego, w powtórny związek Sta-
szewska. Wstąpiliśmy pod wieczór do kanoni-
ka, któregośmy nie widzieli od lat kilkunastu, to jest
czasów naszego w Lubarze konwiktorstwa. Rad-
nik był nadzwyczaj, a po herbacie, dowiedziawszy się
że w zajeźdnej tam karczmie mamy nocować, skier-
ował nas do wizyty i do wieczerzy w pałacu u pani kasz-
telanowej Przyłuskiej, o kilkadziesiąt kroków od pleba-
ni. Przedstawił nas nieznanym poważnej a bezdziet-
nej wdowie gospodyni, przy której ciągle bawiła daw-
no już okwitła w dziewictwie, jako rezydentka, pan-
na Ślaska. Prezentacja ta osłupiała nas: — „Mam hor-
dać poznać pani kasztelanowej dwóch najmądrszych
uczniów moich niegdyś!” — I tu wymienił nazwiska
nasze. Gdy wkrótce zasiadliśmy obok siebie do
wieczerzy, Józef Bobrowski żartobliwy, j-
przez całe życie, szepnął mi do ucha: — „Na mił-
o Boga! udawaj ty mądrego, bo ja nie potrafię”. — I
wtórnem byłem u kanonika w roku 1821, mieszkają-
cy w Krzemieńcu. W późnej jesieni, w podróży mo-
jej do kolowej, gdy niespodzianie zaskoczył mnie mroź
a nazajutrz, już ze śnieżną zamiecią, kopną dro-
gę z trudnością po trakcie dowlokłem się do Butow-
ca. Tam na probostwie, znalazłem łaskawego na mi-
kanonika Vilmina, jak zawsze uprzejmego. On p-
swoją opiekę kocz mój zabrał, a raczył dać san-

któremi do ojca mego dojechałem. Wprzódy na lat dwa zdarzyło mi się widzieć go w Romanowie u senatora Józefa Augusta hrabiego Ślińskiego w dniu 1 sierpnia 1819 roku, gdzie asystował biskupowi dyecezyi naszej, ś. p. Gasprowi Cieciszewskiemu przy poświęceniu miejsca na kościół księży Jezuitów, przebywających tam od roku 1812 po rok 1820, to jest do czasu ich ogólnej w Rosyi kasacyi. O tej Jezuitów katastrofie, może jeszcze wspomnę kiedyś pod właściwą datą. Nakoniec, już nie pomnę, w którym roku nasz poczciwy kanonik zakończył życie w Butowcach i tam został pochowany.

Po upływie lat czterech w konwiktie przy Dominikanach lubarskich, gdzie byłem już w czwartej klasie z promocją do piątej, przybywszy na wakacje do domu, prosiłem ojca, aby mnie znów oddał do Pijarów międzyrzeckich, i chętnie otrzymałem na to zezwolenie, bo on wysoce szanował Pijarów. W roku 1806, już z młodszym bratem moim ś. p. Franciszkiem, przybyliśmy do międzyrzeckiej szkoły, gdzie ojciec powierzył nas ks. Kulikowskiemu, profesorowi literatury polskiej i łacińskiej, późniejszemu prefektowi liceum warszawskiego, gdzie odznaczył się pięknem tłumaczeniem na język polski Liwiusza. Brat mój, jako początkujący, wszedł do pierwszej klasy. Ale co do mnie, po ścisłym egzaminie, mianowicie z łaciny, niestety! uznano, że nie mogę być wyżej umieszczonym, jak w trzeciej klasie. Byle u Pijarów, w milczeniu przecierpiałem to upokorzenie, tem boleśniejsze, że zastał dawnego kolegę i rówieśnika Jakóba Cichońskiego już w szóstej klasie kończącego nauki, gdy w jej początkach mała zachodziła różnica, on bowiem był w drugiej, gdym ja należał do pierwszej klasy. Trudno mi było zapomnieć, że w konwiktie lubarskim miał już wstąpić do klasy piątej. We trzy tygodnie po rozpoczętym roku szkolnym profesor łaciny w trzech niższych klasach, ksiądz

Kmita, przystępny, łagodny i pilny nauczyciel, zada nam ułożenie wierszem polskim czterech wierszy łacińskich Naruszewicza, jakie miały być wybite złoconymi literami na piramidzie wzniesionej z rozkazu króla Stanisława-Augusta nad rzeką Niemnem, ze szczątków wysadzonej prochem skały przez jednego z obywateli litewskich; wierchołek bowiem tej skały utrudniał przejście statków żeglarskich i tamował handel. Profesor naprzód dopomógł nam do zrozumienia tych wierszy; następnie polecił niektórym zrobić każdego wyrazu rozbiór gramatyczny. Na lekcji następnej, gdy w trzeciej klasie koledzy moi czytali po kolei swój rymowany przekład, uważałem, że ksiądz Kmita, przechadzając się, ciągle miał uśmiech na twarzy, i niekiedy przerywał czytanie ucznia uwagą swoją na kaleczenie polszczyzny. Gdy z kolei czytać zacząłem, profesor zwolnił kroku i nie uśmiechał się; przeciwnie, przybrał wyraz surowości w twarzy, i zbliżywszy się do mnie, zapytał: — „Kto wasanu te wiersze napisał?” — „Ja sam napisałem.” — „Przeczytaj jeszcze!” — Spelnilem jego wolę. — „Zrób wasan rozbiór gramatyczny oryginału!” — Powiodło się bez omyłki. Ksiądz Kmita, nic nie mówiąc, wziął moją ćwiartkę z wierszykami i włożył ją sobie w zana-drze. Lekcja dnia tego ciągnęła się dalej zwykłym porządkiem. Nazajutrz, gdy z kolei przy innym profesorze wszyscy byliśmy w ławkach, ksiądz prefekt Damczewski wywołał mnie przez wpół otwarte drzwi na korytarz, wziął w milczeniu za rękę i wprowadził do czwartej klasy, gdzie łaskawie przedstawił mnie obecnemu tam profesorowi. Wyniknęło to zapewne z uwagi księdza Kmity, że przy egzaminie z łaciny zbyt mnie surowo potępiono, albowiem ten profesor z rozbioru gramatycznego, jaki zdołałem bez omyłki dopełnić, mógł powziąć przekonanie, że w języku łacińskim, który jedynie stał mi na przeszkodzie, uczyniłem dość znaczny postęp. Bądź co bądź, wierszyki moje podniosły mnie wyżej o jedną klasę i ztąd

niezatarte trwają w mej pamięci. Przywodzę je tu, abym ich kiedyś nie zapomniał:

Z tej rzeki ostry kamień, co żegludze wadził,
Cnotliwy obywatel w powietrze wysadził;
A pamięć niech zostanie na wieki pćtomne,
Że miłość dla ojczyzny rwie skały ogromne!

Uwielbiany przez całą szkołę profesor literatury, ks. Seweryn Kulikowski, pod którego opiekę oddał mnie i brata mego nasz kochany ojciec, i który raz na wakacje jeździł z nami do naszych rodziców, dość często cierpliwie i łaskawie słuchał skleconych przezemnie w rozmaitych przedmiotach wierszydeł. Z nich przecież ani jednego dziś nie pamiętam, a powyższe tłumaczenie z roku szesnastego lat moich, po upływie lat 66, utkwilo w pamięci, jak żołnierzowi potyczka wojenna, za którą mu krzyż na piersi dano.

Z tej szkoły międzyrzeckiej, wówczas na stopie gimnazjum będącej, ileż mam drogich pamiętek! W ciągu przebywania mego w klasie trzeciej poznałem się zblizka z nieboszczykiem Wiktorem Lenkiewiczem i odtąd całą mocą duszy przyłgnęliśmy do siebie. Gdy za zdarzającą się niepilność moją w przedmiocie ksiąg Euklidesa, nieznośnie mnie nudzącego, prefekt Damczewski, profesor matematyki, rozgniewany, zostawił mnie na rok drugi w klasie czwartej, Wiktor Lenkiewicz odebrał do niej promocyę, a ja w doznanej przygodzie znalazłem pociechę, że w tejże klasie mam drogiego sercu przyjaciela. On lubo należał do swawolnych, lecz wielką miał pamięć, żywe objęcie i ztąd bez natężonej pracy liczył się zawsze do celujących, lecz najmniejszego jeszcze nie objawiał usposobienia do poezyi, w jakiej tak pięknie odznaczył się później. Któż w kraju z pomiędzy literatów nie zna jego oryginalnej z pomysłu bajki o trójkacie A, B, C. Ta bajka drukowaną była w „Ćwiczeniach naukowych“, wychodzących od roku zda się 1818,

a wydawanych przez uczniów liceum krzemienieckiego, do którego Lenkiewicz nie należał; on bowiem w roku 1810 wprost z Międzyrzecza udał się z profesorem fizyki, młodym wówczas klerykiem zgromadzenia Pijarów, do uniwersytetu wileńskiego, zżąd w roku 1812 porwał ich wir wojenny pod wkrótce zwichnięte skrzydło Napoleona I, gdy ten w pełni tryumfów spieszył przez Wilno po swój upadek w Moskwie. Oto są słowa, jakie o nim pisze czcigodny Kazimierz Władysław Wojcicki w tomie XVI, na karcie 862, „Encyklopedyi powszechnej“ z roku 1864 wydania S. Orgelbranda:

„Lenkiewicz (Wiktor), urodził się w Tłuszczu, miasteczku ołyńskim. Początkowe szkoły ukończył w Międzyrzeczu, wyższe nauki pobierał w Wilnie. Przerwała je kampania 1812 r. Przy wążtem zdrowiu, wszedł do wojska i stanął pod sztandarem generała Konopki, który zbierał zawiązek wojsk litewskich. Gdy Konopka z całym oddziałem pojmany został w Słonimie, Lenkiewicz zdołał wymknąć się i o tym wypadku uwiadomił w Wilnie księcia Basano, który go z tąż wieścią wysłał do Moskwy, do cesarza Napoleona. Pomimo coraz słabniejącego zdrowia, dopełnił tego zlecenia; nowego zaś, z którym go Napoleon do Neapolu wysłał, nie mógł dopełnić. W Warszawie, oddawszy powierzone mu pisma księdzu Pradtowi, pięć miesięcy przeleżał w ciężkiej chorobie. Przewieziono go na Wołyń; po spoczynku wysłano do Włoch. Niewiele mu łagodniejszy klimat pomógł; w powrocie, umarł w Wiedniu, mając lat dwadzieścia dwa. Szczupły zbiorek wierszy Lenkiewicza wydał Tymon Zaborowski wraz z jego życiorysem w „Ćwiczeniach naukowych“ (1818 r., t. 2), pomiędzy którymi szczególnie odznaczają się bajki“:

Wyżej powiedziałem, że on w Międzyrzeczu przy mnie wcale nie objawiał usposobienia do poezyi; ale już wówczas oceniał istotne natchnie-

nie i jak trafnie odróżnić je umiał od wymuszonej nad rymami pracy. W roku 1807, gdyśmy oba byli w czwartej klasie i w tak serdecznej zażyłości, żeśmy prawie myśli swoje wzajem zgadywali, umarł mu ojciec w Tłuszczy, starosta Lenkiewicz, zostawiając czterech synów: Gracyana, już od trzech lat ożenionego z posażną księżniczką Czetwertyńską, Erazma, później kapitana wojsk Księstwa Warszawskiego, który za kampanię 1812 roku otrzymał krzyż *virtuti militari*, a później był ożeniony ze znajomą moją, Cecylią Abramowiczową, o której niżej coś jeszcze wspomnę; trzeciego Franciszka, także tych wojsk kapitana i takimże krzyżem dekorowanego, a najmłodszym ich bratem był mój przyjaciel, Wiktor. Wszyscy oni już nie żyją, a wszyscy może przez wzgląd na moje z ich bratem stosunki, zaszczytali mnie jawną życzliwością. Ich ojciec, nie wiem dziś dlaczego, nie w swojej parafii, lecz w Międzyrzeczu był pochowany. Na jego grobie staraniem synów wzniesiono pomnik, składający się z kamiennych kilku filarów, wśród których stał kamienny sarkofag. Wiktor w klasie raz szepnął mi o swoim kłopotcie: Oto owdowiała matka jego, znając osobiście ks. Kalinowskiego i wiedząc o tem, że on jest profesorem polskiej literatury, prosiła go przez listowną odezwę o ułożenie napisu na grobie jej męża. Profesor to jej żądanie spełnił; lecz jego wiersze nikomu z rodziny, jako zbyt wymuszone, się nie podobały; i ztąd prosić mnie zaczął, abym ja ten napis ułożył.—Co mówisz?—rzekłem mu—ja, co moje niekiedy głupie rymy przedstawiam mu do poprawy, czyliż ważyłbym się iść w tem na wyścigi z moim profesorem? Powiem ci, że z waszej strony, aby go nie obrazić, wypada wam przyjąć cokolwiek on na odezwę matki waszej napisał; ty wiesz, jak on powszechnie jest szanowany.—„A niech gniewa się na samego siebie, że nie do rzeczy napisał. A ty bądź spokojny o jego obrazę; nie wydamy

przed nikim, że wybitny na sarkofagu napis jest twoim". Nie przyrzekałem mu przecież. Nazajutrz, gdyśmy byli na spacerze ku stronie cmentarza za miasteczkiem, wprowadził mnie na cmentarz, aby pokazać świeżo ukończony pomnik. I tam na grobie ojca tak usilnie prosił mnie, lży ocierając, tak zaklinał, że na koniec, pod koniecznym warunkiem tajemnicy, obiecałem pomyśleć nad tem. Jakoż po dwóch dniach, z wielką obawą, aby się profesor mój nie dowiedział, przyniosłem mu żądany napis, z powtórzeniem warunku tajemnicy o autorze. Ów napis, jeśli mnie pamięć nie myli, jest taki:

Mężu! Ojczu! na wieczność okryty kamieniem!
 Łzy ronić jest zwyczajnem ludzi przeznaczenim;
 Ale w sercach żyć będą twe zacie przymioty!
 Czas cheiwy, wszystko niszczy, a szanuje cnoty!

Z nadzwyczajnem uniesieniem uściskał mnie za te wierszyki. Wybito je na sarkofagu. Rzewne było nasze pożegnanie, gdy w roku 1809 opuszczałem szkołę, gdzie on miał jeszcze rok jeden pozostać. Jakoż w roku 1810 wyjechał do Wilna. Niekiedy pisywał do mnie; listy jego pełne były szyderczego dowcipu, mianowicie opisanie wierszem pogrzebu z wielką okazałością dziedzica obszernych dóbr międzyrzeckich, chorążego W. kor. Jana Steckiego. Te listy, podobnie jak wiele innych piśmiennych z dawnej daty pamiątek, zaginęły w częstych po świecie moich przenosinach. W roku 1811 po raz ostatni znaleźliśmy się z nim w Żytomierzu na lipcowych wyborach, gdzie ja w 21 roku życia zostałem obrany podsekciem Nowogród-wołyńskiego powiatowego sądu, a on z uniwersytetu wileńskiego przybywszy na wakacje do domu, z braćmi swymi przyjechał. Nie dano nam nacieszyć się sobą. Zwykle na wyborach formujące się partie w przedstawieniu kandydatów na urzędy gubernialne odrywały mnie od towarzystwa z kochanym Wiktorem. Deklamował on mi

wówczas z pamięci tak wszeteczny, tak sprośny poemat, że szanując drogą mi pamięć o tym przyjacielu, nie chcę jej brudzić wspomnieniem tytułu tego poematu. Blyszczał w nim dowcip, ale też często przebijala kanwa szyderstwa ze świętych prawd religii. Ja, lubo wówczas nie znałem Woltera, jak tylko z jego dzieł dramatycznych, lecz zdarzało mi się czytać i w towarzystwie ludzi wykształconych słyszeć potępienie jego bezbożności, powiedziałem otwarcie Wiktorowi, że jego poemat nie może mu zjednać chwały w religijnym, jak nasz, narodzi i że szkoda tak wysokich zdolności na tak poziomy przedmiot. Zachęcałem go do szlachetniejszej poezji, ale on w latach 19-tu, jakby już syt życia, żartował sobie z literackiej sławy. Mocny mnie żal przejmuję nad zgonem jego tak wczesnym, więcej jeszcze nad jego przetrwanem cierpieniem w mękach z niczem nieporównanych, gdzie przy kalectwie, stopniami coraz więcej wzmacniającem się, umysł w czerstwym zachował się zdrowiu, aby tem silniej czuć mu dawał stan jego. Był to żyjący człowiek, zamknięty w grobie swego ciała! Przywodzę tu sobie innych kilka podobnych wypadków, gdzie jakby dla ocknienia zbaczających od wskazanej nam drogi widoczny był palec Boży!

Wracam do roku 1807, w którym przypuszczono mnie w szkołach międzyrzeckich do towarzystwa Sodalisów, jakie w dwóch przeszłych wiekach było strażą wiary w dogmata naszego wyznania, mając za główną zasadę cześć dla N. M. Panny i obronę Jej sławy, choćby z krwi rozlewem. Ta kongregacya zarazem podtrzymywała moralność i czystość obyczajów pomiędzy młodzieżą. Wiktor Lenkiewicz, młodszy odemnie o dwa lata, nie otrzymał jeszcze tego zaszczytu. W następnym 1808 roku szkoła, za potwierdzeniem swej miejscowej władzy, po kończącym wtenczas nauki swoje Jakóbie Cichońskim, raczyła mnie obrać prefektem Sodalisów. Przeznaczono pe-

wny termin, w którym publicznie na tę dostojność miałem wykonać przysięgę. Spiesznie doniosłem o mił 15 ojcu memu o spotkanym mnie zaszczytce. Kochany a silnej wiary ojciec ucieszył się tą wiadomością tembardziej, że niegdyś będąc uczniem szkoły lubieszowskich Pijarów, był także prefektem Sodalisów; i ztąd wiedząc, że obrany na to przewodnictwo, składał zawsze jakąś ofiarę na świecę, z którymi co niedziela po Mszy Ś-ej na osobne chodziliśmy nabożeństwo do N. P. Maryi, przysłał mi natychmiast trzydzieści rubli w srebrze, które ja, po wykonanej przysiędze przed ołtarzem Bogarodzicy, który był w naszej czwartej klasie, z brzękiem wysyłałem na podaną mi tacę.

Wspomnieć tu należy o miłej niespodziance, jaką zrobiłem raz tu w Ławrzynowcach zacnemu a powszechnie kochanemu sąsiadowi o miedzę, Jakóbowi Cichońskiemu, gdy on z żoną był u mnie. Gawędziliśmy o szkolnych rozmaitych wydarzeniach i on zapytał: — „Czy też ty masz jakie piśmienne pamiątki ze szkół międzyrzeckich?” — „Zaraz ci pokażę.” — I wyjąwszy plik papierów z pomiędzy ważnych dla mnie dokumentów, złożyłem przed nim naprzód świadectwo Pijarów z roku 1809, gdy mnie w świat wypuszczali, potem drukowany także patent na Sodalisa z ogromną pieczęcią pod dniem 2 maja 1807 roku, z podpisem obok niej księdza Dominika Kmitę, a z drugiego boku z podpisem owoczesnego Sodalisów prefekta, Jakóba Cichońskiego. — „Patrz! — ozwał się z rzewną radością do żony. — „Tyś nie wiedziała, jakiej niegdyś mąż twój dostąpił godności Wielką zrobiłeś mi przyjemność ocknieniem w pamięci owej daty. Rzecz szczególniejsza, iż ty, walęśając się po świecie, umiałeś przez lat tyle uchować od zatracenia te drogie pamiątki młodości, u mnie ani śladu nie znajdzie”. — Ale za to, powiedziałem mu, ludzie pamiętać będą o tobie.

Wspomnę tu jeszcze z tegoż 1807 roku o wy-

padku, który z mojego i kilku innych wpływu dotknął całą szkołę. Przybył do Międzyrzecza Niemiec Koch z liczną kompanią, aby zadziwić nas skokami na linie i rozmaitemi zręczności sztukami, a otrzymać od nas czterystu za bilet dla każdego po dwa złote. We wtorek przed południem ci Niemcy w kapeluszach ze strusiami powiewnymi piórami, w paśowych, galonem obszytych spencerach, w opiętych spodniach łosich, z muzyką, na felownych koniach, zaczawszy od pałacu, objeżdżali miasteczko i z kolei nawiedzili plac przed kolegium Pijarów, aby wszystkim oznajmić, że dnia tego wieczorem owe sztuki będą przedstawione. Pod naczelnictwem dwóch profesorów, o godzinie oznaczonej, zeszło się nas wielu do obszernej sieni zajezdnego domu, gdzie Koch z kompanią swoją był rozlokowany. Z pomiędzy uczniów czwartej klasy znalazł się tam ubożuchny kolega nasz w szarym wytartym płaszczu, Lubliński. Ten siedział naprzeciw wyprężonej liny, po której pani Kochowa z drągiem w rękach, dla utrzymania równowagi, zaczęła z wolna przechodzić, a nie wiedząc, aby czemkolwiek mógł jej przeszkodzić, machnął od niechcienia pręcikiem, który miał w ręku. Koch, pilnujący porządku, dostrzegłszy ruch pręcika, ze złością wpada na biednego Lublińskiego, porywa go za kołnierz i wypycha za drzwi, nauczając, że ruch jego pręta mógł zmylić stopę jego żony i poddać upadkowi z niebezpieczeństwem życia. Nam niektórym krew na to zawrzała, bo dosyć było cicho pręt mu odebrać. Tymczasem owe niemieckie sztuki po wtorku miały się powtórzyć z dodatkami we czwartek. A więc we środę rano, gdyśmy się zeszli do klas swoich, nim przybyli do nas profesorowie, trzech nas z czwartej rozeszło się do pierwszej, drugiej i trzeciej z przedstawieniem, o ile można najczulej, obraży honoru naszego, której Koch publicznie, a z taką zniewagą na Lublińskim dokonał, że oto jutro po południu on znów oznajmiać

przyjedzie o swoich figlach; że naprzód kto poczciwy, zachowa to w sekrecie, że przed jego zjawieniem się na placu naszym wszyscy zbierzemy się do klasy pierwszej, jako największej, i zaprosimy Kocha do tej klasy, aby wobec nas wszystkich przeprosił Lublińskiego. Gdym tak mówił w klasie drugiej, jeden z malców dodał: — „a jak nie zechce przeprosić, to przymusimy kańczukiem“. — Kańczuki możecie mieć ukryte przy sobie; ale tylko dla pogróżki, gdyby się wzbraniał przeprosić, do czego zapewne nie przyjdzie — rzekłem im — ale zaklinam was pod słowem uczciwości, abyście zachowali to wszystko w tajemnicy! — „Dobrze, dobrze! Nikomu ani słowa nie powiemy!“ — odezwało się kilku. Podobnie Maciński, kolega mój, mówił w klasie trzeciej, a nie pomnę, kto z tem poselstwem był w trzeciej. We czwartek po obiedzie zwykle bywała rekreacja; przecież bez żadnego dzwonka zesli się uczniowie klas czterech do pierwszej, gdzie każdy miał ukryte narzędzia kary: kańczuki, dyscypliny, harapniki nawet, kto co mógł cichaczem zarwać od swych dyrektorów (nadzorców). Zjawia się nakoniec Koch w towarzystwie kilku i trąbą daje znak przybycia. Uczniowie mianują mnie i Macińskiego do wezwania Kocha. Tu zmyślenie było konieczne. Po naradzie z Macińskim, odezwałem się do siedzącego na koniu Kocha: — Ksiądz prefekt prosi pana do siebie, abyś raczył opowiedzieć mu, jakie sztuki będą dziś przedstawione. — Koch, pomówiwszy chwilkę z jednym ze swoich, zsiadł z konia i razem z nim udał się za nami. Wyznaję, że mnie wówczas tajny opanował niepokój, gdym pomyślał, co z tego nastąpić może, gdy hardy Niemiec nie zechce przeprosić. Ale oprzytomniomy, przewidując, że większy będzie kłopot z dwoma, szepnąłem Macińskiemu: — prowadź Kocha do pierwszej klasy, a ja drugiego zamknę w naszej. I pod pozorem, że tam czeka na niego jeden z profesorów, który także chce coś wiedzieć o ich sztukach, wpu-

m go do pustej klasy i drzwi na klucz zamkną-
 . Wpadłem do pierwszej, gdzie Koch wprowadza-
 ny był do uczniów. Zastaję zwawą kłótnię
 rzawę. Koch rozgniewany, że go zwiedzono, bo
 ektą nie zastał, oburzył się na propozycję prze-
 in. Przy mojem wejściu jeden z malców ozwał
 — „Słuchaj, Niemcze! jeśli dobrowolnie przeprosić
 zechcesz, to cię przymusimy. Tu, jakby na ha-
 dane, każdy z nich zaczął mu grozić wydoby-
 kary narzędziem. Koch, rozszluszczony, miotając
 niemiecku przekleństwa na szkołę, rzuca na
 iów swoją mosiężną trąbę, która górami poszła
 dnego z nich nie tknąwszy, uderzyła o ścianę
 giętą, zepsuta, padła pomiędzy nimi. Nastąpiło
 to oburzenie malców. Zachodzą mu z tyłu,
 ytają za nogi, a upadłego na ziemię, inni chwytają
 za głowę. Zaczął się nacisk około niego i bój
 pny! Gdzie kto mógł dosięgnąć, katowali go
 zukiem, harapem, dyscypliną i kijami nawet.
 yczałem na nich, ile sił stało: — Dosyć, dosyć! —
 ledwie my starsi mogliśmy go wyrwać z rąk
 ów. Schwycił się z ziemi rozczochny Nie-
 c i pogroził nam piekielną karą. Gdy miał wy-
 lżyć z klasy, szepnąłem jednemu z malców, aby
 edł wypuścić drugiego Niemca z zamkniętej
 artej klasy, a jeden z uczniów, urągając się Ko-
 wi za jego upór, wetknął prawie nieprzytomnemu
 łu i złości pogiętą trąbę. Wsiadli oba na koń
 lopem odjechali do miasta. A my, dawszy sobie
 o, że jeśli dziś będą przedstawiane sztuki po-
 o zaszłego wypadku, żaden z nas tam się nie
 ize, cichutko rozeszliśmy się po stancyach. Tym
 m na wypadek śledzwa winowajców żadnej zmia-
 nie było. Wkrótce potem z okna mego oficyny
 skiej, przy kolegium, gdzie z bratem mieliśmy
 orną z wiktem kwaterę u Czecha Koniatki, do-
 głętem, że ci oba Niemcy w asystencyi oficera
 óch żołnierzy pułku czarnych Aleksandryjskich

nuzarów, pod komendą generała tam konsystującego, do którego udali się po protekcję, spieszonym szli krokiem do kolegium, a jak się potem okazało, do ówczesnego rektora naszego, księdza Grabowskiego. Niezadługo uderzono w dzwon szkolny. Winni i niewinni, zesłiśmy się do tejże pierwszej klasy jako najobszerniejszej. Wchodzi do nas prefekt Domiczewski z wyrazem surowości w twarzy, a za nim oficer od huzarów i dwaj Niemcy. Tu należy powtórzyć dla pamięci, że na usprawiedliwienie nasza żadnej nie uczyniliśmy znowy. Prefekt, rzuciwszy smutnem okiem po nas, przejęty żalem, czynił nam wyrzuty za ciężką boleść, jaką brutalnym postępkami szkoły przynieśliśmy naszej zwierzchności. Po tak rzewnem a poważnem przemówieniu, którego wysłuchaliśmy w milczeniu ze spuszczoną głową, jakby już potępieni winowajcy, on po chwili przestanku, rozpoczynając badanie, zwrócił się do jednego z malców najbliższej stojącego w ławce i zapytał: — „To i waćpan należałeś do tego?” — Nie! — odpowie mu — nie należałem! — Następnie kilku po kolei badał podobnie, a każdy powtórzył słowa najpierwszego. Zniecierpliwiony prefekt staje pośrodku i zapytuje: — „Któryż z was należał, wyznajcie!” — Ozwała się zbiorowa odpowiedź, jakby iskrą elektryczną pobudzona, w jednym donośnym wyrazie: „Wszyscy!” W twarzy zacnego prefekta błysnęła utajona radość. Dziś mniemam, że to uczucie powstało z tej myśli, iż dzieci, któremi on się opiekuje, umieją lepiej utrzymać jednomysłność, niż ich niegdyś ojcowie na sejmach. Gdy oficer na to uśmiechał się, a Koch cicho do ucha nalega o coś prefekta, ten znów pojedynczo zapytuje starszych, niebadanych wprzód. I znów każdy z nich mówi, że wcale nie należał do tej sprawy. Tu jakby rozgniewany prefekt odezwał się: „Im większy upór, tem większa kara spadnie na winowajców! Zaraz mi wyznać, kto was namawiał, kto z was najwinniejszy?”. I wnet hucznie

wrzasnęliśmy, jakby umówiony wyraz: „Wszyscy!” Tym razem, skoro ucichło, znalazł się zdrajca, już dziś nieżyjący J. O. On odezwał się: — „Ja powiem”. — Prefekt, jakby cierpiący na zdradę, z silnym naciskiem powiedział mu: — „Kiedy wiesz z pewnością, to gadaj!” — Otóż powiem: w naszej trzeciej klasie namawiał nas pan Maciński. — Ależ prefekt znał w Macińskim wzorowego ucznia tak z obyczajów, jako też ze znakomych postępów w każdym przedmiocie; więc oczywiście nierad i ze zdrady i z oskarżenia, z wyraźną niechęcią przemówił zasmucony: „Pan Maciński niech wyjdzie z ławki i stanie na boku”. — Potem, zwróciwszy się ku innej ławce, wezwał ku sobie pokojowca swego, ucznia z klasy drugiej, i cicho mu coś polecił. Ten wyszedł z klasy i nastąpiła przerwa w badaniach; ale prefekt użył jej ku moralnej dla nas nauce, że zgoda, jaką objawiamy ku obronie naszej, byłaby godną chwały, gdyby miała za przedmiot jakibądź pożytek towarzystwa; ale w tym wypadku niecnem tylko nazywa się spiknieniem przeciw zwierzchności i t. d. W tem pokojowiec wraca trzymając w rękę tak drobny kańczuk, jakby dla zabawki dziecinnej. Koch ujrzawszy to narzędzie podane prefektowi, zawołał złamanym językiem: — „Nie, nie! Och nie takim mnie bili. Byli dziesięć razy grubsze!” — Uśmiechnął się prefekt, rad zapewne, że dobrego ucznia Macińskiego wyzwoli tem od kary. — „Przepraszam pana — rzekł do Niemca — nieprzyzwoicie postąpiwszy u siebie z uczniem panem Lublińskim, sciągnąłeś na siebie bolesny wypadek; a teraz chcesz, abym za winę, której dałeś powód, kaleczył tę młodzież! Nic z tego nie będzie! Rozejdźcie się, panowie, po swoich stancyach. A panu — rzekł do Kocha — wolno zanieść skargę gdzie się podoba”. — Nazajutrz ciężką co do mnie miałem przetrwać łaźnię. Przed lekcją ranną, jak zwykle, byłem z mojem tłumaczeniem wierszami wyjątku z poezyi Delila u mego opiekuna szanownie-

go ks. Kulikowskiego. Nie wiedziałem o tem, że ktoś mnie przed nim oskarżył, jako w klasie drugiej namawiałem malców i że Kocha sprowadziłem do zgromadzonych uczniów. Na wstępie czule przemówiwszy do mnie ten uczony profesor wymowy, skończył na tem, że kara jest tylko w zawieszeniu; że jako główny winowajca, niezawodnie wpisany będę do czarnej księgi i ogłoszona mi zostanie *ekskluzya*, czyli wypędzenie ze szkół. Przedstawił dalej zmartwienie żąd rodziców, tak trafiając do serca, że łzy mi się puściły. On dobry, ujrzawszy to, zmienił twarz dotąd surową i odezwał się: — „Niech ci to służy za naukę, jak przy każdym przedsięwzięciu rozsądek ma przewodniczyć. Z tego poczucia żalu nad rodzicami wnoszę, żeś nie pomyślał o następstwie, jakie cię spotkać może. Tym łzom twoim rad jestem, w nich widzę, że zboczenie swoje w głębi duszy uznajesz. Dość mi na tem. A teraz uspokój się. Zapewniam tajemnicę przed rodzicami, a tu w razie potrzeby będę cię bronił“. — Z jakże silną wdzięcznością ucałowałem rękę mego dobroczyńcy! Nie przyszło już do czytania mego tłumaczenia, ale zupełnie uspokojony, odszedłem do klasy.

Wieczorem, na mojej kwaterze, staruszka, żona Czecha Koniatki, który z waltornią swoją, jako muzyk, należał do orkiestry pana Steckiego, już wiedziała z całą dokładnością o wczorajszym wypadku Kocha i żąd zaczęła opowiadać zdarzenie podobne w tej szkole z czasów jeszcze Rzeczypospolitej. „O! ze studentami — rzekła — bardzo trudna sprawa. Proszę panicza posłuchać: Oto, jak zapamiętam od pierwszej młodości mojej, bywało tu zwyczajem, co i dotąd trwa jeszcze, że w wigilię święta Bożego Ciała podwoły skarbowe pana chorążego koronnego przywoziły z jego lasów młode brzoźki dla ozdoby ołtarzów na placu przed kościołem, gdzie nazajutrz miała obchodzić procesya. Otóż raz szkoła długo czekała na te brzoźki i doczekać się ich nie mogła.

Zebrawszy się więc licznie blisko swego placu na moście, wyglądali tego transportu nad wieczorem. Pomiedzy nimi był najzwawszy, Józef Iliński, starościc żytomierski. Ten ujrzawszy podwoły z brzożkami, pobiegł do nich, a gdy się dowiedział, że ten transport przeznaczono do folwarku dla ekonomy, przywołał stojących na moście kolegów i dalejże naciskać na parobków, aby zawracali przed kościoł. Stał się zgielk wielki na rynku, na który i ja patrzyłam. Jeden z parobków dał znać na odwach. Wnet przybyli z bronią w rękę „śledzie“ pana chorążego, jak zwano jego niewielką, zebraną milicję. Ale gdzietam! Nic to nie pomogło! Iliński tak dobrze komenderował, że studenci okropnie pokaleczyli kijami tych śledziów, a oni, biedacy, nie odważyli się strzelać do paniczów. Zwyciężeni, zostawili podwoły studentom, którzy je powiedli na plac przed kościoł i umaili brzożkami już przygotowane oltarze. Prawda, że księża Pijarowie potem wielki mieli klopot. Wachmistrz ulubiony przez pana Steckiego, najmocniej był pokaleczony, bo nawet oko mu wybili i ten głównie oskarżał pana Józefa Ilińskiego. Ztąd pan chorąży koronny nastawał na Pijarów, aby wedle szkolnego prawa ten winowajca był ukarañy. Otóż później mówiono w mieście, że za to wpisali go do jakiejś książki czarnej i kazali mu wynieść się precz z tej szkoły. Jakoż potem nigdy go już nie widywałam w kościele.“ A ja jej na to: — „Ten starościc żytomierski dziś jest w Petersburgu senatorem ulubionym przez cesarza.“ „Ot to! No proszę! Aż miło było popatrzeć na niego: wzrostem słuźny, a prześliczny na twarzy!”

U pana chorążego W. koronnego bywały niekiedy bardzo liczne bale. Obywatelstwo z rozmaitych okolic zjeżdżało się. Pijarowie doznawali wielkiego poważania u tego dziedzica tak obszernych włości, że liczono majątek jego na dwadzieścia pięć milionów złotych. Był on potrzykroć ożeniony. Nie

pomnę, która pierwszą jego była żoną. Wiem
 wnością, że drugą była Popielówna, córka kas
 na lwowskiego, z którą się rozwiódł, a którą, t
 mieszkawszy, poznałem w domu mego przyja
 Wiktora Krajewskiego, już zgrzybiałą starą
 Trzecią żoną chorążego była Walewska z Tuc
 córka wojewody sieradzkiego, która po przyjściu
 świat swej z nim jedynej córki, nie mogąc z
 rany jego na udzie, nigdy zagoić się nie mo
 a nazwanej Wilkiem, że pożerała surowe mięs
 łowe, którym ją codziennie okładano, rozwiod
 z nim i wyszła za księcia Stanisława Jabłono
 go, starszego brata z innej tylko matki księcia
 ksymiliana, którzy oba byli synami księcia An
 go, kasztelana krakowskiego. Z Popielówną ch
 nie miał potomstwa; z najpierwszego zaś ma
 stwa miał dwóch synów; z nich starszy Karol,
 niony z Cetnerówną, odumarł jedną tylko c
 Z wdową po nim ożenił się generał, słusznie a
 poważany Kniaziewicz, a z córką Michał ksią
 dziwił, który w 1831, w czasie nieszczęśliwie z
 czonogo powstania pod generałem Krukowieckim
 przed nim i przed generałem Skrzyneckim czas
 zastępcą naczelnego wodza, dzielnego pod Napole
 I-ym, a wówczas gdy go kraj powołał, śpiącego
 niedziel sześć generała Chłopickiego. Synem
 szym z pierwszej żony chorążego W. K. był
 ożeniony z córką wojewody Wilgi; ten miał
 tylko Ludwika, który był u Pijarów moim w
 lach kolegą, i u jednego metra, dyrektora ork
 palacowej, pana Kamińskiego, braliśmy z nim l
 muzyki. Ludwik, ożeniony z Czacką, córką me
 w. kor. córką, zostawił syna Henryka, który się
 z córką Henryka hrabiego Ilińskiego w Romar
 Córka zaś z powtórnego małżeństwa, Ludwik
 emigracyi w Galicyi wyszła za Pruszyńskiego.
 wyżej wspomniane bale u chorążego, wedle
 od zwyczajy, Pijarowie wybierali z pomiędzy uc

tórych, zwykle kilku więcej otartych z przyzwyczajenia światową, a ten zaszczyt nigdy mnie nie omiara. Raz, gdy tam na balu byłem, w mazurze dał się dostrzedz z ciągłej nademną uwagi jakiś miłobardzo przystojny brunet słusznego wzrostu. Pończonym tańcu zbliżył się ku mnie i zapytał: y pan jesteś Konopacki, jak mówiono?“ — Tak — odpowiedziałem — ale kogoż w osobie pana zaszczyt poznać? — „Odpowiem wówczas, gdy raczysz wymienić imię swego ojca“. — Mój ojciec ma imię Prokop. — Na to on z przymileniem warzy bierze mnie za rękę i ściskając ją, rzecze: ożdo miło mi poznać pana! Jestem Spirydion Rohoziński. Zachodzi pomiędzy nami pamiętne dla nas podwójne powinowactwo. Dziad pana, ojciec ojca, wołyński niegdyś poseł na sejm elekcyjny 4 roku, był urodzony z Rohozińskiej, a po śmierci pierwszej żony swojej, Antoniny Peretiatkowiczówny z Krzywicz, z którą miał jedynego syna Prokopa ożenił się powtórnie po śmierci mego ojca wdowiął matką moją Rohozińską z domu Stepieńską. Ztąd ja, będąc wówczas małoletnim, stałem pupilem dziada pańskiego, Józefa Konopackiego, osty głuchowskiego, jako jego pasierb. Z dziecięcych lat moich pamiętam ojca pańskiego, zwane wówczas Prokopciem, który, jak później mówię, dowiedziawszy się przypadkiem w małoletności swojej, że matka moja, która go bardzo kochała, nie matką jego, lecz macochą, odtrącał odtąd jej szczyty i wstręt powziął do ojcowskiego domu. Łany do szkół lubiszewskich, gdy je tam ukończył, a przeszedł do palestry łuckiej dla nauki prazamieszkał następnie na ukraińskich dzierżawach m się ożenił. Widzisz pan, jak znam dokładnie położenie domu dziada pańskiego. Nie zapomnę też nigdy przez wdzięczność za ojcowską jego opiekę nademną; i ztąd wielką mam przyjemność

poznać w panu jego wnuka⁴. Od tej chwili nie zdarzyło mi się nigdzie spotkać Spiridyona Rohozińskiego. Mówiono o nim później, że był dzielnym pułkownikiem wojsk polskich. W roku 1850, gdy był w Kniahyninie u Rafałowstwa Boguszów, na ślubie ich córki Stefanii, wychodzącej za Bolesława Rohozińskiego, poznałem tam młodego Rohozińskiego, syna Spiridyona.

Z pomiędzy uczęszczanych przezemnie z Pijarami balów u chorążego kor. Jana Steckiego, pamiętny mi jest, chociaż z pewnością nie oznaczę czy z roku 1807 lub 1808, ślub jego jedynej córki ze związku z trzecią żoną Walewską, panny Doroty Steckiej, z Józefem księciem Lubomirskim z Dubna. Na ten bal zjazd był liczny magnatów wołyńskich, oddawna już nieżyjących, po których, z małym wyjątkiem, z obszernych wówczas posiadłości szczątki tylko u marnotrawnych potomków zostały. Widziałem tam księcia Michała Lobomirskiego, ojca zniętego się księcia Józefa. Ten ojciec jego był niedługo generał-majorem wojsk koronnych. Był tam książę Hieronim Sanguszko ze Sławuty, ostatni wojewoda wołyński; książę Stanisław Jabłonowski z Annapola, ożeniony z rozwódką, chorążyną Stecka, której córka wychodziła za męża; był generał Kniaziewicz; był któryś z Radziwiłłów i wielu innych, dziś w mej pamięci zagubionych, obok których wielu też było obywateli okolicznych z żonami i młodzieżą do tańców. Rektór nasz, ksiądz Grabowski, ślub dawał, piękna wprzód do młodej, stojącej przed nim u ołtarza pary powiedziawszy mowę z pamięci. Akt ten dopełniał się o wieczornej porze przy świecach. Nastąpiły tańce. Mnóstwo par stanęło do polskiego, a na czele był chorąży Stecki z córką swoją Dorotą, już księżną Lubomirską. Przeszedł z nią krąg jeden i stojącemu na boku oddał ją jej mężowi. Nastąpiły dla młodzieży tańce skoczne, w ciągu których rozszedzo cukry, limonady, orszady, a dla starszych

zmaite wina. Potem pyszny z okien pałacu okazał się widok na sztuczne ognie, czyli fajerwerki, po których czarniejszą wydała się ciemność nocy, podobnie jak po owej dogorywającej ówczesnej świeżości magnatów, smutniejszym wydaje się stan dziś dupadły ich potomków. Wieczera i zabawywały do późnej nocy. Pomnę jak dziś niemiecką yognomię pana młodego. Był on wprawdzie nie zydką, lecz wypieszczony biały, jakby z malowanym policzkiem; odznaczał się mundurem maltańskim. Generalskie złote bulony na ramionach młoińca, mającego lat 22, przy krzyczącym ponsie go munduru, dziwną z jego wiekiem stanowiły rzeczność. Zastanawiała mnie nieraz ta „maltoania“ w latach mej młodości rozpowszechniona. Wnieważniej był zakon kawalerów maltańskich, którzy bezżenności stawali w obronie chrześcijan przeciw żuulmanom. Lecz później, a zwłaszcza gdy Malta w czas krótki stała się własnością Rosyi i cesarz weł I ogłosił się jej mistrzem, tworzyły się owe walerstwa w Petersburgu nietylko pod jego panowaniem, ale i później, kiedy tę wyspę odstąpiono Anglii. Szredawano więcej dającemu dawniej przytowane patenta z okienkami dla wpisania imion wokreowanych kawalerów. Znałem osobiście mnówo takich ponsowych maltańczyków, pyszniących w czasie zjazdu obywateli po ulicach gubernialnego miasta białymi przy stosowanym kapeluszu strusiej piórami, brzęczącą po bruku szablą przy generalich bulonach. Ta, przez lat kilkanaście, prawie wszechna ślepota u majątniejszej młodzieży przymina mi niepospolity w powiecie żytomierskim wydek, z którego wyniknął proces szczęśliwie, bo odnie zakończony. Pewna posażna panna, w domu ojca na wsi samotna, uczyła się grać na gitarze młodego a przystojnego metra, który tam od półku dla owej nauki zamieszkał. Lubo dobry szlachcic polski, ale chudy to był pacholek, jak mówio-

no, a przeto tam za wysokie progi były na jego nogi. Lecz miłość, jakby lubiąca przełamywać tamy, często się gnieździ, gdzie upór jest niezawodny. Niedługo potrzeba czasu na porozumienie się serc ujętych czułą melodią muzyki. Panna, słusznie przewidując, że jej ojciec stanie z opozycją, szepnęła gitarzyście, aby przynajmniej postarał się o kawalerstwo maltańskie. Był to dla niego wyrok nieodzowny. W lubem marzeniu o swej przyszłości zabiera z sobą cały szczupły fundusik na podróż do stolicy i tam resztkami oplaca wyjednany patent; a zostało mu tyle tylko, aby pocztą wrócić do celu swych marzeń. Staje przed panną w ponsowym mundurze. Ale niestety! zastał ją już zaręczoną innemu wedle woli jej ojca. Biedak, przecierpiawszy moralnie, usłuchał jurystów, nie wierzących w żadną idealność, gdzie się wmiecha interes pieniężny. Doradzono mu pozwać ojca panny o zwrot łożonej na kawalerstwo maltańskie sumy z procentami. I po wydanym pczwie ojciec, oszczędzając sławę córki, rad nie rad, wrócił zgodnie wszelkie z jej przyczyny łożone koszty, a mundur od wielkiego święta jako pamiątka niefortunnej miłości pozostał przy muzyku do śmierci. O! ślepoto ludzka! Dziwić się potrzeba, że niektórzy nawet z osiwiiałych przywiązywali jakoby jakąś wartość do tych błyskotek, otrzymanych bez żadnej zasługi! Potrzeba było tylko złożyć metryki i dowody niewątpliwego szlachectwa z przodków, mieniać się ich potomkiem w czwartem, czy w piątym pokoleniu.

W roku 1808, gdy z młodszym bratem moim, Franciszkiem, przybyliśmy w początkach lipca na wakacje do domu, ojciec nasz oznajmił mi, że w tym miesiącu pojedę z nim na wybory do Żytomierza, gdzie jako już osiemnastoletni, będę mógł z nim i ze starszym bratem, Antonim, wotować na gubernialnych i powiatowych urzędników. Jakoż przed dniem 20 lipca przybyliśmy do miasta gubernialnego.

Mój ojciec najął dom wielki, gdzie łącznie z Budzyńskim z Wyszczukus i dwoma jego synami, Mikołajem i Ignacym, tegoż dnia przybyłymi, zamieszkaliśmy. Codzień mnóstwo miewaliśmy interesowanych gości. Stanowiliśmy bowiem niemałą partję, gdyż przybyli do nas Budzyńscy młodzi z Wygnanki: Kazimierz i Marcei. Każdy z nas mógł mieć przyjaciela lub znajomego do protegowania na urząd. Budzyńscy z Wyszczukus należeli do powiatu żytomierskiego, a z Wygnanki do Nowogród-wołyńskiego, czyli Zwiąhelskiego. Mój ojciec zaś z synami wotował w Łuckim, jako dziedzic Holuzyi, a z powiatu Nowogród-wołyńskiego, z prawa zastawy gdzie mieszkał. Do ojca mego liczniej uderzali krewni jego z dalszych okolic Wołynia i znajomi, aby wybadać, komu z kandydatów, już na gubernialne urzędy wiadomych, sprzyjać zamysła. Obliczano partje za tym i za owym. Wszystko to było dla mnie nowością zajmującą; a co do wotowania, jakie się zwykle dopełniało wrzucaniem do balanterówki galek na prawo lub lewo, stosowałem się do rady i woli ojca mego, bo ten świat wołyński, z kilkuset osób złożony, był mi prawie zupełnie nieznany. Na sali wyborczej przedstawiał mnie mój ojciec wielu ze znakomitszych obywateli, z których wszyscy prawie byli, jak mój ojciec, w mundurowych kontuszach z kołnierzem paliowym, prócz jednego Stanisława Wurcla, który był we fraku, a kończył urząd marszałka gubernialnego. Wszyscy ci znakomitsi byli ozdobieni gwiazdami z czasów Rzeczypospolitej przy wstęgach, błękitnej Orła Białego i czerwonej św. Stanisława. Jeden tylko generał, Antoni Puławski, niegdyś konfederat barski, a biada mu! później konfederat targowicki, i nakoniec generał-inspektor kawaleryi niegdyś narodowej, lubo w kontuszu, miał przy polskich orderach i rosyjską gwiazdę. Znał go dobrze mój ojciec, a lubo nie szacował, ale spotkawszy na sali, i temu miał mnie poznać. Przedstawił mnie też podkomorzemu

Strojnowskiemu, Orła Białego kawalerowi, ale już przy szpadzie, a nie przy karabeli, jak wszyscy konuszowi, nosił się bowiem we fraku. Widziałem go później, w roku 1814, w Petersburgu, u senatora hrabiego Kińskiego, gdzie pan podkomorzy tak umiał podobać się dworowi, że tam dopiął senatorstwa, ale nie na długo, bo za panowania tegoż Aleksandra I kazano mu ustąpić z senatu za winę najścia przemocą na sąsiednie grunty małego ze wzrostu marszałka łuckiego, Majewskiego, który w procesie tak ważnym odznaczył się zwycięstwem nad senatorem, licznych włości posiadaczem. Ojciec mój miał z nim znajomość z czasów Rzeczypospolitej, kiedy ów senator był w Łucku adwokatem, gdzie mając sobie powierzone interesy bogatej wdowy, Jełowickiej, zjednął sobie jej serce powabem twarzy i głową, i nakoniec z nią objął Horochów z kilkunastu wsiami, i miał z nią jedną tylko córkę, wydaną za Jana hr. Tarnowskiego z Dzikowa, o którym, jako moim protektorze, mówić będę pod rokiem 1816. Tę żonę jego wówczas w Warszawie poznałem. Senator Strojnowski, w późnej już starości, ożenił się powtórnie z Rosyanką, i dla córki z tego związku przybyłej kupił znaczną majątność w Rosyi. Był on bratem rodzonym rektora niegdyś uniwersytetu wileńskiego, biskupa tejsze dyecezyi, a trzeci z nich, dawno już nieżyjący, smutnie dla braci zostawił wspomnienie; mówiono mi bowiem, że za czasów polskich był uwięziony i sądzony za zbrodnię zabicia jakiegoś księdza. Na tych wyborach 1808 roku podawano na marszałka gubernialnego generała, na urlopie będącego, Bartłomieja Giżyckiego, urlop bowiem był nieograniczony. Ojciec mój szczerze mu sprzyjał, lubo generał bywał niekiedy w temperamencie swoim zbyt popędliwym, o czem niżej powiem. Miał on tam za sobą liczną partycę, lecz strona prowadząca na ten urząd Aloizego Gostyńskiego, możnego obywatela w powiecie dubieńskim, puściła wieść fałszywą do ucha po

salach wyborczych, że Giżycki byle był obranym, natychmiast ustąpi miejsca trzeciemu kandydatowi, księciu Karolowi Jabłonowskiemu z Ostroga, któremu szlachta, nie wiem dlaczego, wcale nie sprzyjała. Ta ntryga dała znaczną przewagę w wotach Gostyńskiemu, którego obrano marszałkiem gubernialnym. W owych czasach nie przedstawiano cesarzowi gubernialnych urzędników do potwierdzenia wyboru. Zwykle zatwierdzał ich cywilny gubernator Komburlej, zastępujący generał-gubernatora. Potwierdzenie orzeto nastąpiło nazajutrz, a Gostyński, dobrze przygotowany, dał dla gubernii obiad, na który mój ojciec z synami otrzymał bilet zapraszający. Nazajutrz po tym obiedzie ujrzelśmy przybywającego do nas na salę wyborczą, z niezwykłą dotąd asystencyą naszego marszałka. Wyczytał w *uczreżdzeniach* Katarzyny II, że ten urzędnik w czasie zjazdów obywatelskich ma mieć przy sobie eskortę wojenną. Upomniał się więc o nią i zaparadował z sześciami na koniach za karetą dragonami. Ta niespodziana pompa podniosła w pychę niektórych z partyi Gostyńskiego, że umiał sobie tak wysoką nadać powagę. Ale nie dość na tem. Oto zwykle w czasie zebrania się wszystkich marszałków powiatowych do gubernialnego miasta dla jakichbądź powodów, zasiadali oni za długim stołem z czerwonym sukniem, a marszałek gubernialny przy tymże stole prezydował. Gostyński zaś, przybywszy z taką paradą do ich koła, chciał odrazu a widocznie okazać wyższość swoją nad nimi. Sekretarz jego kazał wnieść po za kratki, odzielające nas od koła marszałków, stolik okryty tańszym sukniem ze złotymi frędzlami, z boku stołu wielkiego postawiony. Skoro dowiedziano się, że sam osobno ma zasiąść marszałek gubernialny, dokonieci tem powiatowi, odnieśli się z zapytaniem do gubernatora, czy takie jest rozporządzenie najwyższej władzy. I na odpowiedź pana Komburleja sprzątnięto ów osobny stolik, a odtąd Gostyński, niechętny

powiatowym marszałkom, musiał z nimi przy jednym stole zasiadać. W urzędowaniu swoim nie był on wcale czynnym, ciągle prawie zastępował go żytomierski, jak mi mówiono, marszałek powiatowy. Wszedł on bowiem nieszczęśliwie w czasie tego urzędowania w *podrad* o dostawę znaczniejszej partii prowiantów dla wojska. Zboże wówczas było tanie, potem o wiele, bo o drugie tyle podniosło się w cenie. A chociaż dla tego interesu był w Petersburgu i wrócił z orderem św. Anny na szyi, ogromną przecież poniósł stratę z wielkim uszczerbkiem w majątku. Mówić jeszcze będę o nim, jak mnie raz powiatał w lat trzydzieści po tem urzędowaniu. Na prezesa sądu głównego departamentu cywilnego, który dziś nazywa się *hrażdunska pałata*, obraliśmy księcia Dymitra Czetwertyńskiego, słusznie chwalonego z prawości charakteru i zdrowego rozsądku. Jedną mu tylko wadę starsi zarzucali, iż nie więcej liczono mu lat wówczas, jak 26. Deputatami na ten sąd główny byli obrani: Jan Wyleżyński, znany z bajek o dwóch kłosach i o kaczcze, członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, później powiatowy nasz w Związku marszałek, nakoniec wizytator szkół trzech naszych gubernij, drugim deputatem znany w gubernii z wiadomości prawa i uczciwego w sądzie powiatowym urzędowania, Antoni Woronicz, brat rodzony księdza prałata, później prymas kongresowej Polski, i trzecim był Bartłomiej Hulewicz. Od rządu dodany, zasiadał tam *sowietnik*, Polak, Stanisław Zakrzewski. Nie pomnę, kto wówczas był obrany na prezesa pierwszego, czyli kryminalnego departamentu. To wiem tylko, że ten departament, gdzie sądzono samych zbrodniarzy i poddanych pod sąd urzędników za dowiedzione przestępstwo jakiejś przewarykacy, mało zajmował obywateli. Przeciwnie zaś, wiele dbano o wybór osób do cywilnego, czyli drugiego departamentu, gdzie o własność majątkową sądziły się liczne wówczas sprawy, zwłaszcza z powiatu owru-

ckiego i żytomierskiego. Pieniactwo pod tą datą prawie powszechną było namiętnością. Obieraliśmy powiatowych marszałków, sędziów, podsędków, pisarzy, deputatów do pierwszego i drugiego departamentu, deputatów do komisji legitymacyjnej, gdzie przydywał marszałek gubernialny, a sekretarz był obrany przez całą także gubernię, ale kto na jaki urząd w jakim bądź powiecie został obranym w r. 1808—nie pamiętam.

Po wyborach lipcowych 1808 roku wróciłem z młodszym bratem moim do szkół międzyrzeckich, gdzie z otrzymaną promocją wszedłem do piątej klasy. Tytuł obywatelstwa, liźnięty na wyborach, pewną nadawał mi powagę w rozumieniu moich kolegów. Zacząłem więc używać tej mniemanej przewagi nad nimi. Na przedstawienie moje, uczynione Wiktorowi Lenkiewiczowi i Antoniemu Golejewskiemu, ułożyliśmy sobie towarzystwo literackie z wezwaniem kilku innych. Co tydzień, w niedzielę, schodzili się oni do mnie, gdzie przy fajkach czytaliśmy po kolei bądź prozą, bądź wierszem utwory nasze w rozmaitych przedmiotach. Z owych pism własnych nic nie pamiętam, i z tych czasów nie pozostał u mnie najmniejszy świstek. Pomnę tylko, że Wiktor Lenkiewicz odznaczał się pomiędzy nami zawsze jakąś w swem piśmie swawolą lub sarkastycznym dowcipem. Pijarowie wiedzieli o tem towarzystwie i niektóre utwory moje czytywałem memu zawsze opiekunowi, szanownemu księdzu Kulikowskiemu. Nie naganiali nam tego ćwiczenia. Bo też obok tego, w piątej klasie, nad nauką we wszystkich przedmiotach, a szczególnie w matematyce, tak pilnie, z taką pracowałem usilnością, że prefekt Damczewski, nadzwyczaj rad ze mnie, powiedział raz w klasie: „Lat osiemnaście daję matematykę, a dotąd nie miałem tak pilnego ucznia, jak p. Szymon Konopacki.” Jakoż dziś sam podziwiam owocne moje pojęcie i pamięć. Zdarzało się, że ten profesor,

zadając nam lekcję z trygonometrii, brał w rękę z patyczków, porządnie i mocno poklejonych figurę z wielu literami, gdzie mnóstwo było pokrzyżowanych trójkątów i czworoboków, których stosunki pomiędzy nimi wyjaśniał, mówiąc raz tylko, a prawie przez pół godziny, i zapytywał: „Czy panowie pojęliście to?” a ja odzywałem się: Ja powtórzę. I udawało mi się bez omyłki powtórzyć. Ztąd profesor polecał kilkunastu moim kolegom, aby schodzili się do mnie dla przygotowywania się na następną lekcję, i ztąd u niego, jako u prefekta, tyle zjednałem sobie względów, że przy końcu szkolnego roku 1809, na jego przedstawienie, cała zwierzchność szkolna zgodziła się na wpisanie imienia mego do złotej księgi. Ale co też ta fortuna z ludźmi wyrabia! Iliński, z czarnej księgi, zasiadł w senacie! A ja... *quel état, et quel état!!!*

Na wiosnę 1809 roku, przez dwa miesiące, po cząwszy od maja, brałem lekcye konnej jazdy za zezwoleniem zwierzchności szkolnej, a to w bardzo wesołym towarzystwie innych piętnastu, pomiędzy którymi znajdował się i Wiktor Lenkiewicz. Te lekcye dawał nam koniuszy pana chorążego W. K. Jana Steckiego w obszernej jego rajtszuli, na pięknych, dobrze wytresowanych jego koniach. Ów koniuszy, nazwiskiem Biron, zda się Niemiec, brał od nas za miesiąc nauki po trzy dukaty od osoby, a lekcye bywały raz tylko na tydzień, co czwartek po południu. Jeździliśmy tam na bardzo ślizkich, a bez strzemion siodłach. Uczył nas trzymać się kolanami, gdy przyszło skakać w wielkim pędzie przez nastawione dość wysoko drągi. Uczył też zręczności w schwyceciu na kij pierścieni na hakach zawieszonych, podobnież w pędzie, czego nigdy dokazać nie mogłem dla krótkiego wzroku. Z Wiktorem Lenkiewiczem, w godzinach wolnych od publicznych nauk, braliśmy prywatne lekcye rysunków, które się zaczęły z przerwami od roku jeszcze 1807, jak świadczy

data, zapisana w zagięciu na dwóch pejzażach o jego pędzla, zrobionych wodnemi farbami, a które dziś w złoconych, brudnych dawnością ramkach, lubią tu mój pokój bawialny. Miła w nich jest pamiątka przyjaźni z Lenkiewiczem, który też same ze ną widoki ze sztychu kopiował, i miła pamiątka łodzięńczych lat moich.

W 1809 roku bawiła w Międzyrzeczu pani Wawska, z domu Lubieniecka, dla kuracyi u tamtego doktora medycyny, Włocha, nazwiskiem Awre-o. Była to, nie pomnę już w jakim stopniu, siostra oteczna mojego ojca. Po nieszczęśliwie wydanej na świat córce, także od urodzenia kalece, utraciła wią-że w nogach, paraliżem tkniętych. Mąż jej, Kacper Walewski, krewny wojewody sieradzkiego (w Tuczy-le i brygadiera Adama w Połonnem, dojeżdżał do niej niekiedy ze wsi Chołopy, w połowie dziedzicznej ubienieckich, jej stryjów. Pani Wawska, zamie-żkawszy dla kuracyi w Międzyrzeczu, gdy się do-iedziała, że tam ja z moim bratem w szkołach je-eśmy, wezwała nas, jako krewna naszego ojca, do siebie. Była to pięknie ukształcona kobieta i ściśle iała stosunki z niektórymi ze świetniejszych niegdyś mów wołyńskich. Twarz jej dla malarza nie mia-wzorowych rysów, lecz brak tej zalety w jej trzy-estu latach wynagradzał w mowie i spojrzeniu raz dobroci i łagodności. Ciągłe siedząc w fotelu-którego przenoszono ją z łóżka, ze świętą cierpli-ścią znosiła stan opłakany zdrowia. Powitała nas uprzejmą przychylnością familijną. Zastaliśmy y niej dwóch jej synów, Władysława i Juliusza, których starszy pozostał dotąd już ołysiałym ka-lerem, a młodszy ożenił się z hrabianką Krasicką. Wła wiała przy niej, jakby dawniej nazywano, rezydent- , bardzo przystojna panna Kulczycka, do której ówczas zalecał się piękny, młody, świeżo wyszły Uniwersytetu doktor medycyny, pan Zejdel, i z nią krótko ożeniony, zamieszkał w Starym Konstany-

nowie. Panią Walewską, jako dobrą krewną moją często w Międzyrzeczu odwiedzałem. Niedługo ona w kalectwie swoim żyć mogła. Jakoż w rok później dowiedziałem się już w domu, że odętwiałość od nóg, przechodząc stopniami coraz wyżej, śmierć jej przyśpieszyła. Owdowiały Kacper Walewski bywał u moich rodziców i dawał mi do poznania, że zamierza starać się o rękę siostry mojej, Katarzyny, później Duninowej. Ktoś z jego rodziny skierował go do panny Oświęcimskiej i z nią się ożenił.

Wyszedłszy z chlubnym atestatem ze szkół międzyrzeczkich księży Pijarów w lipcu 1809 roku, gdy przybyłem z młodszym bratem do domu, zaledwie upłynęło dwa tygodnie, dobry a gruntownie rozsądny mój ojciec powiedział mi: „Wielkim byłoby grzechem, gdybyś ty w domu siedząc, wyszedł na próżniaka, co to bywa nieprzydatny ni ludziom, ni sobie. Trzeba, synu, abyś ty się udał do palestry żytomierskiej, gdzie byeś chciał tylko, nauczysz się praw, jakie i przodkom naszym służyły; bo dozwoliła na to po rozbiórce kraju cesarzowa Katarzyna II i jej następcy Paweł i dziś panujący Aleksander I. Możesz przy pracy schwycić pamięcią owe prawa z samego słuchania wniesień, czynionych przez patronów, i wypadłych na te wniesienia dekretów sądu głównego cywilnego departamentu. Przygotuj się do tego, że niekiedy będę cię badał o powodzenie spraw, jakie mnie mogą zajmować, gdzie ty masz mi przywozić zasady, na jakich dekret jest oparty. Mam dobrą znajomość z zacnym panem Nikodemem Szczepkowskim, który jest mecenasem, a jednym z pierwszych przy sądzie głównym. Będę go przez list mój prosił, aby on cię zaliczył do swoich dependentów. Nim tu ze szkół przybyłeś, już obmyśliłem mieszkanie twoje w Żytomierzu. Podśódek tamtejszego sądu powiatowego, Michał Trypolski, ożeniony z siostrzenicą matki twojej, Zuzanną Budzyńską, ma w Żytomierzu rocznie najętą połowę domu sekretarza

gistratu, pana Horbawenka, z osobną izbą dla czezi i z kuchnią. Trzeba ci wiedzieć, że on trzy y tylko w ciągu roku zjeżdża tam na kadencyę, li sądy powiatowe, to jest w styczniu, w czerw i w październiku, gdzie zabawiwszy trzy tygo e, najwlecej w mieście, wraca do siebie na wieś, stawiający najętą połowę domu zamkniętą. Otóż wiadczyl mi, że ty możesz tam mieszkać. Na two konieczne potrzeby przeznaczam dla ciebie roczną isyę dukatów czterdzieści, a osobno na stół trzy katy na miesiąc. Te pieniądze odbierać będziesz artalami z góry. Ale uprzedzam cię, synu, że mieście gubernialnem młody, jak ty, człowiek, y pieniądzech bywa narażany na okropne zgor nia. Módl się więc, proś Boga, abyś był wolnym wszelkiej podobnej pokusy, bo inaczej ciężkie do esienia mogłoby cię spotkać nieszczęście. Oto ieży masz przykład. Umarł w tym roku Adam życki, porucznik niegdyś kawaleryi narodowej, t Franciszka, pułkownika, ożenionego z Sulatycką, generala Bartłomieja, ożenionego z Ilińską, siostrą natora. Ten zmarły Adam był bezzennym i już mógł się ożenić, bo w młodszych latach poszedłszy ogą zepsucia, oszepony został utratą nosa i stał obrzydzeniem dla świata. Człowiek taki jest jak dawniej wyklęty przez kościół, musi żyć w odobnieniu, samotny, nikt chętnie do niego zbliżyć się waży, bo go dotknęła kara Boża, zaraźliwa, strana choroba. Niech ten przykład na zawsze utkw i twój pamięci, a za łaską Boga wyjdiesz na użyz nego ludzom człowieka i zjednasz sobie szacuk. Jest tam kilku, jak mi Trypolski mówił, sy w obywatelskich dla ćwiczenia się w prawie, le d wszystkich cytowano mi Antoniego Poradowskie , który jest synem znanego mi zacnego szambela Poradowskiego. Staraj się o przyjaźń tego mło eńca. Mówią, że on już postępem wielkim w wia nościach prawa odznacza się.“

Skoro dla brata mego Franciszka skończyły się w tymże 1809 roku wakacje, on wystany został do konwiktu szkół międzyrzeckich, gdzie od osoby płacono rocznie 50 dukatów, a w kilka dni potem, przy dostatecznym opatrzeniu mojej garderoby, wyjechał do Żytomierza.

Palestra Żytomińska.

Przybywszy do Żytomierza wprost na wskazaną mi kwaterę podsędka Trypolskiego, zastałem tam dla jakiegoś interesu, gdzie dwa dni tylko mi zabawić. Poprowadził mnie wieczorem do kolegi swego, pisarza sądu powiatowego (którym wówczas mianowano: „sąd ziemski“, a dzisiejszą powiatową policję nazywano „sąd niższy“, a ztąd zasiadający tam asesorów, mianowano w zwykłej mowie, „niższymi“). Tym pisarzem sądowym, mającym wówczas głos doradczy w komplecie, a na zjazdach, czyli ko-descensyi, głos stanowczy, był pan Ignacy Dobielewski, następnie podsędek tegoż sądu, potem sekretarzem sądu głównego po panu Rożańskim, nakoniec deputat obrany przez gubernię do cywilnego sądu głównego. Na tym wieczorze zabrałem znajomość z młodym jak ja Antonim Poradowskim, który tam miał swoją kwaterę, poznałem obecnego tam sędziego pana Józefa Ziarskiego, który nosił się w kontuszu, podobnie jak pisarz, dał mi się poznać brat pisarza, Feliks Dobielewski, adwokat sądu głównego, i jeszcze dwóch, czterech gości, których nazwiska dziś nie pomnę.

Nazajutrz gdy Michał Trypolski odjechał do wsi Wołosowa, gdzie miał część po ojcu swoim, a gdzie poważna wiekiem pani sędzina wdowa matkę jego mieszkła, aby ją tylko odwiedzić, bo sam podsędek mieszkał w Tysiunnikach, wziętych w posiadanie

po żonie, udałem się po mszy świętej do p. Nikodema Szczepkowskiego, który na wspomnienie, czym jestem synem, uprzejmie mnie powitał, a przeczytawszy list mego ojca, z ożywioną w twarzy radością odezwał się: — „Bardzo rad jestem ufności ojca pańskiego! Znajdziesz tu pan młodzież godną jego towarzystwa, z których każdy prawie sposobi się do sądowniczych urzędów, i każdy, byle szczerze pracował, może być użytecznym w obywatelstwie”. Zaprosił mnie na obiad na godzinę pierwszą. Był to dzień świąteczny, w którym juryzdykcyce były zamknięte. Na obiedzie poznałem u niego pana Zenona Orde z powiatu włodzimierskiego, który w podobnym jak ja wieku, zaciągnął się tu na dependenta. Po obiedzie, gdyśmy oba wyszli na miasto, opowiedział mi, że i dwaj inni, których widziałem u stołu, są dependentami pana mecenasa, lecz oni są niższego rzędu, sposobią się jedynie na advokatów, nic mu za stół nie płacą, lecz za to wysyłani są przez niego do archiwum grodzkiego i ziemskiego dla często potrzebnej kwerendy, przepisują na czysto jego wniesienia i summaryusze, a nadto prawie codzień koleją noszą, za nim do sądu głównego pliki dokumentów w takiej ilości, że zaledwie je serweta objąć może.

Prosiłem go, aby mi ułatwił umowę o obiady; zdawało mi się bowiem, że w tym przedmiocie przystęp do mecenasa w kontuszu o złotolitym pasie będzie mi za trudny. Ale nazajutrz, gdym był u niego, on uprzedzony przez p. Orde, sam przemówił: — „Bardzo chętnie przyjmuję propozycję pana, objawioną mi przez pana Orde. Mam dobrą znajomość z ojcem pana, więc miłe dla mnie będzie dłuższe z nim towarzystwo, a w dodatku, może w ciągu obiadów znajdzie się niekiedy i korzyść z gawędy, bo nieraz o toczących się sprawach w sądzie głównym wypadnie nam mówić”. — Wydobyłem z woreczka moje trzy dukaty i położyłem je przed nim

na stoliku; on je schował i odezwał się: — „Wypada tylko uprzedzić pana, że niekiedy w sprawach ważniejszych wniesienia obustronne przeciągają się do godziny drugiej, i że w takich zdarzeniach trzeba mu będzie coś przekąsić na śniadanie u siebie lub tuż przy sądzie głównym w traktynie pani Gruszeckiej“.

Codziennie bywałem na sesjach sądu głównego, gdzie niebawem mnóstwo porobilem znajomości. Przy pierwszym tam wejściu, skoro deputat Antoni Woronicz dostrzegł mnie stojącego blisko kratak, on, który bywał u mojego ojca, wnet zbliżył się, powitał, wezwał mnie po za kratki, przedstawił księciu przesosowi i kolegom swoim, a odtąd w tej izbie sądowej już nie byłem obcym. Jowialny Stanisław Zakrzewski, *sowietnik* sądu głównego, który dziś nazwany jest towarzyszem prezesa, w przerwach wniesień adwokackich czasem podchodził ku kratkom i żartobliwie odzywał się do nas, młodzieży. Znał on mojego ojca, ztąd niekiedy zapraszał mnie na ciepłe śniadania. Bywałem czasem na wieczorach u księcia prezesa Czetwertyńskiego, który zamieszkał tam z żoną i dziećmi. Księżę wiódł życie dość wystawne; dawał niekiedy bale, na które zwykle bywałem zapraszany. Był to kłopot niemały dla pieśzaków, jak ja: dorożek wówczas do najęcia nie było, ulice niebrukowane a okropnie błotne; trzeba było szukać kogoś aby mnie, na bal ubranego, wziął do swojego powozu. Żytomierz natenczas, uznawany tymczasowo miastem gubernialnem, był z pozoru lichem miasteczkiem. Naprzeciw kościoła Bernardynów, przy „kłodzie”, tak nazwanej pod daszkiem mierze zbożowej, leżała na rynku odwieczna sterta gnoju, codziennie wzmagająca się. Domy żydowskie, lubo zajędne, ale drewniane i niektóre do upadku nachylone. Na Cudnowskiej ulicy zakładano fundamenta na jednopiętrową kamienicę skomorowskiego żyda, arendarza wsi Skomorochy. Tuż obok zastałem już jedyną

mieście kamieniczkę o piętrze Galla, która tam
 tądy wiekują obok dzisiejszych gmachów kilkopię-
 wnych, które i w stolicy mogłyby mieć niepoślednie
 ejse. Latarni w całym mieście nie było. Tak
 dźnie przedstawiało się miasto gubernialne w roku
 09 i 10-m i takim było jeszcze z częściowem
 zmaganiem się murowanych domów, przez lat kil-
 naście, aż po gubernatorze Giżyckim w roku 1826
 stał gubernatorem Litwin, Andrzejkowicz, który
 zaltownemi środkami zmusił mieszkańców do łożę-
 u kosztów na bruk łątwy ze sterzących tam ka-
 eni nad Teterowem i na zaprowadzenie latarni po
 wszystkich ulicach. Piękna katedra, murowana z cza-
 w Rzeczypospolitej, trwa tam dotąd bez żadnej
 niany; lecz nad rynkiem kościół Bernardynów dre-
 niany, fundacyi dawnej starosty żytomierskiego,
 jetana Ilińskiego, spłonął w pożarze miasta roku
 20 w czasie wyborów, za gubernatorstwa Giżyckie-

Bartłomieja, ożenionego ze starościanką Ilińską.
 n gubernator łożył koszt znaczny z przyłożeniem
 okolicznej składki na wymurowanie OO. Bernar-
 nom: kościoła w miejsce spalonego. Mury kla-
 orne przy drewnianym kościółku dawnej są fun-
 cyi. Lecz niedługo ten zakon cieszył się nowo-
 niesioną świątynią Pańską. Pokasowano razem
 zyskie ich klasztory, a w całej gubernii Wolyńskiej
 został jeden klasztor Bernardynów w Zastawiu.
 zebuwając w palestrze żytomierskiej, bywałem naj-
 ęższej u Bernardynów na nabożeństwie; ztąd w pa-
 ęci mi pozostał nagrobkowy napis na pomniku dla
 rościny Ilińskiej, z domu Wessłówny. Wiadomo,
 z teje rodziny była żona królewicza Konstantego
 bieskiego. Jakiś poeta bernardyński schwył do
 winowactwo ku podniesieniu rodu pani starościny,
 ak po niej żal swój wyraził:

„Z Sobieskich królu polskił twój bliski kwiat niknieł
 Wessłowiel wasze grono między trupy padał .

Tu Iliński w sieroctwie omglewać przywyknie
 Starosta żytomierski, gdy już zwtoki składa
 Swej żony... Czytelniku! racz się zastanowić
 Za Maryę-Józefę troje Zdrowaś zmówić!"

Wątpię, aby kto z dziś żyjących wiedział o tym nagrobku, splonionym w pożarze 1820 roku razem z drewnianym kościołem. Po kasacyi Bernardynów żytomierskich kościół ich, murowany kosztem Gizyckiego, oddany został księżom świeckim.

Wracam do moich tam wypadków w roku 1810. Żebrał obdarty, bo pijak, nazwiskiem Salomoński, układał wiersze, gdzie wprawdzie były rymy, ale sensu ani za trzy grosze. Zeszyt tych wierszy zawsze tenże sam, ale ze zmianą adresowej kartki, obnosił koleją do przybyłych obywateli i nas miejscowych mieszkańców, aby coś otrzymać na wódkę. Był też i u mnie z parę razy z tym zeszytem, a gdy schwylił datek, zwykle prosił, aby mu natychmiast po przeczytaniu zeszyt ten zwrócić. Wówczas oddzierając adres, przyszywał inny, i szedł dalej próbować szczęścia. Salomoński, jak się później okazało, powziął od kogoś wiadomość, że ja składam wierszyki; było to na moją konfuzyę, jaka mnie niebawem, a niespodzianie spotkała. Książę prezes Czetwertyński mieszkał dość daleko od izby sądowej, na końcu ulicy Wilskiej. Raz po długiej slocie, wychodząc z sesyi, wezwał mnie na obiad i zaprosił do swojego spuszczonego koczka. Noga za nogą, jadąc powoli po ogromnem błocie przez miasto, zbliżamy się do miejsca, gdzie trzech posługaczy policyjnych pora się koło kogoś, aby pijanego wydobyć z rynsztoka. Za ledwie podtrzymując, postawili go na nogach, on dostrzegłszy nas blisko siebie, żałośnie zawołał: — „Kolego! kolego, panie Konopacki! ratuj mnie!” — Książę uśmiechnięty spojrzał na mnie, i ja, lubo z goryczą w duszy, zaśmiałem się. Ale razem wytlómaczyłem księciu zagadkę owego w rymach koleżeństwa. Tym sposobem rad nicrad musiałem objawić księciu upo-

BIBLIOTEKA SZCZEPAŃSKICH

M

dobanie moje w poezji. Z takim bowiem usposobieniem wypadło wówczas ukrywać się, bo nazwa poety, po większej części, była tytułem próżniaka.

Pomiędzy kolegami moimi w prześwietnej palestrze był młody z powiatu łuckiego Węgrzecki, prostoduszne stworzenie Boże, który później, przez wpływy familijne, zostawszy marszałkiem tegoż powiatu, zostawił po sobie pamiątkę szczególniejszego rachunku lat swoich. Gdy był na tym urzędzie, raz z grona obywateli na jego obiedzie, gdy on coś prawił o dawniejszych czasach, ktoś zapytał go, kiedy się urodził. Na daną jego odpowiedź, ktoś drugi rzetelną odpowiedział liczbę jego lat. On na to: — „Przepraszam! Mylisz się, mocimbdzieju! Ja przyszedłem na świat dnia pierwszego września, to jest o cztery miesiące przed nowym rokiem; a przeto należy potrącić z każdego roku lat moich po cztery miesiące, a zobaczysz pan, mocimbdzieju, że o wiele jestem młodszym niż się komu zdaje”. — I ten sławny rachunek, nie dla żartu, ale jakby najściślejszą prawdę matematyczną powtarzał, chlubiąc się tem własnem odkryciem.

W palestrze będąc, mnóstwo porobiłem znajomości z przybywającymi za interesami obywatelami. Jeden z takich, z powiatu żytomierskiego, młody Józef Głębocki, mocno mnie polubił. Często on tam dojeżdżał ze wsi do brata swego Kantego, który był powiatowym marszałkiem. Weselo dni moje schodziły i nie zawsze beczynnje. Pan Szczepkowski powierzał mi niekiedy ważne i mniej ważne dokumenty dla ułożenia rozumowanych sumaryuszów. Czasem nudzącą mnie beczynność osładzało najmiłsze towarzystwo Antoniego Poradowskiego, z którym w ścisłych byłem stosunkach. Dojeżdżał tam niekiedy mój przyjaciel i kolega szkolny, Józef Bobrowski. Pomnę, że raz przybył w zimowej porze i zająchał wprost o mojej u Horkawenka kwatery. Po odbytych ze mną noclegu, gdyśmy zaczęli się ubierać, zapytałem

go: „Czy na poranny traktament będziesz pił, cenny Józefie to, co ja teraz pijam?“ — „Ja zgodzę na wszystko, czy dasz kawę, czy herbatę“ — odwie. — „Nie zgadłeś!“ — rzekłem mu — bo ni jedni drugie, ale najtańszy krupniczek jęczmienny nawet bez mięsa, nawet bez masła.“ — Zaśmiał się i rzec — „A zkadże u licha ten twój post tak ścisły?“ „Słuchaj, a nie zdziwisz się. Biorę od mego o kwartalną pensję z góry. Tymczasem, w bieżącej kwartale zdarzyły się potrzeby nieprzewidziane, a by konieczne, które pokazały mi wkrótce denko na jego woreczka. Znam dobroć ojca, on na przedwieśną moją odezwę nie odmówiłby mi przystania pniędzy; ale wiem z pewnością i o tem, że zmartwił się, iż nie umiem zastosować rozchodów do możliwości; a dałem sobie słowo nic tu nie brać kredytu, ani też długu jakiego zaciągać. Garnuszek krupniku, oto w tym piecu zgotowany, kilka groszy kosztuje. Mam jeszcze ze trzy złote, one mi na wystarczą; a za parę tygodni, to jest w termin właściwym, ojciec niezawodnie kwartalne przy pieniądże“. — On na to: — „Ale weźże u mnie kil rubli, a potem je oddasz!“ — Pożyczyć nie mogę, przelamałbym dane sobie słowo; a darowizny, nawet od ciebie, drogi mój Józefie, nie przyjmę. Jeśli mi kochasz, to na pamiątkę ku dalszym latom napiję się ze mną postnego krupniku.—Zawolałem na me fagasa i ten przyniósł nam na tacy dwie szklarki i parujący krupnik w garnuszku. Ten kochany Józef Bobrowski, przyjaciel mój do śmierci, zawarł też śle stosunki z Antonim Poradowskim i obadwa nieraz razem bywali u moich rodziców, a co z tego wynikło, niżej, lubo z boleścią serca, opowiem. ♡

A co do spraw w tym sądzie głównym, ileż wniesień obito się o uszy moje! Nie mogę dziś wliczyć ważniejszych nawet procesów, toczących przy mnie po lipiec 1811 roku, to jest po datę wborów, na których obrano mnie już urzędnikiem. N

które przecież utkwily mi w pamięci. Trudnożbo zapomnieć, na przykład, o podłem frymarczeniu, przez które wyludzano rewersa u marnotrawców, jakim był np. Teodor Urbanowski, młody dziedzic dóbr Cepcewickich, który, jak jemu podobni, poddawał majątek pod rozbiór. Sławna też sprawa tam była przeciw panu Korzeniowskiemu, dziedzicowi Kodni, z czasów, gdy on był prezesem tegoż sądu głównego, a pod cudzem imieniem nabywał dobra małoletnich Moczulskich za najlichszą cenę. Wnosił tę sprawę przeciw Korzeniowskiemu adwokat Wincenty Łoziński, ojciec niedawno zmarłego w Syberyi Bolesława, który był ożeniony z córką J. I. Kraszewskiego, jednego dziś z najznakomitszych autorów naszych, która owdowiawszy, wracała do Warszawy z dwojgiem małoletnich dzieci i nagle w drodze na stacyi pocztowej umarła, a szczęściem dla tych sierot, ktoś także wracający z Syberyi, zabrał je do Warszawy, aby oddać ich babce tam mieszkającej osobno od męża, bo nasz kochany autor zamieszkał w Dreźnie. Wincenty Łoziński we wniesieniu swoim wcale nie szczędził obecnego w sądzie sekretarza pana Różańskiego, który w tym urzędzie był i przy Korzeniowskim, a co dziwniejsza, nie szczędził również rodzzonego brata swego, Feliksa Łozińskiego, który będąc plenipotentem Moczulskich, zмовnie z prezesem i sekretarzem, działał na szkodę małoletnich. Na tę zdrożność mrowie przechodziło po mnie! Mniemałem, że po tem wniesieniu tak ohydnej czynności krwawe niechybnie nastąpi starcie się pomiędzy Wincentym Łozińskim a panem Różańskim. Lecz jakież było zdziwienie moje, gdy po zadzwonieniu na ustęp, wśród licznie zebranych nas w bocznej sali, wpadł uśmiechnięty z izby sądowej sekretarz, zaczął ścisnąć i całować adwokata, mówiąc mu głośnie te słowa: — „Bodać ciebie, panie Wincenty! Wszak i bez tej sprawy wszyscy wiemy, żeś ty poczciwy człowiek; a bez

żadnej potrzeby wiele szczegółów przedstawiłeś". —
I na tem skończyło się tak silne dotknięcie honoru.

Pomiędzy poważnymi wiekiem mecenasami najpiękniejszą odznaczał się wymową i wielką znajomością prawa pan Dubrowlański, już o siwym włosie. Mówiono, że należał on za czasów jeszcze Rzeczypospolitej do palestry lubelskiej. Był osiadłym obywatelem powiatu żytomierskiego, jako dziedzic wsi Kokulina, którą na prawie dożywotniem zostawił owdowiałej żonie. Głoszono piękność ich córki, która wyszła za Andrzeja Niewmierzyckiego, dziedzica wsi Stołpowa pod Cudnowem, i miała z nim córkę, wydaną za Piotra, syna Michała Trypolskiego. Lecz pani Andrzejowa Niewmierzycka, na lat kilka przed wyjściem za męża swej córki, dość jeszcze młoda i piękna, dała się skłonić podszeptom pana Adolfa Grocholskiego, wymknęła się tajemnie z domu męża i osiadła w domu pana Grocholskiego, w Czerwonej, przebrana po mężku pod imieniem młodzietkiego Dunina. To jej tam przebywanie trwało lat ze dwa. Ale raz, pan Andrzej przybywa dla sprawunków do Berdyczowa i spotyka na ulicy miasta nadzwyczaj paradny z pochodniami kondukt przy asystency rozmaitych księży. Zapytuje kogoś z nieznanomych czyj to jest pogrzeb, a ten mówi mu: „Pani Niewmierzyckiej ze Stołpowa“ — Powinien był powiedzieć z Czerwonej. Ale widać pan Grocholski, podejmując koszt dla niej ostateczny na tę paradę chciał zatrzeć przed światem jej nieprawę u niego przebywanie. Mówiono, jakoby tej nieprawości sprzyjała jej matka, stara pani Dubrowlańska i ztąd później ożeniony z jej wnuką Piotr Trypolski, gdy ta bywała niekiedy z uszanowaniem u babki w Kokulinie, nie chciał nigdy tam towarzyszyć swej żonie i nie mogąc przebaczyć obojętności tej staruszki na zboczenie jej córki, nie życzył sobie poznać jej na wet. Tu nadmienić potrzeba jeszcze o widzeniu, jakie miał ten Piotr Trypolski. Gdy pani Dubrowlańska

ska umarła, on po raz pierwszy przybył do Kokulina, aby w imieniu jej wnuki, a swej żony, objąć tę wioskę prawnym porządkiem. Tam samotnie nocując w pokoju niegdyś nieboszczki, gdy przy świecy w łóżku długo w noc czytał, nie mogąc zasnąć, zjawia się postać nieznaney mu staruszki z oburzeniem w twarzy; milcząca, pogroziła mu palcem i znikła. Opowiadał potem o jej ubraniu, i poświadczono, że w takim właśnie położono ją do trumny. Zapisuję ten wypadek dla siebie, nie oglądając się na żarty innych z duchów, niezgodnych z wysoką oświatą dzień następnego wieku. Ja prostak, wierząc w nieśmiertelność duszy i wszechmocność Boga, przypuszczam sobie, że owe widzenia zdarzają się za Najwyższą Jego wolą, jako przestrogi ku dobru ludzi. Rozważmy następstwo owej groźby staruszki. Pani Piotrowa Trypolska wyszła za mąż w latach szesnastu i była cudnie piękną. Kochał się w niej, lubo żonaty, blizki o miedzę sąsiad Stolpowa, mieszkający w Drennikach pan Słowacki, stryjeczny brat znanego w kraju poety Juliusza. Zazdrość nim miotała na widok szczęścia Trypolskiego. Na samej granicy gruntów stolpowskich jest małe jeziorko, należące do Drennik. Tuż nad tem jeziorkiem były zebrane konopie pana Andrzeja Niewmierzyckiego, jako na własnem jego polu. Ekonom jego, nie zasięgając rady swego pana, namoczył te konopie w swem jeziorku. Pan Słowacki, rad sposobności do ostrej zaczepki, nie zrobił odezwy z jakimi bądź wyrzutami do tak blizkiego sąsiada, właściciela namoczonych konopi, lecz napisał list do jego zięcia Piotra Trypolskiego, gdzie najszkaradniej obryzgał błotem i pogardą jego teścia. Ów oszczerczy list, wysłany o trzy mile do wsi Raczek, gdzie Trypolscy natenczas mieszkali, w niebytności męża odebrała żona. Wyczytawszy w nim niezasłużony paszkwil na ojca, odpisała mu krótko, że z tej jednej sprawy o namoczenie konopi wnosić wypada, iż wszystkie niegodzi-

wie uczynione zarzuty jej ojcu raczej do niego stosować się mogą. Z tej odpowiedzi pan Słowacki wziął pochop do wyzwania jej męża na pojedynek. I niewinny, poczciwy Piotr Trypolski, strzałem z pistoletu trafiony w samo serce, padł trupem, zostawivszy młodą wdową i osierociwszy troje małoletnich dzieci. Słowacki w obawie prześladowania od rządu zemknął za granicę. Lecz po upływie roku, tęskniąc do swoich, a w sumieniu czując się winowajcą, napisał z Brodów list do wolyńskiego marszałka gubernialnego ś. p. Karola Mikulicza, aby on sprawę jego pojedynekową, jako konieczną, bo honorową, raczył poddać pod sąd całego koła marszałków powiatowych. Z odpowiedzi Mikulicza, wyrozumiawszy, że mu tu nikt ręki nie poda, w Brodach w leb sobie wystrzelił.

Po tak długim ustępie o sukcesorach mecenasa Dubrowiańskiego wracam do mojej palestry. W następnym 1810 roku, korespondując niekiedy z moim ojcem, chciła mnie wzięta ku jego pociesze naśladować Antoniego Poradowskiego, który często czytywał przy kratkach sądu głównego wymowne wniosienia swoje. Ośmieliłem się prosić p. Szczepkowskiego, aby mi dał jeden z procesów wytoczyc się mających w sądzie powiatowym. Jakoż powierzył mi sprawę żyda przeciw panu Michałowi Korzeniowskiemu, dziedzicowi Kodni, o tysiąc kilkaset rubli. Po przejrzeniu dokumentów uznałem sprawiedliwość w zaroszczeniach powoda. Ztąd, bez żadnych wybiegów prawniczych, dało się ułożyć przekonywające wniosienie, którego nawet nie dawałem do przejrzenia mojemu mecenasowi. Wystąpiłem z tą sprawą u kratak sądu powiatowego i mile mi było zdziwienie krewnego mego podsejdy, Michała Trypolskiego, i znanych mi: sędziego Karola Jezierskiego i pisarza Ignacego Dobielewskiego, którzy tę sprawę sądzić mieli. Wykrętne było tłumaczenie się plenipotenta pana Korzeniowskiego, nie zasługujące

z mojej strony na replikę. Uśmichnąłem się tylko sprawę żyda wygrałem, nie widząc go ani wprzód, ani po wygranej. Było to pierwsze i ostatnie w Żyromierzu moje wystąpienie adwokackie. Ale do ciotki mojej, Józefy Budzyńskiej, mieszkającej w Wyżnauce o mil dziesięć, wdowy po Wojciechu Budzyńskim, a stryjecznej siostry mojej matki, doszła wieść o tym tryumfie moim. Ona dowodząc mi wielkiej rodzinnej przychylności, uznała już godnym ufności jakoby prawnikiem. Odebrałam od niej list, wzywający mnie do wpływu w jej interesie z sukcesorami zmarłego marszałka Czajkowskiego w powiecie Żytomierskim, po którym majątek poddano pod rozbiór. Ten Czajkowski należał do *podradu* o dostarczenie prowiantów wojskowych. W tym celu zakupił zboże u mojej ciotki, dał na to dokument i nie uiścił się. Przysłała mi ciotka odezwę Czajkowskiego o sprzedaż owego zboża i potem wystawiony przez niego dokument, a przy liście ciotki mojej było przyłączonych kilkanaście rubli srebrnych na kosztą odróży. Należało się ciotce mojej, wedle dokumentu, dwa tysiące kilkaset rubli, oprócz procentów. Prosiła mnie w liście swoim, aby z temi jej dokumentami udać się do wsi Ozadowki pod Berdyczowem na oznaczony termin oblikwidacji długów, co wykle poprzedzało eksdwywizję długów majątku.

Pomnę, jaka mnie radość objęła na tę ufnosć Ochanej ciotki i że na zjeździe w Ozadowce powa-
 ną już rolę odegram. Nie dziwi mnie dziś ta chę-
 lliwość, bo wówczas jeszcze nieskończonych miałem
 iłt dwadzieścia. Nająwszy brykę żydowską, ruszam
 mil kilka na oznaczony termin do Ozadowki. Dość
 óżno przybywszy, zajechałem do karczmy na noc-
 ąg. Nie wiem, co mój lokaj znalazł tam na wie-
 zerzę za wziętą u mnie złotówkę. Ja, lubo głodny,
 le zdrożony, najsmaczniej zasnąłem. Nazajutrz, ubraw-
 ży się, wypilem szklanke przegrzanego mleka,
 po fajce, po godzinie ósmej, już byłem gotów je-

chać do dworu, kiedy karczemny arendarz wszedł do obrachunku za nocleg. Gdy odebrał, co mu należało, pytam go, kto dziś we dworze jest gospodarzem? — „A pan nie wie?” — A nie wiem i o tego pytam. — „Może pan ślisał o bracie marszałka, co umarł, a jeżeli nie ślisał, to ja powiem: Jan Czajkowski, starosta bachtyński, to won teraz ten gospodarz.” — Powiedz mi co o tym staroście, czy on człowiek wiekowy, czy bogaty? — „Młodszy był od swojego brata, marszałka, ale już dobrze się a co do bogactwa, at! On, prawda, ma majątko, no, co do za sztuka, że zbiera pieniądze, które kądalszy zabierze, bo on dzieci swoich niema. V taki skąpy, tak na grosz łapczywy, że żyd najubogniejszy więcej straci na żywność, niż pan Bachtyński. Win mięsa nigdy nie kupi; ale jak zobaczy swoim dziedzińcu świnie ze wsi, to każe łapać i uszy im obrzynać, a z tych uszów gospodyni gotuje jemu potrawkę. At! paskudny człowiek. Wszytu mówią, że on obiadu nie każe gotować, bo i kucharza niema. W święto tylko z piekarni jeść przynoszą. A na codzien wie pan, jak on żyje? V wychodzi na tok albo w pole zrana do robotników, kiedy kobiety przynoszą mężom ich obiady. V tak wstydu niema, że idzie od garnuszka do garnuszka i każdej z tych kobiet mówi: „Muszę zobaczyć, jak wy szelmy baby karmicie swoich mężów!”—I po kolei tu chlipnie kilka łyżek barszczu, to po trochu u każdej to klusek, to kaszy lub grochu i już na cały dzień był syty. Ja: że jemu nie być gatym?” To może i z nas gości nierad będą. „Nu, gdyby to szło o jego majątek, to pewnie pocięstwo tam byliby głodne. Ale wdowa po marszałku przysłała kucharza z Berówki i sama dziś przyjeżdża: bo dziś urzędników spodziewała się.” Po takiej w domości o staroście bachtyńskim niezwłocznie siadł do bryki i ruszam do dworu. Nie zastałem jeszcze nikogo z gości. W pierwszym pokoju spotkałem

starosta. Powiedziałem mu przy ukłonie, kto
 am i po co przybyłem. On na to: „Czy pan
 jesteś synem Prokopa?“ Z odpowiedzi mojej do-
 dziawszy się, że tak jest istotnie, zaprosił mnie
 drugiego pokoju, gdzie zaledwieśmy usiedli, przy-
 ono mu na małej tacce kawę w jednej tylko li-
 nce. Na ten widok pomyślałem, że z tego poda-
 posiłek nie dostanie się dla mnie. Lecz omyliłem
 bo pan starosta, dolawszy do swojej kawy poło-
 garnuszka śmietanki, podaje mi resztę i rzecze:
 że pan tę trochę wypije“. Rumieniec uderzył na
 rz moją z oburzenia i wstydu, że mnie uważa
 młokosa, który na śmietance poprzestanie. A więc
 małem: — Dziękuję panu, ja już po kawie. —
 trótcie potem zaczęli zjeżdżać się wierzyciele nie-
 zczyka, krewni i urzędnicy, wielu też było i ple-
 otentów, znanych mi z Żytomierza, a przy-
 kilku z młodzieży, co zwykle, byle okoliczność,
 gała się na zjazdy. Podano nam obfite śniada-
 zimne i ciepłe, po którym, pod prezydencją urzę-
 ków sądu powiatowego, w obszernej sali, zaczę-
 na ich wezwanie, w akcie zjazdowym zapisane,
 edstawiać dokumenta, które plenipotent od masy
 eglądał i nad niektórych ważnością czynił prze-
 ce uwagi. Z kolei i ja dokument, ciotce mojej
 żyńskiej służący, złożyłem. Bez żadnego zaprze-
 nia wpisano dług jej należny, jako mający być
 czony przez wydział w ziemi. Pod koniec tych
 isów nadjechała w żałobie po mężu młoda i bar-
 miła pani marszałkowa. Młodzież natłocznie
 nęła się do niej z powitaniem a ja nieznanym
 siłem obecnego tam Józefa Głębockiego, aby mnie
 raczył przedstawić. Po sutym, a dość spóźnio-
 n dla całego zgromadzenia obiedzie, gdzie z ko-
 sama tylko była gospodyni, wszyscy młodzi
 zaliśmy ją grzecznosciami, na jakie kogo star-
 ło. Jeden nawet z krewnych jej zmarłego męża
 am się odezwał: „Pani wyobrażenia mieć nie mo-

żesz, jak mocno działa na nas ten czarny jej ubiór! Naprzód przy tym kolorze cudnie odbija wdzięk jej lat wiosennych! Powtóre pod tym ubiorem... wdowa! Ten jeden wyraz ściągą konieczny hold swiata. jakby religijny? O! w tak młodych latach, przy takich powabach, utraciwszy podeszłego męża, wiele się zyskuje na żalobie!" Zarumieniona spuściła oczy i po chwili przytłumionym głosem rzekła mu: „Pozwoli pan, abym zrobiła mu na to uwagę, iż z mojego położenia żart widoczny z ust jego zdaje się niewłaściwy“. Przeprosiła ją ucałowaniem ręki i znów uśmiechnięta obdzielała nas czarami swej uprzejmości. Wieczorem po herbacie ktoś zaproponował gry wówczas powszechne. Graliśmy to w sekretarza, to w sąsiada, to w dwuznaczniki, a gdy przyszło się komuś na cenzurze, a na mnie wypadło zbierać tajne o nim zania i zbliżyłem się po kolei do pani marszałkowej, ona mi szepnęła. „Ja naprzód pana cenzuruje za jego imię Szymon, czemu nie Erazm?“ —Każesz pani?—odszepnąłem jej—wnet jestem odtąd Erazmem. — Objawiła mi do ucha niewinne jakieś zdanie o siedzącym na cenzurze, a po mojej głowie płącze się zagadka dlaczego mam być Erazmem? Po grach ukończonych, gdy już miano podawać wieczerzę, wziąłem na bok Józefa Głębockiego i zwiergam się z owego tajnego wymagania gospodyni. On uśmiechnięty szepnął mi: „Bardzo ci winszuję! Pewnie żadnemu z nas tego nie powiedziała; widać żeś ty jej się podobał“. Dziwny jesteś w tym domyśle! Cóż w tem za dowód? „Otóż kiedy chcesz dowodu, to powiem. Ona, nie mając jak lat 15, przymuszona przez ojca wyszła za starego wdowca, a kochała się w młodym Erazmie Lenkiewiczu, którego imię tobie chce nadać. Co ty na to? No, podumaj, chłopcze! Wszak przyznasz, że wdówka jak pączek świeżo rozwity, a ja dodam, że ten pączek dobrze jest oprawny“. At—rzekłem mu — żartujesz sobie z dwudziestoletniego młodzika. — I na tem ur

waliśmy rozmowę o niej. Ale na tym wieczorze
 często już mnie nazywać Erazmem, bo Głębocki
 powiedział niektórym, że to jest drugie moje imię.
 Na nocleg udałem się znów do karczmy, gdzie
 żyda zamówił sobie kwaterę, aby rano odjechać
 tam do Żytomierza. Nazajutrz rano, nim zdążyłem
 brać się, jakże mnie ujęła pamięć o mnie grzecznej
 ani marszałkowej! Na ogromnej srebrnej tacy przy-
 iósł mi jej lokaj kawę z całym srebrnym przybo-
 em, z cukiernicą, z pięknym koszykiem słodkich, jak
 by spojrzenie, ciasteczek. Wprawdzie więcej mnie
 kosztowało, niżbym zapłacił w traktyerni, bo da-
 m lokajowi rubla, ależ jakaś głupia uluda droższa
 i w tej chwili była nad wszelkie skarby! A prze-
 eż wróciwszy do Żytomierza, wkrótce przestałem
 iarzyć o tej wdowie i dotąd nie zdarzyło mi się
 otkać jej gdziekolwiek. We dwa lata po tym zje-
 dzie oblikwidacyjnym wyszła za Ludwika Kraszew-
 iego, któremu później senator Iliński wyjednał stani-
 em swoim u papieża tytuł hrabiego Państwa
 ościelnego. Ten tytuł bardzo stosownym był za-
 czytem dla kawalera maltańskiego, który na wszel-
 ch zgromadzeniach lubował się jasnością ponsowe-
 o z bulonami munduru. Co do jednodniowej zmia-
 y mojego imienia, którem przecież nigdy się nie pod-
 sywałem, doszła ona do moich rodziców, nie wiem
 rzez kogo, gdyż i nim przybyłem do domu, odwie-
 ził ich raz gwardyan Bernadynów cudnowskich,
 który gdy zapytał: „Czy pan Szymon zawsze jest
 Żytomierzu?“, matka moja odezwała się jakby
 żalem: „Nie ma już Szymona!“—„Jezus Marya!—
 siądz zawołał. — „Jest on tam, jest, dzięki Bogu!
 e pod imieniem Erazma, tak go dziś młodzież na-
 wała“. Gwardyan oburzył się na to i przedstawiał
 raszną dla mnie obrazę istotnego Patrona, nalega-
 c przy tem, abym wrócił do nadanego na chrzcie-
 nienia: Co zaś do mojego ojca, ten, skorom przy-
 ył do domu, powiedział mi: „Zmienić imię dla

czyjejs fantazyi jest wielką płochością. Nie chcę, abyś się zwał Erazmem. Dano ci dwa imiona na chrzcie ś-tym: Szymon i Ewaryst, i tak zapisany jesteś w dekrecie naszej legitymacyi szlacheckiej. Z płochej przemiany imienia mógłbyś kiedyś mieć niesłychanny kłopot". Upewniłten ojca, że podpisuję się i zawsze podpisować będę mojem właściwem imieniem Szymon. Lecz później w lat 12 odebrałem w Krzemieńcu, gdym urzędował w komisji edukacyjnej, list z Petersburga od młodego przyjaciela mego, zaczęty od tych wyrazów: „Kochany Erazmie!" W odpowiedzi prosiłem go, aby mnie zwał Szymonem.

W tymże 1810 r. ojciec wezwał mnie do podróży z nim na kondescensyę w powiecie rowieńskim do wsi Cholop, w sprawie o melioracyę posagu po jego babce. Proces z Lubienieckimi o to był rozpoczęty jeszcze za Rzeczypospolitej i nie było w nim przemilczenia. Sprawę tę miał sędzić zacny podsedek żytomierski, Michał Trypolski. Plenipotentem od strony przeciwnej był znany mi, młody i przystojnej adwokat z Żytomierza, Jan Żeromski, który wkrótce potem ożenił się z bogatą wdową Gardlińską, bratową starego Aleksandra Gardlińskiego z Semenówki. O nich później będzie kilka wzmianek. Kondescensya w Cholopach trwała przez dwa tygodnie. Bywały tam dość żywe spory, wybiegami jurystów podsycane, a przerywane kielichem, przy którym nakoniec przyszło do zgody, lecz ta nawet kosztów prawnych ojcu memu nie wróciła. W ciągu tego zjazdu zaproszeni byliśmy na obiad do rowieńskiego marszałka, którego nazwiska nie pomnę. Liczne zastaliśmy tam zgromadzenie, gdzie ojciec prezentował mnie gospodarzowi i niektórym z gości, a pomiędzy tymi księciu Józefowi Lubomirskiemu, kasztelanowi kijowskiemu, dziedzicowi Równego. Ten książę ożeniony był z kochanką niegdys Tadeusza Kościuszki, hetmanówną litewską, Sosnowską, i był

ojcem Fryderyka, a dziadem znakomitego muzyka, Kazimierza Lubomirskiego, który niedawno umarł za granicą, o czem tu wieść doszła.

W tymże 1810 roku na wezwanie ojca przybyłem do domu z Żytomierza, aby z rodzicami, starszym bratem i siostrami być na ślubie Ignacego Budzyńskiego, który się żenił z Kunegundą Ilińską, młodszą córką Ksawerego Ilińskiego, podkomorzego powiatu ostrogskiego we wsi Żemelincach, gdzie on prawem zastawu mieszkał. Ze związku Ignacego Budzyńskiego z Kunegundą Ilińską w roku 1810, w roku następnym 1811 przyszedł na świat syn ich najstarszy, Michał. Matkę jego prowadząc do ślubu, nie mogłem roić sobie, aby później w lat 41 ten syn ich Michał, miał być moim zięciem, a przecież wróciwszy z emigracyi, ożenił się w roku 1854 z najstarszą córką moją, kochaną Otolią, wdową po Piotrze Lasocie.

O! ten rok 1810, stał mi się pamiętnym na całą resztę życia i poraz pierwszy powziętych uczuć, doślad niewygasłych! Cioteczny brat mój, Kazimierz Budzyński z Wygnanki, starszy odemnie o lat sześć, od młodzieńczych lat moich najczulszą okazywał mi przychylność braterską. Młody, przystojny, dość mądry, szukał zabaw i lubił uczęszczać na zasłyszane w dalszej okolicy baliki, na których mniej zachwycała go piękność twarzy, jak przy wyższym wzroście powab ułożenia panny; i dla takiej gotów był do mil dwadzieścia pojechać, aby z nią tańczyć i słów kilka do niej przemówić. W tym roku dowiedział się on, że w Żytomierzu ma być w jesieni ósmego listopada, to jest św. Michała, na imieninach gubernatora Komburleja liczne zgromadzenie. Pisując niekiedy do mnie, nadmienił raz w liście, że na ten bal zjedzie i że chce przedstawić mnie solenizantowi, który już osobście był mu znany. Przygotowawszy cały ówczesnie używany przybór galowy, niecierpliwie oczekiwałem przybycia Kazimierza. W sam dzień balo-

wy, już zmrok zapadał, kiedy żydek z domostwa zajezdnego wpadł do mnie z wiadomością, że jakiś pan przybył do nich i wzywa, abym z nim był na balu.— A gdzie powóz?—pytam go. — Na progu domostwa oś żelazna pękła u kocza, ale już kowal spogrzewa ją. Niech panicz idzie tam piechotą. — Nie było innego środka! W niebrukowanym Żytomierzu błoto grzązkie sięgało natenczas po wszystkich ulicach wyżej kostek. A więc w połowie ubrany, ruszam w butach, a mój służący niesie za mną w zawiniątku całą paradę nieznoszącą błota, jako to: jedwabne pończochy białe, trzewiki i krótkie niższe ubranie, a przytem frak najnowszej mody. Zdziwiłby się dziś, gdyby to ktoś czytał, czemu nie wezwałem dorożki? Ale po naszych miastach spał jeszcze przemysł utrzymywania dorożek; nikt za żadne pieniądze dostaćby ich nie mógł. Wierzano w to, że tak Pan Bóg chce, aby ten piechotą brnął po błocie, kto powozu swego nie ma.

Powitałem serdecznie Kazimierza. Po naszych uściskach, gdy kowal w sieni pora się około osi obiecując ją spogrzeć za godzinę, Kazimierz wezwał gospodarza i bada go, jacy i z kąd goście przybyli do miasta. Żyd natychmiast wyliczył ich dość dług szereg, a gdy wymienił: — Jest i z Wołczyńca pan podkomorzyna Zaleska z całym domem — dostrzegłem, że mój kochany badacz drgnął widocznie i odezwał się do mnie po francusku, że jedyną z córek tej pani, Teofila, dość słusznego wzrostu, piękną ma figurę i prześlicznie tańczy. Zapytał żydek gdzie pani podkomorzyna zajęchała? Ten wskazywał mi po drugiej stronie rynku dom wprawdzie nieduży, ale gdzie jasne biło światło z okien, ale przejść potrzeba przez ogromne błoto. Kazimierz szepnął mi: — Jedźmy tam konno. Lokaj narzuci nam dery na konie, a na trzecim pojedzie za nami, aby konie zabierać i wrócić po nas czterema z naprawionym koczem. — a pociemku nikt nas jadących konno nie pozna.

Zgoaa.—Oczyszczono moje buty, w których przyszedłem, ubieramy się we fraki jak na pierwszą wizytę i w duchu rycerskim, jakby na zdobycie serca, puściliśmy się w imię Boże. Ale czy mogłem ja przewidzieć, co mnie tam czeka?... Przychodzi mi na myśl pierwsze tam widzenie wnuki pani Zaleskiej, czternastoletniej wówczas Józefy Bierzyńskiej, i po jej śmierci, w roku 1850 nastąpionej, widzenie się moje w Pieńkach z jej krewną, wdową po Jakóbie Cichońskim, którą troskliwie badałem z jakiej choroby pani Turkułowa życie zakończyła.

Pani Cichońska, odpowiedziawszy na to, załem przejęta, pokiwała głową, patrzy mi w oczy i rze-
 cze:— Ach, jak ona pana kochała!— Na wspomnienie tych jej wyrazów łzy kręcą mi się w oczach. O! pierwsze podobne uczucie, jakim ona mnie natchnęła, trwa w nas niezachwianie przez najdłuższe lata i wchodzi z nami do grobu. Ale, Boże wielki! Zbrodnia cięży na mnie! Młodzieńcza moja nierozwaga stała się przyczyną bolesnych łez jej i nie-szczęsnego jej losu.

Przywiodeę najprzód dla pamięci całą domową rodzinę pani podkomorzyny Zaleskiej. Oddawna wdowa, a w latach już sędziwych, miała dwóch synów: Seweryna, marszałka żytomierskiego, ożenionego z Bierzyńską z Pawszanki urodzoną, i Kantego, który pułkownikiem gwardyi umarł w Petersburgu, a córek pięć. Z tych najstarsza wyszła za wdowca, Józefa Bierzyńskiego, który był teściem Seweryna Zaleskiego, druga za generała Mantejfla, po którego śmierci w powtórny weszła związek z bogatym generałem Gudowiczem i trzy jeszcze panny: Teklę, Teofilę i Julię. Ze związku najstarszej córki pozostało dwoje zupełnie osieroconych dzieci: Świętosław i Józefa Bierzyńscy, dla których, gdy oboje rodzice pomarli, Seweryn Zaleski, wuj ich, a zięć ich ojca, stał się opiekunem i naczynem ich majątku; Świętosław oddany był do

liceum krzemienieckiego, zwanego jeszcze gimnazjum, a siostra jego, Józefa, odbierała staranne wychowanie u swej babki we wsi Wołczyńcu. Po krótkim opisanu tej rodziny, przystępuję do tak dziwnej a kawalerskiej wizyty w karczmie.

Zeskoczywszy z naszych rumaków, prosimy spotkanego w sieni lokaja, aby nas oznajmił pani podkomorzynie. Staruszka, widując nieraz po balach Kazimierza przy najukochańszej córce swej Teofilce, tak rada była nas przyjąć, żeśmy za drzwiami usłyszeli z naciskiem ten wyraz: — Bardzo, bardzo proszę! — W pierwszym pokoju zastajemy matkę z dwiema córkami; trzecia Julia, nie lubiona przez matkę a nadzwyczaj do niej podobna, zwykle zostawała w domu.

Przy powitaniu i prezentacyi mojej, bo nikomu tam nie byłem znany, rzuciłem okiem na boczne drzwi otwarte do drugiej izby, gdzie młodzieuchne dziewczę o lnianych puklach, już na bal ubrane, coś poprawiało u swej sukni, stojąc przed oświetlonym zwierciadłem. Jeszcześmy nie usiedli, gdy weszła do pierwszego pokoju i grzecznym powitała nas ukłonem. Była to wnuka pani podkomorzyny, Józefa Bierzyńska, pierwszy raz na świat wywieziona, i lubo w pięknych kształtach zupełnie uformowana, babka ją przecież mając jeszcze za dziecko, nie wspomniała przed nią, kto my jesteśmy, lecz co do mnie, na pierwszy rzut oka pojąłem, kto ona jest dla mnie. Wzrost nad lata wyniosły, jasno popielate włosy przy czarnych oczach, powaby świeżo rozwiniętej postawy, jak wpółotwarty pączek, twarz z wdziękiem słodczy anielskiej, zwiastowały mi i taką jej duszę. Oczarowany, milczący, oka z niej spuścić nie mogłem. Gdy usiadła przy babce, ta odezwała się do nas: — Ten mój robaczek nigdy jeszcze nie był na balu; radby prędzej ten świat wielki ujrzeć i dlatego śpieszniej się wystroiła, nim ciotki pomyślały o swej toalecie.

Bawiliśmy tam z pół godziny, rozmawiając o przybyłych do miasta na tę fetę i o panu Komburleju, znanym osobiście pani Zaleskiej; a skoro kocz nasz zaszedł przed bramę, pożegnaliśmy te panie, aby swobodnie sposobily się na huczną wystawę.

Gdyśmy wsiedli do powozu, szepnąłem do Kazimierza: — Ach, pocóż mnie tu wprowadziłeś! Gdzie ona jest, gdziekolwiek będzie, tam jest świątynia i tam do żyjącego w niej bóstwa, całe życie modlić się będę.—On mi na to:—Oho! już Józia oczarowała cię! a więc podziękuj mi za tę znajomość; bo kochać, choćby bez pewnej nadziei, jest szczęściem lat twoich. Prawda, że ona bardzo milutka i znacznie urosła od czasu, jak ją widziałem u jej wuja, Seweryna Zaleskiego, lecz dla mnie jest to z gniazda wypadła ptaszyna, która podlecieć jeszcze nie może, bo niezupełne ma piórka. Wzrost będzie niepospolicity, jak wnoszę dziś z jej lat czterestu. Lecz ręczę, że ty zapomnisz o tej sierotce, gdy ujrzysz Teofilę w mazurze.—Tu pomyślałem:—I jeszcze sierotka, aby mocniej lgnąć sercem do niej. — Od Kazimierza pozwałem wiadomość o śmierci obojga jej rodziców.

Po przekazce z traktyerni przy naszej herbarcie pilno mi już było jechać do gubernatora; lecz kochany Kazimierz tak się plukał i oblewał kolońską wodą, tak się spóźniał z ubieraniem swoim, że przybywszy na bal, już zastaliśmy panią podkomorzynę z rodziną i mnóstwo zgromadzonych gości. Niebawem zaczęły się tańce. Kazimierz nie zaniedbał zaprezentować mnie panu Komburlejowi. Gdy zaczęto grać poloneza, ja mając na oku „robaczka,” coby się wświdrował w pamięć moją i w serce, z utajoną nieśmiałością odważyłem się podejść ku niej, i na mój ukłon i wyciągniętą rękę, ona z lubem przymileniem w twarz podała mi swoją, a świat cały zamknął się przed memi oczami. Nie pomnę w tym tańcu moich pierwszych słów do niej. Musiały one tchnąć

ogniem pierwszego w życiu a najsilniejszego uczucia, bo zdało mi się z jej spuszczonej oczu i z lekko zaplonionej twarzy, iż pojęła wrażenie na mnie sprawione. Odtąd w ciągu balu nikogo nie dopuściłem do niej, a po każdym skończonym tańcu odwazałem się zamawiać ją do następnego.

Poczciwy Kazimierz, patrząc na nas, cieszył się mojem szczęściem, jakby widokiem radości kilkoletniego dziecka, któremu zabawkę jakąś przywieziono z miasta. Zato przyznawałem pochwały, jakich on nie szczędził dla balansów panny Teofili w samym zaczęciu mazura, ale mówiłem mu, że obok zręcznych a wyuczonych ruchów i obok pięknej figury, ta panna i w twarzy i w całej postawie objawiała zaletność, która mnie wcale nie ujmowała i od której nawet odwracałem oczy, stojąc przy Józi. Bo też kto wyrazić zdoła urok tego głosu, jakby z niepewności siebie przytłumionego, gdy na moje pytanie odpowiadała. Kto zdoła opisać wdzięk niewysłowiony jej ruchów, od Boga jej dany, a właściwy usposobieniu jej duszy? Odurzony, nie rad sobie, raz zlorzeczyłem chwili poznania tak niedostępnej dla mnie istoty, to znów, ośmielony jej grzecznością, roilem niebo na ziemi! Ach! głupia młodości! A przecież, ja dziś starzec, niby mędrszy, zazdroścę głupocie moich lat dwudziestu!

Śród zabawy u gubernatora i po uczcie wieczornej ciągnącej się do późnej nocy, gdy stałem raz w sali rozmawiając z Kazimierzem, zbliżył się do mnie książę prezes Czetwertyński i zaprosił na jutrzejszy wieczór do siebie. Kazimierz nie znał go i prosił, abym go księciu zaprezentował; i on też był zaproszony.

Na tym drugim balu, znów nieodstępny towarzysz w tańcu, poczułem spotężniony szal mój dla niej, a widocznie dostrzeżony przez jej ciotki i babkę, która w prostocie poczciwego ducha, nie przewidując co z tego wyniknie, cieszyła się tak wczę

sny tryumfem „robaczka.“ Podkomorzyna w obcowaniu z młodzieżą wcale nie przybierała tonu wyższej, salonowej przyzwoitości i była dość rubaszną. Gdy tam raz po skończonym walcu przywiódłem Józię do opróżnionego przy babce miejsca, starszka uśmiechnięta rzekła mi: — Dziękuję ci, że z nią tańczysz. — Ach, pani! — zawołałem — ja Bogu i pani dziękuję, że mnie wolno choć na chwilę być przy jej wnuczce.

Na tym balu u księcia prezesa, równie jak i na wczorajszym, był syn podkomorzyny, Seweryn Zalesski, marszałek żytomierski. Kazimierz w dobrych, poufających z nim stosunkach, powiedział mi na tym wieczorze: — Ty powinieneś szukać znajomości z wujem i opiekunem Józii. Trzeba ci wiedzieć przytem, że to dość majątny człowiek. Ożeniony z Bierzyńską, z pierwszego związku jej ojca, która była siostrą Józii, ale z innej matki, podwójnie spokrewniony z tą sierotą, jest jej szwagrem i wujem. Jakże nie masz go poznać? On dziś wdowiec ma trzy małeletnie córki, a oprócz znacznego po żonie posagu, tak piękne wziął po niej brylanty, że sprzedawszy je po jej śmierci, otrzymał za nie trzykroć sto tysięcy złotych, i głośnem się to stało, że za żonine brylanty kupił porządną wieś Pilipy, ztąd o trzy mile. Zbliźmy się do niego, ja cię z nim zapoznam.

Przy tej prezentacyi, lubo bardzo krótkiej, gdy pan marszałek przy mnie rozmawiał z Kazimierzem, najdokładniej dał mi się poznać. Powiedziałem też potem Kazimierzowi: — Twój pan marszałek może pocciwym jest człowiekiem, ale zdaje mi się, że trochę nadęty i że majątek tylko głowę mu osłania przed światem. Dla ciebie on uniżony przyjaciel, bo pewnie radby cię widzieć mężem siostry swojej, Teofilki. Lecz on podobno nie zna cię dostatecznie; on ani się domyśla, że ty po żonie czegoś więcej wymagasz, niż balansów mazurkowych. — I tak się stało istotnie; Kazimierz gotów był pojechać o mil kilkana-

ście, aby się zachwycać tańcem panny Zaleskiej, ale był to stary wróbel, co nie da się złowić na plewy.

Po tych balach, gdy Kazimierz, powiernik serdecznej mojej tajemnicy, i wszyscy rozjechali się goście, ja w żalach za sierotką, jak osierocony, błąkałem się po pustym dla mnie Żytomierzu. Z przymusem szukałem roztargnienia w zwykłym ucześnieczaniu na sesye sądu głównego, gdzie pozwy i dekreta raziły niezgodnością ze stanem mej duszy. W ciągu zimy, martwy na wszystko, jak cała natura w tej porze roku, gdym na święta przybył do rodziców, siostry dostrzegły tę zmianę we mnie. Zaczęły mnie badać o nowe znajomości na żytomierskich, głośnych po gubernii balach i po nitce doszły do kłębka. Miałem wielką przyjemność wyszeptać przed niemi, co się we mnie działo. One gdzieś na balu zabrały były znajomość z nieboszczką Sewerynową Zaleską, siostrą Józi z innej matki, o młodziutkim zaś robaczku słyszały tylko, że bardzo jest ładną.

Starsza moja siostra, Anastazyja, bardzo rozsądna, zrobiła mi uwagę: — Żal mi ciebie! Ona nigdy nie będzie twoją, chociaż wierzę temu, że ty mogłeś jej się podobać. Posażna, piękna, otoczona ciotkami, o których mówią, że przy pańskim wychowaniu, każda z nich nie więcej otrzyma posagu, jak szlachecki kapitałik trzydzieści tysięcy złotych; ona jest dla nich drogą, jak żrenica oka. Ta ich siostrzenica ściągą młodzież do Wolczyńca. Z pomiędzy przybywających dla Józi, jej ciotki pragną którego zwać dla siebie. Dodajże do tego dumę jej wuja i opiekuna, którą w nim dostrzegłeś, a przyznasz, iż tam młodzieniec przez niego tylko wprowadzony, a niezawodnie bogaty, może mieć, i to nie prędko, pomyślne przyjęcie. Na jej skłonność zważać tam nie będą, a wykształcenie i zalety serca twego są dla pana marszałka i sióstr jego bez żadnej wartości.

Młodsza zaś siostra moja, Katarzyna, później Duninowa, zaślepienie przywiązana do mnie, widząc

mnie zasmuconym na te wszystkie prawdy, jakie ja po nocach nie sypiając, sam jasno w sumieniu mojem widziałem, przerywa tamtej:—Co mówisz! Czyliż się nie domyślasz, że tam, zaczawszy od babki, wszyscy płaszczyć się muszą przed Józią? Niech ona go tylko pokocha, co niezawodnie już nastąpiło, to rzeczy można, że tam nikt się nie sprzeciwi. Ja nie powiem, aby on teraz miał się tam oświadczać; oboje jeszcze na to zbyt młodzi. Ale, na miłość Boga, bywaj w Wołczyńcu! Ach! gdybym ja miała zręczność poznać ją! O! pewniebym ją wybadala! Ona nie mogłaby utaić przedemną swoich dla ciebie uczuć.

Po tem zwierzeniu się prosiłem o tajemnicę przed rodzicami. Myśl młodszej siostry, aby tylko mogła zabrać znajomość z Józią, a pewnie wybada ją o jej dla mnie uczuciach, uznałem za najtrafniejszą i tak mi przypadła ona do serca, iż wzdychałem do Boga, aby jakimbądź sposobem to ich poznanie się przyspieszył. Wspomnę o tem później.

W roku 1811, gdy w styczniu wróciłem do Żytomierza, zjawił się tam dla jakiegoś interesu z gubernii kijowskiej młody, majątny, a jeszcze niezona ty Jędrzej Abramowicz, urodzony z Budzyńskiej, siostry ś. p. Wojciecha i żyjącego jeszcze wówczas Antoniego Budzyńskich; był więc ów Jędrzej cioteczynym bratem moich ciotecznych braci Budzyńskich młodych. Ztąd byliśmy pomiędzy sobą, jako krewni, od lat dziecinnych w dobrych i zażyłych stosunkach. Gdy bawił w Żytomierzu przez dwa dni, zapytałem go raz, czy zna podkomorzynę Zaleską. „O! znam ją najlepiej, i bywam u niej. Wszak ona mieszka w naszym powiecie Machnowieckim. Jeśli chcesz wesoło zabawić się, przyjeźdź do mnie, a razem pojedziemy do Wołczyńca, gdzie, jak mówią, na blizki karnawał ma zebrać się młodzież. Ja przyślę po ciebie konie.“ Z jakimże uniesieniem radości uściskałem go za tę propozycyę! Moja niedawno odnowiona garderoba była dostateczną; dokupiłem tylko dwie pary świe-

zych rękawiczek. Kwartałne z góry pieniądze od kochanego ojca miałem w kieszeni prawie nietknięte i koni najmować nie trzeba było. Wszystko wyraźnie, za łaską Boga, składało się ku szczęściu moich lat dwudziestu, już skończonych w przeszłym październiku. Sanki w oznaczonym terminie przybyły po mnie. Przededniem wyruszywszy, przeleciałem za Berdyczowem trzy, czy cztery mile w dniu jednym do Floryanówki, gdzie zacny Jędrzej, rad memu towarzystwu, najserdeczniej mnie powitał. Po dwóch dniach najmilej u niego spędzonych, w ciągu których dał znać swemu bratu młodszemu, Pawłowi, o mojem przybyciu i wezwał go, aby z nieodstępą swoją skrzypką przyjechał do nas, z tem, że razem z nami pojedzie na ostatni tydzień zapust do Wołczyńca; i stosownie do tej odezwy, Paweł tegoż dnia przybył. Wyjechaliśmy w niedzielę, na tydzień przed ostatkami, do pani podkomorzyny. Najuprzejmiej nas przyjęła, równie jak jej córki, z których Teofila mogła coś sobie roić z przybycia majątnego Jędrzeja; bo co do starszej, Tekli, ta, lubo stawiała chętnie do tańców i wszelkie z młodzieżą podzielała zabawy, ale, jako już przekwitła, pewnie zgodziła się już z wola Pana Boga, aby o zmianie stanu nie marzyć. Józia, przy pierwszym na mnie spojrzeniu silnie zarumieniona, ze spuszczeniem oczu, grzecznym powitała ukłonem. Z jej rumieńca wpadłem na domysł, że tę biedaczkę sierotę pewnie ciotki prześladowują za moje częste z nią tylko tańce na balach. Zastaliśmy przybyłego z Krzemieńca jej brata, Świętosława, nadzwyczaj do niej podobnego blondyna, z którym poznanie się wielką mi sprawiło przyjemność. Z domowych osób była tam jeszcze guwernantka Józii, Szwajcarka, do nauk i muzyki, która przy tem dawała lekcye śpiewu pannie Teofilii. Wkrótce tegoż dnia jeszcze kilka obcych osób z okolicznej młodzieży przybyło. Wieczorem, przy herbacie, staruszka, jak zwykle rada wesołemu towarzystwu, odezwała się do nas: „Stu-

chajcie, chłopcy, jaka mi myśl przyszła! Pan sędzia zaprosił mnie z córkami na huczny czwartkowy wieczór do Machnówki. Zróbmy mu siurpryzę. Moja sąsiada z córką jutro tu przyjedzie, będziemy więc mieli cztery panny. Was tu dziś jest sześciu, to jest dwóch muzyków, pan Paweł i pan Baranowski, i czterech do tańca. Otóż potrzeba, abyście wszyscy sześciu mieli krakowskie granatowe żupany z wyłogami karmazynowemi, szamerowane tegoż koloru sznurkami, trzeba wam mieć pasy nabijane jakimiś świecącymi guzikami. Wszystko to na czwartek przed południem dostarczy wam Machnówka. Ale jeśli ktoś jeszcze przyjedzie do mnie, jak się spodziewam, pamiętajcie nie wydać sekretu, aby wieść o tem nie došla do sędziego. Panny, po krakowsku przebrane, a rozdram pomiędzy was czterech: córka sąsiady mojej dostanie się panu Antoniemu Sobańskiemu, moja Teklunia—panu Mazarakiemu, Teofilka—panu Jędrzejowi Abramowiczowi, a robaczek Józia—najmłodszemu z was, panu Konopackiemu. Każda z nich swemu krakowiakowi własną ręką uwiąże, w miejsce gustki, przy kołnierzu czerwoną wstążkę. Mówcie, chłopcy, czy zgoda?“ Wrzasnęliśmy wszyscy: zgoda, zgoda!

Nazajutrz rano, my, młodzież, umieszczeni w ofiarnie, zrobiliśmy rachunek całego kosztu na krakowskie ubrania, każdy z nas złożył część swoją i dwóch pomiędzy nas wyjechało do Machnówki po sprzątki. Tegoż dnia wieczorem wrócili z upewnieniem od krawców, że na rano w czwartek wszystkie żupany będą gotowe i że złożone przez nas pieniądze wystarczyły nawet na obszycie ich galonami. Tymczasem spodziewani goście przybyli. Ciągły się bez przerwy zabawy, tańce i gry rozmaite. Wzięty mi ten wieczór, w którym Świętosław, już bufalony ze mną, zmieszał siostrę swoją i mnie i zjadł raka. Graliśmy w pierścionek. Na nią wybiegł nosić się z nim, aby go tajnie oddać, komu

się jej podoba. Brat jej pewnie od ciotek zasł o domyślanych moich sentymentach i nie mógł wściągnąć chęci objawienia, że i on wie o Skoro Józia powstała z pierścionkiem w rękę, o głos odezwał się: „O! teraz łatwo zgadnąć, komi on dostanie, pewnie panu Konopackiemu.“ Bi robaczek splonęła wstydem; a jakby schwyty nowajca, i ja mocno zarumieniony, spuściłem (Byłem pewnym, że aby okazać, że domysł brata mylny, ona innemu odda swój pierścień. Prz stało się, jak brat przepowiedział, a to jakby na wód, że ona nie zważa na prześladowania. Os szczęściem, chciałem ucałować ten pierścień. W mniczony Świętosław Bierzyński sprzyjał moim : go siostrą stosunkom.

We czwartek wieczorem, już przy pochmur niebie, dobrze się ściemniło, gdy my w naszych i rach, gotowi do podróży, oczekiwaliśmy tylko na sze strojące się krakowianki. Czekwały też od gony przy ganku pozaprzęcane sanie. Na biedę silnym mrozie, zaczęła się zamieć. Nie zważamy to. Skoro panny wystąpiły na salon w pasow gorsetach, ze spuszczone na plecach warkocz gdzie wplecionych wstążek czerwonych sute wie końce, staruszka klasnęła w ręce z radości i wezła naszych skrzypaków: „Zagrajcie-no im krakowka, spróbujemy, jak się nam uda ta komedia!“ Zdy z nas uchwycił swoją za ręce i raz tylko w poszliśmy po sali z wesołym pod muzykę przyśpiewkiem, a staruszka, wykrzykując brawo, wstrzymała nas uwagą, abyśmy nie wyszli na zimno zbyt zadowolani, a do pańien przemówiła: „Dajcie wst waszym chłopcom!“ Wnet każda wydobyla przygotowane z za gorsetu i zaczęły obdzielać ni swoich krakowiaków. Z uszanowaniem, jak do ziskiego bóstwa, zbliżyłem się do mojej towarzyska a ta w milczeniu, zarumieniona, drżąca, jakby niwną ręką, zawiesiła mi u szyi przy kołnierzu fo

ślugami końcami czerwonej wstążki. Był to dla
 nie nadmiar szczęścia. W rozmarzonej głowie zda-
 się to godłem fortunnego losu... O! głupia ślepoto
 młodych, jakże dziś w surowym sądzie moim
 scinną mi się wydajesz! Z tem wszystkim ro-
 m, zimny rozum starca, zazdrości owej uludzie
 tak lubych, tęczowych kolorach.

Zamieć się wzmaga, a my pewni pod przewo-
 lctwem podkomorzyny, której furmani, choćby z za-
 ązanemi oczyma, trafią o milę do Machnówki, ru-
 my za nią w kilkoro sani, rozmieszczeni najwy-
 jniej. Podkomorzyna do ogromnej o sześciu ko-
 ch budy, zabrała najukochańszą Teofilę i wnuczkę;
 drugiej za nią budzie była poważna jej sąsiadka
 zórka i panna Tekla, a my wszyscy w odkrytych
 niemi puszczamy się sankach. Zaledwie za wieś
 jechaliśmy, pijany furman u naczelnych sani, chcąc
 5tszą jechać drogą, zaczął toczyć zacięty spór z fo-
 siem: ten na prawo, ów na lewo upiera się jechać,
 pijany przemógł. Wjechaliśmy na małą drożynę,
 zie niebawem zamieć wszelkie pokryła ślady. Zbłą-
 ni, nieustannie zmieniamy kierunek. Nakoniec śród
 ła bez granic, raptem wszystkie wstrzymały się sa-
 e. Naczelna buda pod wodzą pijanego furmana
 pięzła w jakieś fosie, z kąd konie, wrywając ją,
 mały dyszel. Kazano forysiowi co prędzej wyprządz
 o konia i śpieszyć do domu po inne sanie i po-
 dzi w pomoc ku wynalezieniu drogi. Foryś odje-
 at, lecz długo się błakał nim do wsi trafił, bo z powodu
 inieci nic widzieć nie mógł. A my w głos po san-
 ch nucimy piosnkę, z jaką w Machnówce wystąpić
 trzeba. Wtem lokaj podkomorzyny dobija się do
 zych odkrytych sanek i pyta, gdzie jest najmłod-
 y krakowiak, którego wzywa jego pani, Wszyscy
 pdzili się na to, że ja nim jastem. Brnę po śnie-
 , wcale nie przewidując, co mnie tam spotka.
 xoro stanąłem na wezwanie, staruszka rzecze: „Boi-
 y się, abyś nie przeziął na odkrytych saniach,

więc robaczka umieściłam za sobą, a ty zajmij miejsce poniżej". Ach, pani! czyliż ja wart jestem tej pamięci o mnie! Mam dobre futro, nie zżię „At, milcz a siadaj! tak chce Józia, ona to o pamiętała." Boże dobry! Cóż tu za szczęście: gło się dla mnie!—pomyślałem sobie.—Jakby obny otucha, usiadłem w budzie, i na domiar tak spodzianej doli, byle spojrzeć przed siebie, twarz Józia była przy mojej. Więc w większej części obróku ku niej, utkwilem oczy w mojego anioła. Przeglębokiem uszanowaniem dla niej, a obawą pa Teofili, która temi dniami już zaczęła surowem rzeniem śledzić i oczyma badać każde moje zbliż się do jej ciostrzenicy, nie przemówilem i słowa Józi, nawet nie podziękowałem jej za troskliwość o mnie, bom siedział obok panny Teofili. Rozwiałem z podkomorzyną, patrząc na jej wnucę. przesiadzieliśmy wszyscy wśród okropnej zamieci polu przez noc całą. Narzekała staruszka na fura i ciągle niecierpliwiła się, równie jak jej cę milczała Józia i ja w milczeniu wznosiłem dziękne oczy ku Bogu za wypadek, który dał mi poserce dla mnie życzliwe w ubóstwianej Józi, i blisko noc całą być przy niej. O samym św wrócił forys z ludźmi przy innych saniach z b gdzie podobnie usadowieni, już nie do Machnó lecz napowrót udaliśmy się do Wołczyńca. I z niezachwianą fantazyą, zawsze wesół podkomorzyna, zabrała głos do zgromadzonych w sali: powiodło się nam. Ale nie upadajmy na duchu. raz rozejdźmy się, aby zasnąć choć parę godzin. Dziś i jutro nie wypuszczę was od siebie, a w dziele pojedziecie z nami w tych samych ubiorach ale wcześniej, znów do Machnówki, gdzie, jak mówiono, ma być zgromadzenie na tańcujący czór u naszego marszałka. Czy zgoda?" Zę zgoda!—odpowiedzieliśmy tłumnie. Gdy staruszk nas mówiła, ja w duchu myślałem: nie pragnę

go powodzenia nad to, któregom doznał tej nocy. Wę życia oddałbym, aby resztę dni tak blisko przy niej.

Po długim wypoczynku, gdy nas z oficyn weno na herbatę, my już we frakach, zastaliśmy a osób przybyłych z sąsiedztwa, przed którymi szych ubiorach wczorajszych zamilczano. Sam tył-wypadek zbląkania się pijanego furmana był opo-żniany. Lecz owa na polu nasza noc bezsenna stała się o mil kilka głośną i to ze wszelkimi egótlami, że gdy na Wielkanoc przybyłem do do-ojciec uśmiechnięty zapytał mnie: „Czy to pra-ty, co mówił mi w Romanowie Ludwik Kraszew-że ty w czasie karnawału, będąc w Wołczyńcu, amtąd w licznym towarzystwie jadąc gdzieś wie-rem na tańce, tak zziąbłeś w odkrytych saniach i zamieci na polu, gdzieście zblądzili, że pocziwa komorzyna zabrała cię do swoich sani z budą, j fartuszkim okryty, przesiedziałeś tak z nią całą

Opowiedziałem rzetelnie ojcu ów cały wypa- a siostram na boku najdrobniejsze szczegóły ózi. Obie upewniały mnie o jej skłonności ku e, ale starsza, pokiwawszy głową, skończyła tem: k, tak! to dość widoczne, ale żal mi was oboj- O! ta kobieta, później sama godna liłości, ja-widziała przyszłość robaczka i moja.

Wracam do dalszej powieści o Wołczyńcu. byłe tam z sąsiedztwa osoby w piątek po- dziliły wiadomość, że na tańczący wieczór w nie- a, zbiera się liczne u marszałka w Machnowce rzystwo. Te w oczekiwaniu dwa dni przeminę- am najwesielej. Podkomorzyna, lubo w pode- u wieku, przy niezachwianem zdrowiu i wytrwa- na niewczas, miała niepospolity a nieoceniony spodyni dar ożywiania gości; nieodstępną była rzyszka młodzieży do późnej nocy. Były więc niej w piątek i sobotę i tańce i gry rozmaite,

i wesoła gawęda bez szarpania dowcipem czyjej ba
sławy

W ostatnią zapustną niedzielę podróż do M
chnówki, przy pogodzie i zielonym mrozie, powiod
się nam bez żadnego wypadku. Wieczorem przyje
wamy do marszałka. W sieni słyszymy muzykę.
Stosownie do ułożonego przez podkomorzynę prog
mu, ona ze swoją sąsiadką zatrzymały się w prze
pokoju, a my w parach, poprzedzani przez dwóch
naszych muzyków, grających od ucha krakowian
wpadamy, tańcząc, do sali, gdzie tańczono mazurki.
Ucichł on, jako przed starszym bratem, a my, sw
obodnie krążąc po sali, wprowadziliśmy chwilowo
w osłupienie gospodarza i liczne grono gości. Le
po prześpiewanej jednej strofeczce przed muzyką, g
drzwi się otworzyły i podkomorzyna z sąsiadką sw
ją weszły do sali, marszałek poznawszy już ich c
ki, pospieszył ku matkom z uniżonym powitaniem
i z uniesieniem wdzięczności za tak miłą mu niesp
dziankę. Wnet kazał podać wina i ozwał się
mężczyzn o toasty na cześć matek i krakowian
z ich towarzyszkami. Damy wszystkie zbiegły
i otoczyły kołem nasze krakowianki. Wtem
gospodarz podchodzi ku nim i prosi, aby jeszcze
wtórzyły swój taniec z niedokończonymi śpiewkami.
Nasze skrzypaki na dany znak znów się odezw
a my w parach już gotowi, zatoczyliśmy w skok
krąg po dużej sali, bijąc holupce podkówkami, i
tańcząc, stając przed muzyką, każda para swoją pa
nię śpiewała strofkę. Moja pamiętną mi jest dotąd:

„Pada deszczyk, pada, będzie jutro ślizko;
Szczęśliwy ten, który ma kochankę blisko!“

Och! byłem-że, byłem wówczas szczęśliwy. Te
dni temu, w czwartek, Świętosław nie chciał je
z nami, nie wiem, czy istotnie lękał się zamieci,
mówił, czy dotknięty przez babkę, że mu odmówi

kowskiego ubrania z tej tylko przyczyny, że nie o dla niego piątej krakowianki; dał się jednak nawiąć. Po skończonym naszym tańcu, gdy zbliżył do mnie, ja patrzę mu w oczy i rzucam się do ułowania twarzy, z której on tak jest podobnym siostry. A on mi szepnął. „Mówią, że ja podobny do Józki; pewny jestem, że ty dlatego tylko nie kochasz.” Mylisz się—rzekłem mu—kochałbym zawsze, ale nie tak mocno; a więcej jeszcze pocham cię, gdy jej nigdy nie narazisz na rumieniec, to zrobięś przy grze w pierścionek. „Bądź spokojny! będę milczał, choć wiem wszystko. Strzeż tylko ciotki Teofilii, a babcia bardzo ciebie lubi.” ałowałem go jeszcze za przyjacielską przestrogę a jakieś niby nadzieje w babce. Mój Boże! najeje! O jakże boleśnie zawodne! Mówiono, że rietosław był o rok młodszym od siostry. W roku 1811 ona, przy dość słusznym wzroście, była zupełnie w kształtach cudnych uformowaną panną. Idę wnoszę, iż, jak to zwykle się dzieje, tajono przed światem jej rok jeden. Jej brat po ukończeniu nauk w Krzemieńcu, gdzie płacono za ulokowanie ucznia u profesora i za jego korepetycję po trzyście złotych rocznie, umieszczony został w Petersburgu przy ministerjum spraw zagranicznych. Tam został pułkownikiem i ożenił się z bogatą i bardzo piękną dziewczynką Dołhorukówną. Tymczasem wracam do domu na marszałka machnowieckiego, który po zakończonych naszych śpiewkach z tańcem wychylił rano z obecnymi mężczyznami huczny toast na cześć krakowianek i ich towarzyszy. Nastąpił ważny polonez, do którego gospodarz stanął z podmorzyną. Nasze panny rozdzieliły się pomiędzy jejscową młodzież, wyjąwszy moją, którą ważyłem zamówić do wszystkich po krakowiaku tańców. Ważyły do późnej nocy naprzemian mazury, angiele, walce i kadryle, uraczono całę dość liczne zgromadzenie obfitą ucztą, po której nadedniem rozjecha-

liśmy się po domostwach miasteczka, niby tam na nocleg. Po przespaniu się, w poniedziałek wróciliśmy do Wolczyńca, gdzie na ostatni wtorek zapustny miało wielu zaproszonych z Machnówki przybyć. W oficynie, gdzieśmy się przebierali w zwykłe nasze ubrania, gdym był sam na sam z Jędrzejem Abramowiczem i toczyła się rozmowa o wczorajszym w Machnówce wieczorze, on ją zakończył spostrzeżeniem swoim: „Ale ty widocznie oczarowałeś Józję: wszystkim nam odmawiała, aby z tobą tylko tańczyć.” Cóż w tem za dowód? Gdybyś ją był zamówił wprzód, jak ja to zrobiłem, pewnieby mnie była odmówiła, tembardziej, że ty masz piękny majątek. „Żle o niej sądzisz! Dziewczę w jej wieku nie myśli pewnie o majątkowych rachunkach; one są niezawodnie w głowie babki, ciotek, a najpewniej w głowie opiekuna, który ma w ręku jej posag, wynoszący, jak mówią, trzykroć sto tysięcy złotych z górą. Lecz ona w anielskiej niewinności, przysiągłbym, że łągnie sercem ku tobie, nie badając wcale, czy ty masz nawet dziesiątą część jej posagu.” Może ona nie dba jeszcze o majątek; ale co do mnie, przeklinam jakiś tam jej posag, bo domyślałem się, jakich zasad są ludzie, od których los jej zależy. Oni ją sprzedadzą!... Poznałem w Żytomierzu dumnego jej wuja, opiekuna majątku obojga młodych Bierzyńskich; i na wspomnienie tej nadętej figury mroź przechodzi po mnie. „Stój-no, chłopcze! Nie unos się jeszcze! Wszak przyznasz, że wy oboje dziś zbyt młodzi jesteście, aby stanowczo mówić o swoim związku. A co do nierówności majątkowej, ileż to podobnych kojarzy się małżeństw. Mnie się widzi, że nie zważając na uboczne przeszkody, powinienes o ile można często tu bywać; a po przetrwanej cierpliwości, może Bóg zechce szlachetnym uczuciom twoim pobłogosławić.” Tu, w ciągu pozostałych nam dwóch dni, zastosowałem się zaraz do rady pocziwego Jędrzeja: jużem bynajmniej nie zwa-

żał na zachmurzone paniny Teofilii spojrzenia ku mnie za każdym mojem zbliżeniem się do jej siostrzenicy, a nawet w szeptach ważyłem się raz objawić przed nią moje dla niej uczucia, na co zarumieniona, spuściła tylko oczy.

We wtorek zabrzmiała nam muzyka, sprawdzona z Machnówki. Mnóstwo przybyło gości z okolicy. Tańce i wieczerza przeciągnęły się do białego dnia. W ostatnim tańcu z Józią jeszcze raz powtórzyłem, czem ona jest dla mnie, a gdyśmy usiedli, ja zrozpaczony jej posagiem i dumą opiekuna, szepnąłem: — Ten wieczór na resztę życia będzie pokarmem mej duszy, bo już nigdy widzieć pani nie będę! — „Jakto? Czy pan zarzeka się być kiedykolwiek u nas?“ — Zdaje mi się, że i pani to widzisz, że powinien wyrzec się tego szczęścia. — „Nie! ja tego nie pojmuję.“ I po tych słowach wnet panna Teofila usiadła przy niej i zajęła mnie swoją rozmową. Nazajutrz, w dzień popielcowy, który przypominał mi marność zabiegów ludzkich, wyjechaliśmy bez pożegnania dam, jeszcze śpiących, do Floryanówki, z kąd kochany Andrzej odesłał mnie do Żytomierza.

Bywałem, jak wprzód, na sesjach sądu głównego. Lecz wśród najwięcej zajmującej wymowy mecenasów o Józi tylko marzyłem. Po wielkanocnych świętach, na których byłem w domu, jak wspomniałem wyżej, wróciwszy do Żytomierza z pamięcią uwag starszej siostry, prosiłem Boga, aby raczył zniszczyć we mnie pamięć o Józi, bo tak rozsądek nakazywał. Ale nawet owe modły moje stawały mi przed oczy wyraz tej twarzy pełen dobroci, jej spojrzenie z lubym na ustach uśmiechem, jej głos pieśczenie przytłumiony i całą jej postawę, wrażliwą uszanowanie. Jasne jej pukle przy czarnych oczach dniami i nocą śledziły mnie wszędzie. Ojciec, dowiedziawszy się od kogoś, że mocno zmizerniał,

w obawie czy nie nadwyreżyłem zdrowia jakąbądź rozpustą, obok zacnej jego troskliwości, domieścił w liście do mnie, abym zawsze miał w pamięci Adama Giżyckiego. Uspokoilem rodziców doniesieniem, że na bezsenność, która mnie często napada, za radą doktora, biorę niekiedy zimne kąpiele i dlatego na twarzy cokolwiek schudłem, lecz zupełnie zdrow jestem. Było to już śród ciepłego maja 1911 roku.

Raz w izbie sądowej, pośród mnóstwa, jak zwykle, obywateli, dojrzałem Józefa Głębockiego. Po serdecznych uściskach, on mi szepnął: „Czy chcesz dobrze się zabawić?” — Po co mi szukać zabawy? Ojciec w listach powtarza, abym usilnie pracował nad zgłębieniem praw naszych, aby się stać użytecznym w obywatelstwie; a więc moją zabawą są *merita* mecenasów i sądowe wyroki. — „Ojciec pięknie doradza, ale ty wcale nieźle zrobiłeś, żeś na trzy dni przerwał pracę karnawalem w Wołczyńcu”. — Zkądże wiesz o tem? — „A któż w okolicy nie wie, żeś z damami po kawalersku, jak one, przebrany, nocował śród zamieci na polu? Wiem nawet i o tem, żeś pokochał cudnie ładną Józję. Słuchaj no! ja przyjechałem po ciebie. Pani Grzebińska na majowej kuracyi w Piatce u doktora Dufesila, zawdzięczając mu swoje wyzdrowienie, daje bal dla niego i mnóstwo zaprosiła swoich piękności, między którymi będzie... zgadnij kto?” — Czy nie podkomorzyna z Wołczyńca? — „Trafnyś w domysłach! Teraz osądź, czy nie warto na trzy dni zapomnieć o kratkach warszych?” — Ha! dziej się Boża wola. Trudno ci odmówić! — „Bądź więc gotów. Jutro zajadę po ciebie, aby tam być pojutrze”. Pomimo rozsądnych uwag starszej siostry, pomimo własnego przekonania, że jak dziecko ludzę się bańką mydlaną, gonię za Józją, jestem oto na majowym balu. Pani Grzebińska przy majątku miała syna Aloizego, kawalera maltańskiego z wiecznym uśmiechem na ustach, a który później był marszałkiem zytomiarskim, a na koniec ożenił

się z akto.ką teatru żytomiarskiego; miała oprócz syna trzy hoże córki, a po każdej wzięli mężowie po dwakroć sto tysięcy złotych. Najstarsza z nich była za Litwinem, majorem Galofem, i miała z nim córkę, o której nadmienię po nieszczęsnym 1831 roku; z drugą ożenił się chorąży łucki, Stanisław Piotrowski, ojciec zacnego w dalszych czasach marszałka tegoż powiatu, Wincentego Piotrowskiego; a z najmłodszą z nich i najładniejszą, marszałek łucki, Stanisław Lipski. Dodać tu jeszcze potrzeba, że pani Galofowa, owdowiawszy, wyszła za adwokata Wincentego Łozińskiego, o którym wyżej wspomniałem. Liche miasteczko Piatka pod Cudnowem zaledwie mogło pomieścić natłok karet i koczów, na bal przybyłych. Pani Grzebińska nie szczędziła kosztów. Sień ogromną u największego domu zajezdneho kazała wyłożyć gładkimi deskami; żłoby przy ścianach odjęto; zwykle po stajniach słupy otoczono girlandami z liści i rozmaitych kwiatów, a przy każdym paliło się po kilka świec woskowych, stearyny bowiem jeszcze nie znano; na belkach poprzecznych pozawieszano pająki z mnóstwem takiegoż światła. Słowem tak improwizowana sala zatarła ślady brudnej sieni żydowskiej. Na dopełnienie uroku, z licznej orkiestry romanowskiej uproszono jej częśćkę na tę zabawę majową. Przy świecach nadjechała pani podkomorzyna Zaleska z rodziną. Dobra starszuszka, skorom ją powitał, z tak życzliwym przymileniem przemówiła do mnie, jak gdybym do najbliższych jej sercu należał: „Czy ty zawsze bawisz w Żytomierzu?” — Dotąd jeszcze bawię; ojciec mój ciągle przypomina, abym się tam sposobił do sądowych urzędów. — „To bardzo chwalebnie. A ja tam wybieram się na lipcowe do was wybory, choć kijowianka. Pan Komberlej pewnie wystąpi z balami“. Głupi! ucieszyłem się, jak ów tonący, co schwycił deskę przed sobą! Całą noc przebawiliśmy tam wśród ciągłych tańców, przerywanych tylko hojnem

gości przyjęciem. Składały się na to herbata, wyborne dla mężczyzn wina, napoje chłodzące i cukierki; a dla mnie najśladse było towarzystwo Józki, z którą jedynie tańczyłem. Po wieczerzy, nad rankiem, odjechalśmy z Głębockim do Żytomierza.

Dobry mój ojciec dowiedział się, mieszkając o trzy mile od Piatki, że tam byłem na balu i pisał do mnie z tą uwagą, że w latach moich nienaganne jest uczucie przyzwoitych niekiedy rozrywek, ale potrzeba panować nad sobą, aby nie zostać ich niewolnikiem; że raz obrany cel życia, należy zawsze mieć przed oczyma; że dobrze jest ubiegać się o życzliwość ludzką, lecz ta będzie pozorną tylko, jeśli jej nie otrzymam przez istotną zasługę, a do zasługi nie dojdę bez pracy. Słowem, dał mi do poznania, że lęka się, abym nie został próżniakiem. Polecił mi przytem, abym upatrzył i zamówił dom z kuchnią i stajnią do najęcia na zbliżające się wybory, gdzie i szwagier jego, Antoni Budzyński, z dwoma synami, Mikołajem i Ignacym i nas trzech, to jest: mój ojciec, mój brat starszy Antoni i ja, moglibyśmy wygodnie się pomieścić. Ten list zastał mnie w zniechęceniu do szermierstwa prawniczego. Ze wstrętem, a nawet z obrzydzeniem słuchałem sporów zaciętych, jakie od sądów powiatowych drogą apelacyi przechodziły do sądu głównego. W prostocie ducha, przy rozmarzeniu uczuciowem, które całą ludzkość chciałoby przyjąć braterstwem, powstawałem przeciw adwokatom, którzy wspierają procesa, powstawałem na świat cały, że nie idzie drogą przepisów wiary naszej, a otrzymalibyśmy na ziemi królestwo Boże, o które w codziennym pacierzu błagamy. Nie mogłem jeszcze przewidzieć, co mój ojciec względem mnie zamierzał. Powtarzał ogólnym wyrazem, abym się sposobził do usługi publicznej w sádowniczym urzędzie. Ileż to lat wypadnie męczyć się jeszcze w palestrze, aby dojść do wieku odpowiedniego urzędowi. Nadto, wedle praw na-

ch wówczas, z Rzeczypospolitej pozostałych, elka podobna usługa publiczna, bądź administracja, bądź sądownicza, dopełniała się bezpłatnie. Wtulek, na jakikolwiek urząd przez współziomków any, szczycił się ich ufnością i na tym zaszczyt poprzestawał. Rodzice moi przy pięciorgu dzieh, lubo mieli o czem przyzwoicie je wychować ostatnie wiedli życie, przecież cały ich majątek dał się z wioski w powiecie łuckim, wypuszczówówczas Litwakowi Rzewuskiemu w posesyę, wóch wiosek w nowogródwołyńskim, trzymah od roku 1791 prawem zastawu, co wszystko iewielkim kapitałem, osobno do dziedzica tych óch wiosek należnym, nie więcej wynosić mogło, dwakroć kilkadziesiąt tysięcy złotych. Ztąd wnon sobie, że gdyby i wiek zbyt młody nie był na eszkodzie, byłoby rzeczą dla mnie trudną podejwać się na urząd bezpłatny. Bądź co bądź, tra mnie ciągle obawa, abym nadal nie uwiązł palestrze. Kiedym się biedził nad moją przyszłość, nadjechał ze wsi kochany Józef Głębocki i za namawiać, abym z nim był na liczmem zgromadzeniu, o półtorej mili od Żytomierza, u państwa komorstwa Michałowskich w Prażowie. W mej odpowiedzi dobywam list mego ojca i daję mu tać. On, przebiegwszy to pismo, zawołał: „A wiż! i ojciec nie potępia przyzwoitych niekiedy roztek“.—Któż jest ów p. Michałowski, którego tu cze nigdy nie spotkałem? — „Jest to niepospolity ginał. W gubernii Kijowskiej, w Radomyskim wiece, posiada dwie porządne wioski, ale ponieważ sąsiedzi jego grają tylko w polskie karty maryarskie a starszerek podkomorzy musi czasem pół roku tać, nim u niego ze stron dalszych zbierze się czterech do wista, zniecierpliwiony, wypuścił w arendę i dzierżawę swój majątek, a z kapitałem, który był na procencie, przeniósł się na zastawę wsi łowa, gdzie go ciągle prażą sąsiedzi w wista.

Żona jego, dość młoda jeszcze, zwłaszcza przy nim lubi zabawy i w tem cała mieści się okoliczność do balu. Zapomniałem też dodać, że ma się on odbyć w przyszłą niedzielę, jako obchód jej imienin. Nie stracisz ani dnia jednego: w święto pojedziemy z powrotem na noc; a w poniedziałek będziesz na sesyi sądowej*. Przekonał mię i byłem z nim w Prazowie. Zastaliśmy dom pełen gości. Solenizantka gospodyni, mająca około lat trzydziestu kilku, małego wzrostu brunetka, okrągła, pulchna, grzeczna dla wszystkich, ale, jak mi o niej szepnął jeden ze znajomych: „*Soite, comme une poule!* Wyobraź pan sobie, że będąc we Lwowie, zaledwie wysiadła z powozu, dostrzegłszy blisko otwarty jakiś magazyn towarów, wchodzi i zapytuje kupca: „Powiedz mi pan, gdziebym tu mogła widzieć okręty?“ Kupiec zdziwiony patrzy tylko jej w oczy. Ona powtarza: „Okręty, okręty!“ — A! rozumiem! pani chcesz dla małych dzieci zabawki; oto niedaleko, widzi pani drzwi otwarte trzecie, tam jest magazyn podobnych dla dzieci rozmaitości. — „Ale nie! ja chcę widzieć wielki okręt na wodzie“. — Przebacz pani! Ja na to we Lwowie nie poradzę. — A przecież patrzyłem na to, jak młodzież bardzo przyzwoita otaczała ją nadskakiwaniem. Mąż, prawie zgrzybiały, o gołębiej duszy i jak gołąb siwy, był obojętnym na wszystko widzem, wist mu pochłonał pamięć o żonie i o krążących przy niej satelitach, z których najbliższym jej względów, jak podawano sobie do ucha, był niskiego wzrostu brunecik, odznaczający się imitacją dość sporego szmaragdu przy ząbotach, znany mi adwokat z Żytomierza, pan Stetkiewicz, o którego bolesnym wypadku w Kijowie niżej nadmienię.

Z pomiędzy gości poważnych, wiekiem i kon-
tuszem, poznałem tam stryja solenizanta, pana Pe-
szyńskiego, który już odbył na Podolu naczelne urzę-
dowanie gubernialnego marszałka. Stało się to wpra-

wdzie niechcący, bo ani on nie mógł obiecywać sobie tej godności, ani obywatele nie zamierzali mu jej nadawać. Rzecz tak się złożyła: Wiadomo było zebrany na wybory w Kamieńcu, że generał-gubernator Bachmatiew, nie wiem za co, nie lubił Ludwika Raciborowskiego, którego większością głosów obrano marszałkiem gubernialnym, a ponieważ pan Peszyński powszechnie był znany z zupełnej niezdatności do tego urzędu, bo nie tylko żadnym innym językiem nie umiał i słowa przemówić, jak tylko macierzystym, i to niezrozumiale szepleniąc, ale nadto prostactwa gburowatość jego śmiech tylko wzbudzała, przeto wnoszono sobie, że taki kandydat przyda się na to, aby Raciborowski niezawodnie otrzymał zatwierdzenie. Ale stało się przeciwnie: Oto na przekór obywatelom, Peszyński został zatwierdzony na tę dostojność. Opowiadano mi w Prażowie śmieszne sceny z ciągu jego urzędowania. Niektóre z nich tu przywiodę. Cesarz Aleksander I, w czasie swej bytności w Kamieńcu zapytał go raz, czy nie dzieją się tu jakie nadużycia ze strony urzędników od korony? Peszyński rzekł na to swoją szepleniącą mową: — „Tu N. panie największy selma, jest wice-gubernator, bo otwarcie, mospanie, bieżę pieniądze.“ — I na takie oskarżenie, bez żadnych dośledzeń, ten urzędnik natychmiast był oddalony. Cesarz tak upodobał sobie prostoduszność Peszyńskiego, że go wziął z sobą do Mikołajewa w gubernii Chersońskiej, gdzie przy zlanu się rzeki Bohu z Ingulem jest port wojenny, stacya floty czarnomorskiej i warsztaty okrętowe. Tam na przybycie cesarza spuszczano nowozbudowany okręt. A gdy cesarz z Peszyńskim dopłynawszy łódką do okrętu, gdzie muzyka zabrzmiała, zażądał wina i odezwał się do Peszyńskiego, siedzącego przy nim na pokładzie: — „Wypijemy toast na cześć komendanta.“ — Tak, tak N. panie! na cześć kapelmajstra, bo prześlicznie grają! Wiele innych niedorzeczności prawiono tam

o nim. W Prażowie do tańców wcale nie należałem, dość mi było dramatu, jaki przedstawiała solenizantka i opasły, ogromnego wzrostu, szepleniący jej stryjaszek. Państwa Michałowskich zdarzało mi się widywać i później. Z Prażowa przenieśli się byli do arendownej dzierżawy części miasteczka Polonnego, dokąd staruszka znęcono wiadomością, że tam znajdzie amatorów wista. Jeśli mnie pamięć nie myli, on tam i życia dokończył, a owdowiała, żona jego, posiadając kapitał bądź posagowy, bądź z zapisu męża, wyszła za ubogiego Karola Krajewskiego.

Pierwszych dni lipca znowu Józef Głębocki wyciągnął mnie z Żytomierza na balik niedaleki do Gardeszówki u państwa Roźniakowskich. Tym razem, jakby przewidując, że kochany ojciec coś innego postanowi ze mną, chętnie skloniłem się na tę podróż, jakby dla pożegnania tych okolic. Najmilszą miałem niespodziankę, bom zastał tam podkomorzyńnię Zalcską z pannami. Schwycił mnie natychmiast Głębocki: — „A co? Prawda, że rad jesteś, iż cię tu przywiozłem?” — „Ze szczerą wdzięcznością uściskuję go. Tu po dawnemu zapamiętałe należałem do tańców, a zawsze z lubym robaczkiem. Raz, gdyśmy stanęli do polskiego, i byłem z nią w tej wolnej przechadzce, ona wymknęła z mej dłoni rękę, otworzyła sznurkiem ściągnięty mały piękny woreczek, i z wyjętych dwóch cukierków, biały do ust wzięła, a mnie podała różowy. Dziękując jej, powiedziałem: — „Czemuż mi nie wolno, abym roit sobie, że kolor tego cukierka jest w tej chwili łomaczem uczuć pani!” — „Cóż ten kolor oznacza?” — „Jedyny cel życia mego... życzliwość pani!” — „O! jeśli on to wyraża, to ja trafnie wybrałam. Ale dziwi mnie, że pan wątpisz o tej życzliwości. My wszyscy w Wołczyńcu bardzo mu jesteśmy życzliwi.“ Tu ktoś odbił pierwszą parę i następnie, będąc w drugiej, musiałem ją oddać innemu.

Mam jej zimną życzliwość tylko! — pomyślałem,

odchodząc już z inną damą; tym razem nie śmiałem wspomnieć, że pragnę w niej żywsze obudzić uczucie i dlatego może to tylko otrzymałem, czegoś żądał. Tu upewniłem się, że ona z babcią i ciotkami w tym miesiącu będzie w Żytomierzu. Dziękowałem Bogu i za jej życzliwość i za pewność ujrzenia jej wkrótce.

Wybory w lipcu 1811 roku.

Na drugi to w życiu mojem patrzyłem zjazd gubernii, do którego czynnie z dwóch powiatów mam wpływać, jak było po raz pierwszy w 1808 roku. Teraz, lubo za naradą z kochanym ojcem, ale przecież będę powodowany własnem przekonaniem, które zawsze poddam pod jego rozważę. Przez dwa lata mieszkając ciągle w mieście gubernialnem, gdzie tyśiące spraw rozstrzygało się pod mojem okiem, miałem sposobność poznać charaktery i moralne zasady wielu obywateli i o wielu z nich słyszeć ustalone opinie. Marszałek gubernialny z przeszłych wyborów, pan Aloizy Gostyński, powinien był zjechać do Żytomierza, aby, jak zwykle przed rozpoczęciem wyborów, całemu zgromadzeniu z dwunastu powiatów zebranemu w sali wyborczej, przewodniczyć do katedry, gdzie po nabożeństwie i odpowiedniem do okoliczności kazaniu, mamy wykonać przysięgę na bezstronność w obieraniu naszych urzędników, i aby w kole powiatowych marszałków przydywać przez całe wybory, jako naczelnik szlachty. Nie zjechał przecież. Może unikał publicznego oburzenia obywateli za bezczelne oskarżenie Tadeusza Czackiego. Nie wspomniałem o tej jego czynności, gdzie mi należało nadmienić, to jest w roku 1810, przeto teraz

przywiode ę ową dla dbających o dobro niegdyś publiczne ważną a pamiętną sprawę. Gostyński, powołany jakąś osobistą niechęcią ku Czackiemu, wazył się jako marszałek gubernialny tajnie oskarżyć go przed Cesarzem o zły jakoby sposób udzielania nauk w utworzonym przez niego gimnazyum Krzemienieckiem; o źle przez niego obranem miejscu na to gimnazyum, a nadewszystko, że dochody, na tę szkołę przeznaczone, chybiają swoich celów. Słowem, rzucił w tym punkcie niecne podejrzenie na Czackiego, że on liczne ofiary, zbierane przez siebie na kosztą tego gimnazyum, jakoby ku własnej korzyści otracał. Lubo Czacki oddawna znany był w kraju i w stolicy z istotnych zasług swoich i z bezinteresowności, przecież Cesarz nie mógł pominąć oskarżenia, jakie od naczelnika szlachty pochodziło, i nie zawiadamiając potwarcy, wyznaczył komisję, zamiarowawszy jej prezesem Fryderyka Moszyńskiego, niegdys marszałka wielkiego koronnego, rzeczywistego tajnego radcę, i dwóch jej członków: Karola księcia Jabłonowskiego z Ostroga i starostę Romualda Bystrogo. Ta komisya zasiadała w Żytomierzu 1810 roku. Na jej wezwanie stawił się niewinny Tadeusz Czacki; na wszystkie powyższe punkta jasno i dokładnie odpowiedział złożonemi rachunkami, zawstydził utajonego potwarcę, i ze wszelkich podejrzeń wyrokiem tej komisyi został oczyszczonym. Dostędzono niebawem potwarcy który nie zdoławszy ową skargą dopiąć jej celu, pokątnie starał się Czackiego zohydzać, urojoną przypisując mu winę. Byłem naocznym świadkiem, jak p. Gostyński, przy obiedzie u jednego z magnatów, wyrzekł tę niedorzeczność: — „Tadeusz Czacki krzywdzi naród, krzywdzi przodków naszych. W mowach swoich ogłasza ciągle potrzebę oświaty, jak gdyby dotąd była tu ciemnota, jak gdyby ojcowie nasi byli głupcami!“

Nie zjechał na wybory 1811 roku, bo pewnie już mu wiadomem było odkrycie w nim potwarcy

Czackiego, który przez całą gubernię był uwielbiany. Miejsce Gostyńskiego zastępował żytomierski powiatowy marszałek, pan Zawisza. Wybory zwykle wówczas zaczynały się dnia 20 lipca. Mniej było zgłębku, niż w roku 1808, kiedy każdy szlachcic na zagonie, z prawa swojej legitymacyi, mógł należeć do wotowania, z czego na tamtych wyborach chciał korzystać p. Michał Korzeniowski, dziedzic Kodni, znieprawidzony przez sądu głównego od roku 1796 po rok 1805, a po którym zajmował przez trzy lata ten urząd z otrzymaniem wysokiego szacunku zacy Tadeusz Teleżyński. Pan Korzeniowski w roku 1808, aby zostać marszałkiem gubernialnym, ściągnął liczną z powiatu owruckiego szlachtę, nawet najuboższą, której nieraz brakowało butów, a która po wielu miejscach całe wioski z nadania królów zaludniała jednym nazwiskiem, jak Wyhowscy i tym podobni, aby za jej pomocą dostąpić urzędu, po który sięgał. I lubo karmił ich, poit i cebrami słodkich lodów na sali wyborowej uraczał, przecież obywatelskie negatywy przemogły zagrodowe wota. Po nowem rozporządzeniu ograniczono wotowanie i nadano do niego prawo tym tylko, którzy w dziedzicznym lub zastawnem posiadaniu mają majątność, liczącą najmniej sto dusz włościańskich. Było nas przecież zgromadzonych około pięciuset.

Skoro mój ojciec nadjechał z moim starszym bratem Antonim, który już był w powiecie zapewnio ny, że otrzyma urząd deputata komisji legitymacyjnej, a po nich, gdy przybył szwagier mego ojca, Budzyński z Wyszczukus z dwoma synami: Mikołajem i Ignacym, i dwaj Budzyńscy młodzi z Wygnanki: Kazimierz i Marceli, natychmiast przeniosłem się do domu dla tej całej rodziny przezemnie zamówionego, gdzieśmy razem przez całe wybory mieszkali. Z pomiędzy nas wszystkich jeden tylko Mikołaj Budzyński kończył urzędowanie, w ciągu którego, jako choraży żytomierski zastępując powiatowego marszałka,

otrzymał od Cesarza piękny pierścień brylantowy, nie pomnę już za co. W naszym Zwiąhelskim, czyli Nowogrodwołyńskim powiecie, jeszcze nie było wiadomo, kto ma być marszałkiem. Nie słyszano o zadnym z ubiegających się o ten urząd, a kończył go po długich latach Jan Nepomucez Omieciński, z którym mój ojciec w dobrej był zażyłości. Ztąd raz wzięwszy mnie na stronę, szepnął, abym napisał mówkę ku pochwale zasług Omiecińskiego, który od roku 1790, to jest od czasów Rzeczypospolitej, spełniał wzorowo rozmaite urzędy bezpłatnie bez przerwy lat 21. Rzecz dla mnie młodego pochopna wystąpić w kole powiatowem w przedmiocie niewątpliwej wartości. Jakoż na pierwszej sesyi w salach wyborczych, gdzie grupami powiaty stawiały swoich marszałków, skoro zebraliśmy się około swojego, Omieciński przemówił, dziękując za doznawaną dotąd ulność obywateli i razem składając urząd, żegnał się z powiatem. Na skinienie mojego ojca dobyłem z zanadza swoją krótką mówkę, gdzie w imieniu obywateli oświadczyłem panu Omiecińskiemu wdzięczność za gorliwe a długie sprawowanie urzędu, wymieniając przy tem inne od tak dawna dopeiniane usługi publiczne, przez które zjednał sobie szacunek współziomków. Było tam jakieś pewnie wysilone krasomówstwo, bo przecież zajmowało to całą ćwiartki stronicę. Zbiegło się mnóstwo słuchaczy i z innych powiatów na tej sali, z których wielu wówczas szukało mojej znajomości, a pomiędzy nimi był Kajetan Czarnecki, owocześnie obrany marszałkiem kowelskim, któremu w lat 42 później, gdy kończył życie w Kustowcach 1853 roku, pisałem testament. Cały powiat dziękował mi za te kilka słów w jego imieniu i na czyjś wniosek polecono sekretarzowi urzędu marszałka, aby mowa moja, którą musiałem im złożyć, dosłownie wpisaną była do akt marszałkowskich ku pamięci zasług Omiecińskiego. Nie mogłem jeszcze przewidzieć, jakie ztąd będzie

następstwo. Ale na stancyi Kazimierz Budryński, będąc ze mną sam na sam, przywiązany do mnie mój brat cioteczny, a wotujący w naszym powiecie, objawił mi zamiar zgodny z życzeniem mego ojca, aby mnie zamieścić do kandydatów na podsędka sądu ziemskiego. Przedstawiąłem mu niepodobieństwo na-przód w tem, że prawo wymaga na to lat dojrzał-szych, więcej doświadczenia, że nie skończywszy jeszcze lat 21, nie mam na to kwalifikacyi; powtóre, że mało znany jestem w powiecie. — Mówka, rzekł mi, którąś przeczytał, dała im poznać twoje moralne zasady; już wiedzą wszyscy, żeś przez dwa lata nie próżnował przy sądzie głównym w pałacu, a sto-sunki ojca twego dokonają reszty. Zdaje się, że Ignacy będzie podsędkiem Żytomierski, bo proszą go o to, a Marcei w naszym życzy sobie być cho-rałym. Nie wiem, czy mu się to uda. — Tak więc, o czem nie marzyłem, przyjdzie sędzić sprawy ludz-kie!

Na urząd marszałka naszego powiatu, nikt nie objawiał zabiegów. Lecz na następnej sesyi, jeszcze pod przewodnictwem, Omiecińskiego, ktoś wspomniał o dziedzicu Marcinówki, starym kawalerze, panu Wo-deckim, jako godnym tej w powiecie dostojności. Mało on był znany i żył w poufnej przyjaźni z je-dnym tylko starym Porczyńskim z Lubomirki, który, lubo nie szczyił się powagą w powiecie, otoczony przeciw dorosłymi synami, miał pewne znaczenie przy wotowaniu. Jeden to z nich wspomniał o pa-nu Wodeckim i ten przy konkurencie bez wsparcia, szczęśliwie przeszedł przez tajne wota. Po utwier-dzeniu go na tym urzędzie, wszedł do naszego koła obecny wówczas na wyborach Tadeusz Czacki. O dawnem jego znaczeniu, świadczyła wstęga błę-kitna i dwie polskie gwiazdy; o dzisiejszem, któż po całym kraju nie oddawał czci jego pracy ku kształceniu młodych pokoleń? Przemówił do nas, mając księgę pod pachą. i prosząc o zapisanie w niej ofiar na fundusz pa-

rafialnych szkótek. Na to śmieszny trochę stał Porczyński, w traku mundurowym, przedwiecznej kroju, o tysinie zasypanej pudrem, odezwał się: — „Pi starosta, mości dzieju, jak mówią nam, uczenie pisz ale co do pieniędzy, to chwyta, gdzie zachwycić m że, niby na szkoły, a my jak w rogu nie wiem gdzie się podziewają, mościbdzieju, te obywatelsk ofiary!“ Ośmieliła go do tak ubliżającej mowy prz jaźń nowoobranego marszałka. Czacki z uśmiecher bez najmniejszej urazy przyjął od prostaka ten obe żywy zarzut, i dowiedziawszy się o nawisku mówc odpowiedział mu: „Będę miał zaszczyt przedstawi panu rachunek z ofiar obywatelskich“. I spokojni odszedł. Wielu z nas powstało na starego Porczyńskiego za tak nieprzyzwoite odezwanie się, czyniąc wstyd powiatowi; i staruszek mocno zmieszany, dopiero się dowiedział, że na tak niecny zarzut już był komisya z dostojnych osób złożona, która przez rżawszy rachunki, nietylko zupełnie go oczyścił lecz nadto przedstawiła cesarzowi jego dla kraju z slugi. Nazajutrz głoszono, że Czacki, powziawsz wiadomość od policyi o kwaterze Porczyńskiej z Lubomirki, drapał się po lichych schodach na podasze do starca i chciał przed nim składać rachunki jakie sekretarz jego przyniósł za nim w arkuszow księdze. Zawstydzony Porczyński ani zajrzał do owych rachunków, a najuniżeniej przeproszał i wczorajsze odezwanie się w kole powiatowem. I następnej u nas powiatowej sesyi przystąpiono do podawania kandydatów na urzędy sądu ziemskie (co dziś nazywają powiatowym). Pomnę niecne podszepty sędziego W., który znieważając swój poważ kontusz, kłaniał się, sciskał i kładł do ucha niekrym te wyrazy: „Pozwólcie, panowie, abym jeszcze przez trzy następne lata podreperował cokolwiek mo interes!“ Lecz podany przez kogoś na kandydata okropnie zleciał, więcej bowiem miał negatywno afirmatyw. On nieborak w upragnionym nadał ur

dzie, czyhał na rozbiory, które się wówczas zagęściły w naszej gubernii, gdzie zarówno z każdego powiatu sąd główny za staraniem dłużnika mianował sędziego lub podsędką na zjazd rozbiorowy. Obyczajem wówczas przyjętym, płacono od masy urzędnikowi zjazdowemu po dukacie od tysiąca złotych; a bywały majątki pod rozbiór oddane wartości miliona i nawet kilku milionów złotych. Na ile milionów była oceniona masa idąca pod rozbiór, tyle tysięcy dukatów brał zjazdowy urzędnik. Nie powiodło się panu W., a obrany został naszym sędzią ziemskim także kontuszowy, ale zacny Romuald Kozłowski. Z kolei nastąpiło podawanie kandydatów na urząd dwóch podsędków sądu ziemskiego i pisarza. Ktoś z życzliwych memu ojcu, bo co do mnie, mało tu byłem znany, odezwał się: „Na pierwszego podsędką prosimy pana Szymona Konopackiego“. Na ten głos jeden, odezwał się cały prawie powiat: „prosimy!“ Z obu stron marszałka, który stał przy balotowaniu, była długa ławka, gdzie siedzieli dostojni wiekiem i zasługą. Między innymi z prawej strony siedział, okryty dwiema gwiazdami na piersi polskimi i jedną rosyjską, niegdyś pięknej pamięci konfederat barski, a później, biada mu! targowicki, i w końcu generał-inspektor kawaleryi narodowej, w kontuszu, Antoni Pułaski. Znał się on oddawna z moim ojcem i skoro ucichli, ozwał się głośno: „Prosimy nawet bez wotowania!“

Z drugiej strony marszałka, na tejsze ławce, siedział we fraku także stary targowiczanie, generał Antoni Raczyński. Ten pewnie miał w myśli kandydatów dobrze sobie znanych, którzyby mogliby pomagać jego procesom w powiecie. Nierad więc tej jednomyślności za mną, przemówił: — „Nie mamy nic do zarzucenia podanemu kandydatowi, alez patrzcie panowie! On na ten urząd, jest zbyt młody!“ — Pułaski już po śniadaniu, pewnie dobrze pokropionem, z oburzeniem wrzasnął: — „Jakto młody? To niby

kie? Waćpan sami taki!* Zerwali się ku sobie Tar-gowiczanie, oba wysocy wzrostem i silnego złożenia. (Obraz publiczna i dotkliwa! Nie wiem, jakby się skończyło, gdyby starzy powiernicy nie weszli czynnie w pośrednictwo. Ale głos Pułaskiego przemógł: bez wotowania cały powiat okrzyknął mnie podsędkiem. Na drugiego podsędką wotowano, i został nim dawniejszy pan Jasiennicki. Pisarzem obrano pana Józefa Malachowskiego, o którym mówić będą pod rokiem 1838, 1844 i 1845. Kochany mój ojciec, rad niezmiernie otrzymanemu przezemnie tryumfowi, sciskał tych wszystkich, którzy mu wieszowali objawionej we mnie ufnosci, a mnie kark zabolął od ciągłych na wszystkie strony ukłonów. Tegoż dnia w dwóch innych powiatach, obrano na tenże urząd szkolnych moich a drogich kolegów: w Żytomierskim ciotecznego brata mego Ignacego Budzyńskiego, a w zasławskim Jakóba Cichońskiego. Co do ważniejszych gubernialnych urzędów, obraliśmy prezesem sądu głównego departamentu, łowczego niegdyś wołyńskiego i kawalera orderu 3-go Stanisława, dziedzica miasteczka Januszpola, Antoniego Dąbrowskiego; prezesem pierwszego departamentu do spraw kryminalnych, Józefa Baczyńskiego, a na gubernialnego marszałka Wacława Hańskiego, pana obszernych włości tu i w gubernii Kijowskiej, który później ożenił się z Ewelina Rzewuską z Pohrebyszcz, córką kasztelana Adama, a siostrą znanego w kraju autora Henryka. Na te wybory mnóstwo zjechało matron z córkami. Kilka też świetnych było balów, z którymi kolejną występowała: gubernator Komburlej, gubernialny maszałek Hański i prezes książę Czetwertyński, a najpiękniejszą ich ozdobą była zawsze panna Józefa Bierzyńska. Księżna Radziwiłłowa, dość przystojna, wabiła niektórych wyraźną zalotnością. Mąż jej, Mateusz Radziwiłł, ówczesny dziedzic Berdyczowa, wprzód był ożeniony z Zakrzewską, miał z nią syna, i rozwiółł się, a ożenił powtórnie z mło-

dą Litwinką, z domu Judycką, a jako stary, lat około 60 mający, zazdrośnem patrzył okiem na grzeczności otaczającej ją młodzieży. Ztąd przy kartach na balu u gubernatora, jak mówiono, ciągle przegrywał przez roztargnienie, bo całą uwagę miał na żonę zwróconą. Wkrótce nas, już potwierdzonych, przyprowadził do przysięgi powiatowy marszałek, to jest na urząd podkomorzego Stanisław Potocki z Pasieczny, na chorążego Marceli Budzyński, i cały komplet sądu ziemskiego wyżej wymieniony, razem w katedrze wykonaliśmy przysięgę. Podkomorzyna Zaleska nacieszyć się nie mogła mojem podsędkowstwem. I jej robaczka cieszył mój zarząd. Bywałem tam dość często u nich. Raz przed balem, który miał się odbyć wieczorem u Hańskiego, a na który już odebrałem wzywający bilet, zamówiłem sobie Józię, jakby żartem, do czterech mazurów, tyluż anglezów i kadryłów, i bawiąc tam z godzinę, zapomniałem o tem. Tegoż dnia śród balu spiesznie podchodzi do mnie Cichoński i rzecze: — „Zbierają się tańczyć mazura, pozwól, abym tańczył z panną Bierzyńską! — „Dlaczegoż mnie o pozwolenie pytasz? czy z niej, czy ze mnie żartujesz? — „Mówiła, żeś ty ją zamówił.“ — Daję ci słowo, że na ten raz nie zamawiał jej. Odszedł do niej i wnet wraca, już widocznie zagniewany: „To ty ze mnie żartujesz, boś ty ją zamówił.“ — To omyłka jakaś, chodźmy oba do niej, zaraz cię przekonam. Na moje zapytanie, czy nie kto inny ją zamówił, ta zmieszana, przypomniała mi: — „Wszakże dopiero dwa mazury tańczyliśmy, a pan mnie zamówił do czterech.“ Przebacz pani za myłkę w rachunku — proszę tym razem nie odmówić memu przyjacielowi. Ten przyjaciel był strasznym dla mnie, bo przy piękności, wysokiem ukształceniu i dowcipie, łączył i tę zaletę, że ojciec jego, pułkownik niegdyś wojsk polskich i poczciwy konfederat barski, miał Sulżyn, Futory i Brukulę, a Jakób jedynym jego był

synem. Ale szczęściem, choć Bierzyńską uznawał za najpiękniejszą z pańien, przecież nie był moim rywalem. Och, co też ja później ich miałem!

Wracam do mego urzędowania. Sam przystęp do niego wymagał po mnie osiary. Miałem w usługach moich młodego chłopaczka niskiego wzrostu, którego rad byłem i nadal zatrzymać, bo pilnował swego obowiązku i przywykłem do niego. Mój ojciec zrobił mi uwagę, że powaga urzędu wymaga, abym miał starszego lokaja, i że wyszukanie takiego już nawet polecił faktorowi. Naprózno przedstawiałem cnoty mojego Jasia. Zjawił się nazajutrz i był przyjęty lokaj, lat około 60 mający, ze szlacheckim nazwiskiem Kowalski, który długo w młodszych latach służywał przy wielkim dworze Szczęsnego Potockiego w Tulczynie. Porządne ubranie świadczyło o jego trzeźwości, a przytem dobre miał świadectwa. Lecz ponieważ o wiele był starszym odemnie, lękałem się, aby nie zechciał zapanować nademną. Później okazało się, że ta obawa była słuszną. Nie raz miałem trudność utrzymać się przy swoim, nie raz musiałem gderania jego znosić. Pomnę, że raz jadąc śród błotnej jesieni do Wołczyńca, słyszałem jego mruczenie do furmana, siedzącego obok na koźle: „Ot i deszcz zaczyna padać! Skaranie Boże! Kto jeździ w taką drogę!” Wtem wśród błota, gdzie gruby taras był narzucony, tylne koło u powozu łamało się w kawałki. „A co? nie mojaż prawda? Trzeba durnia, aby teraz jechał!” „Mój Kowalsiu! bądź cierpliwym! Zobaczysz, że nas tu Bóg nie opuści.“ „Oj prawda! kiedy pan z nim toczysz wojnę. Bóg chce pewnie, aby ludzi oszczędzać. Pan w budzie kpisz sobie z deszczu, a człowiek na wierzchu, jak pies moknie!“ Na tę rozmowę nadjeżdżają jakieś dwie próżne podwoły. Uprosiłem, aby się zatrzymały. Ci dobrzy ludzie, widząc nasz kłopot, dopomogli wyciągnąć powóz z przepaści błota i jedna podwoła odwiozła mnie do karczmy o dwie

rsty, a druga została przy moim powozie, aby go tejże karczmy dociągnąć.

Gdy nocowałem w tej karczmie wśród stepu, pan upatrzył tam jakieś stare koło, dla mnie przy-
 ie. Wziąłem je za umową, że je z Wolczyńca
 ilę od tej karczmy odeślę. Ten wypadek spraw-
 przysłowie, że niema złego, coby na dobre nie
 zło. Cały tydzień dobra podkomorzyna zatrzy-
 a mnie pod pozorem reperacji koła przez miej-
 wego stelmacha. Koło w trzy dni było zupełnie
 owe, jak później dowiedziałem się od mego lokaja.
 uszka, patrząc na szczęście moje przy wnuczce,
 adala z dnia na dzień dokończenie naprawy. Czę-
 wówczas zostawiano mnie sam na sam z Józią.
 raz więcej godziny tak było, słyszałem, że w dru-
 pokoju, na wpół przymkniętym, panna Teofila
 na to szepnęła matce, a ta głośno powiedziała:
 zwól, niech robaczki się pobawią.” Wówczas to
 isałem w sztambuchu Józi te wierszyki, powta-
 ie później po pismach peryodycznych i innych:

Ustał wietrzyk, błyszczą wody,
 Żaden się listek nie ruszy,
 Ach! czemuż takiej pogody
 Już nie doznaję w mej duszy!
 Myślałem, chodząc w te strony,
 Że moja młodość upłynie,
 Jak ten kwiatem umajony
 Spokojny strumyk w dolinie.
 Ale dostrzegłszy w twem oku
 Wdzięk, co mą duszę zachwyca,
 Zadrżałem, jak w tym potoku
 Drży blade światło księżycy.

Z tych dwunastu wierszyków, szły moje dla
 , dały mi w świecie dostoyny tytuł poety. W pół
 i po ich napisaniu, gdy byłem w Wolczyńcu, Jó-
 ze mną sam na sam będąc, rzekła mi: „Kilka
 temu pan szef Seweryn Rzewuski, będąc u nas,
 oglądał mój sztambuszek i, przeczytawszy wiersze

pana, tak je sobie upodobał, że je przepisał dla siebie i powiedział nam te słowa:— „Kiedyś i ja w młodych latach układałem piosneczki, ale wszystkie moje oddałbym za te trzy strofki.“ Mniejsza o zdania ludzkie, rzekłem jej, ja dbam o to jedynie, aby one pani podobać się mogły! „Alboż pan wątpisz o tem? Trzeba być bez duszy, aby ich nie oceniać, jak one są warte!“

Ten szef Rzewuski, ozdobiony krzyżem *virtuti militari* za rok 1792, był młodszym bratem Adama, kasztelana witebskiego, i niegdyś w życzliwych żył stosunkach z mieszkającym dawniej ojcem moim w Kijowszczyźnie, o czem wspominał przed podkomorzyną Zaleską, gdy przy nim była mowa o mnie. Ale cóż mi z tego? Wszakże gdyby podobne stosunki życzliwości były nawet z cesarzem chińskim, cóżby one znaczyły dla opiekunów panny, kiedy ona posażna, a ja ubogi?...

Dziękowałem Bogu, żem, bawiąc tam przez tydzień, nie oszalał z nadmiaru szczęścia i daremnych marzeń. Powrót mój był śpieszny, aby zdążyć na świętomichalskie sądy ziemskie do Zwiahła, nazwanego Nowogrodowolyniem. Owe sądy były dla mnie jakby ciężką pokutą za grzechy. Koleżeństwo z ludźmi o wiele starszymi, przy ich całej prawości, było wcale niestosowne do moich usposobień. W ciągu trzech lat owej pokuty zdarzało mi się samemu dopełniać zjazdów kondescensyjnych. Pierwszy z nich był z wezwania podkomorzego Piotrowskiego z Bratałowa, ojca pomarłych już przyjaciół moich: Eligiego, Konstantego, Józefa i innych, było ich bowiem siedmiu braci, lecz wcale nie „śpiących“ umysłem i sercem. Podkomorzy oprócz Bratałowa, gdzie z rodziną mieszkał, oprócz tam blizkiej wsi Chyżyniec i jednej na Ukrainie, miał za Cudnowem lasem otoczona wieś Dryhłów, graniczącą z dobrami pana Łyszkiewicza, który pod Warszawą mieszkał. Proces, wynikły z sąsiedztwa o miedzę pomiędzy nimi, nie był

wielkiej wagi, ale dziwny co do roszczeń pana Łyszewicza, powoda w tej sprawie. Rządca dóbr jego, aciekły mazur, pan Czochron, był wrzódny u mnie oświadczeniem, że ze strony swojej nie sprowadzi rugiego urzędnika, lecz poprzestanie na moim wyoku. Nim opiszę, o co był proces, wspomnę o moim im kłopocie. Zjazd mój agitował się w lesie, przy łące nad rzeczką, w chacie mielnika. Strony nie miały patronów do wyjaśnienia interesu. Stawiły się *ersonaliter* z dokumentami pod pachą. W chacie zastaliśmy przygotowany stół pośrodku i jedno tylko krzesło, z folwarku podkomorzego przywiesione, była też i nieruchoma ława pod ścianą. Usiałem na jedynem krześle, aby w zwykłej formie mój akt zapisać. Po przeczytaniu na głos komparycyi, dym wezwał strony do stawienia się i wniesienia prawy, zerwał się pan Czochron, jako plenipotent strony powodowej. Jeszcze właściwą podtrzymałem owagę, bom wygodnie siedząc, słucał wniesienia tojącego przed stołem pana Czochrona; lecz gdy on kończył, a przyszła kolej na stronę pozwaną i liczący lat 70 podkomorzy wstał z ławy, aby na zarzuty emu czynione odpowiedzieć, zerwałem się z krzesła prosiłem go, aby raczył usiąść; wymagał tego po mnie wzgląd na wiek jego i liczne zasługi w obywatelstwie. Nie przyjął krzesła mego poważny stazec; chciałem stół przysunąć do ławy, gdziebyśmy wszyscy trzej usiedli, nie zezwolił i na to. „Ja — zekł — przed sądem, jestem stroną we wszystkim ówną powodowej i będę, jak tamta, na moich tómarzył się nogach.“ Jakoż nie rozpoczął obrony, aż noje krzesło zasiadłem. Sprawa toczyła się o to: Majatki stron obu należały niegdyś do jednego właściciela, który, obarczywszy cały swój fundusz długami, oddał go pod rozbiór. Z dekretu rozbiorowego wynikło, że wspomniona rzeczka stanowiła granicę pomiędzy dobrami, dla tych obu stron wyznaczoną. Lecz jakby ku zawiązaniu procesu, młynek

przy rzeczce, lubo stojący na gruncie, który się dostał panu Łyszkiewiczowi, nadano z całym z niego dochodem panu Piotrowskiemu; z drugiej zaś strony rzeczki, na gruncie Piotrowskiego, ciągnęły się przepaściste błota. Ztąd jedyny przystęp do młyňa odbywał się gruntami pana Łyszkiewicza. Ten we wzniesieniu przez plenipotentę swego, pana Czochrona, nie zaprzeczał podkomorzemu praw jego do młyňa i korzyści z niego, lecz żądał, aby nikt ze zbożem do mlenia nie podjeżdżał gruntami jego do młyňa, bo podwoy czynią mu znaczną szkodę w sianożęciach, młyn otaczających. Podkomorzy zaś przedstawiał, że skoro mu dano młyn na gruncie sąsiada stojący, to i przystęp do niego nadano, bo inaczej nie miałby przeznaczonego z mlewa dochodu, a ponieważ inny przystęp z położenia gruntów jest niepodobny, przeto wnosił, aby żądanie pana Łyszkiewicza, jako nieprawne, uchylić. Nim przystąpił do dekretu, wdałem się w zgodne stron porozumienie, aby przerywając proces, pan Łyszkiewicz odstąpił, po cenie praktykowanej, choć pół morga ziemi dla swobodnego przystępu do młyńka, a strona pozwana, dla uniknienia koniecznych na proces kosztów, zechce pewnie nabyć ten kawałek ziemi. Podkomorzy odezwał się na to: „Właśnie tę samą myśl, jedynie dla świętego spokoju, przedstawiałem sąsiadowi, lecz pan Czochron tłómaczył mi się, że od pryncypała swego ma stanowcze polecenie, aby częściąmi ziemi za żadne pieniądze nie przedawać.“ A więc niema środka! Trzeba sądowy stanowiąc wyrok. Uznałem naprzód potrzebę stawienia obustronnych świadków dla dośledzenia, od jak dawna trwa podjazd do młyňa gruntami strony powodowej. Ztąd nastąpiło polecenie stronom stawienia ludzi wiekowych i wiary godnych, a przytem konieczne odniesienie się do właściwych tym włościanom parochów, o wysłuchanie od świadków przysięgi, i w porządku spełnienia tych zleceń, sesyę zjazdową do trzech dni

z
T
S
n
J
t
c

zalimitowałem. Na terminie z limity przypadłym, gdy obustronni po dopełnionej przysiędze świadkowie zgodnie zeznali, że od niepamiętnych czasów przystęp do młyna praktykuje się na gruncie pana Łyszkiewicza, a z przejrzenia dekretu rozbiorowego okazało się, że bez żadnych za to wynagrodzeń młyn i cały dochód z niego nadano stronie pozwanej, przeto czynność pana Łyszkiewicza uznałem za nienależytą. I cud nad cudami! Po przeczytaniu mojego dekretu obie strony, nie zastrzegając apelacji, poprzestały na nim raczyły podpisać. Odtąd podkomorzy Piotrowski, z dawnych jurystów zasłużony, możny i powszechnie szanowany obywatel, mocno mnie polubił i był wielkim aż do śmierci moim przyjacielem. Zdarzało mi się i później bywać wzywany w różne powiaty na sądownicze i tradycyjne zjazdy. Dla szczególności jeden z owych tryumfalnie dopełnionych zjazdów tu jeszcze sobie przywidzę. W roku 1813, w jakimś interesie ojca mego będąc w Żytomierzu, wszedłem na sesję sądu głównego. Stary konsuszowy deputat, dziedzic Kisielina w Włodzimierskim powiecie, Wojciech Piotrowski, nienależący do rodziny wyżej przywiedzionych Piotrowskich, ale godny szacunku, jako dobrze mi znajomy, dostrzegłszy mnie na sali, powstał ze swego krzesła, powitał i grzecznie wezwał za kratki. Tam na boku starzec z rozczeniem przemówił: „Panie podsędku! wesprzyj mnie pomocą swoją! Bóg ci to policzy za wielką zasługę! Straciłem wielkiego przyjaciela, Jastrzębskiego, który niedaleko ztąd mieszkał, między Żytomierzem a Berdyczowem. On, będąc wdowcem, zostawił pięć córek na wydaniu w ciężkich kłopotach. Te biedne sieroty, wiedząc o dawnych moich stosunkach z ich ojcem, uciekły się do mnie po ratunek. Stan ich oplakany jest taki: Nieboszczykowi Jastrzębskiemu należało się pięćdziesiąt tysięcy złotych od pana kasztelanica owruckiego, Tomasza Trzeciaka. Ten oddał majątek swój pod rozbiór. Wy-

znaczoną część wsi na satysfakcję owych 50 tysięcy złotych ojciec tych sierot objął w posiadanie, lecz na nieszczęście, obarczył ją potem długami, połowę jej wartości przenoszącemi, i umarł. Kredytorowie jego pozwalają sukcesorów do rozbioru. Idzie teraz w sądzie głównym o naznaczenie urzędnika z jakiego bądź powiatu, któryby, przez litość nad sierotami, bezinteresownie tego rozbioru dopełnił. Zmituj się nad nimi, zacny podsędku dobrodzieju! Dozwól, abyśmy postanowieniem tu naszym ciebie na to mianowali.“ Bardzo chętnie spełnię to żądanie pana, chciałbym tylko wiedzieć, kiedy na ten zjazd rozbiorowy mam się stawić, aby uprzętnąć przeszkody z urzędu, jakie zająć mogą. „O bardzo ci wdzięczny jestem! Jeśli można będzie, proszę, aby termin zjazdu pańskiego był za trzy tygodnie, to jest na dzień pierwszy sierpnia. Uprosiłem już do tego interesu od masy poczciwego adwokata, znanego ci pewnie pana Klembowskiego. On będzie tu czekał na przybycie twoje, abyście panowie razem tam jechali.“

Jak 'czcigodny deputat zamierzył, tak wszystko łatwo dało się dopełnić. Z młodym, wesołym, zawsze uśmiechniętym panem Klembowskim, który pomiędzy żytomierskimi adwokatami wyróżniał się bardzo niskim wzrostem, powitaliśmy w oznaczonym terminie pięć panien Jastrzębskich. Te sieroty nie miały przy sobie nikogo z rodziny, ktoby ich powagą wieku osłaniał i jaką bądź radą zasilal. Najstarsza z nich mogła mieć... 24-y lata, nie więcej, a najmłodsza około 16-u. Zastaliśmy tam oczekujących nas kilkunastu wierzycieli rozmaitego rodzaju i wyznania, których widok okropnie ciężył sierotom i widocznie je zaszępial. Lecz dowcipny kawaler Klembowski, jako obrońca masy, wziął się natchnąć je otuchą i wywołać uśmiech na ich twarzach, w czem mu się dość powodziło, a ztąd wnosić wypada, że młodą kobietę mógł zająć. Przecież, lubo później był nawet z obioru sędzią ziemskim powiatu zaslawskiego, kawalerem

umarł. Zebrani kredytorowie grzecznie oświadczyli mi ufność swoją, zawiadamiając, że nie będą mieć urzędnika ze swojej strony. Kierował tam nimi jeden z nich stary, zupełnie olysiały jurysta w błękitnym kontuszu z czarnym kołnierzem, czyli w mundurze z czasów Rzeczypospolitej województwa Kijowskiego, mieszkaniec Berdyczowa pan de Oczko, który pomiędzy nimi największą miał należność, dziesięć tysięcy złotych. Ogół zaś długów wynosił 30 tysięcy; zostawało przeto z całej masy dla biedaczek sierot trzy tysiące rubli srebrnych w ziemi. Ale z jaką troskliwością codziennie powtarzaną badały mnie i Klembowskiego, czemu by godnie uraczyć mogły dostojnego we mnie urzędnika! Jak wyborną miewałem kawę z ciasteczkami! Jak coraz nowe podawano na obiad i wieszczę przysmaków! Świadczyć się Bogiem, że ciężyła mi na sumieniu ta ich wysiłona nad stan uprzejmość. W ciągu dwóch tygodni, przy wszelkich wygodach, opływając jak pączek w maśle, dopełniłem całego rozbioru, na którym zgodnie wszyscy poprzestali. Po ogłoszeniu nad wieczorem mego dekretu, gdy nazajutrz to jest 15 sierpnia, przypadało święto Wniebowzięcia N. Panny, zostawiłem Klembowskiego, który miał odjechać do Żytomierza, a sam rano śpieszyłem na nabożeństwo do Berdyczowa. Pan de-Oczko asystował mi do powozu, gdzie zaledwie usiadłem, on przemówił: „Proszę pana podsędka Dobrodzieja, aby na pamiątkę raczył przyjąć ode mnie tę tabakierkę, lubo pospolitą — i potrząś nią tak silnie, że mi się dał słyszeć brzęk dukatów. — Ja bez tego upewniam, że nie zapomnę o panu; a proszę przebaczyć, że ofiary jego nie przyjmuję, bo taki nie zażywam. Starzec, otwierając tabakierkę, atkwił we mnie oczy: — „Taka tabaka nie zakręci panu w nosie! Bardzo proszę!“ Ujrawszy tam kilkanaście dukatów, na które kredytorowie złożyć się mogli, powiedziałem mu: — Tej tabaki nigdy także nie zażywam, tylko z własnego worka. Ruszaj! — zawo-

łałem na furmana, a osłupiały de-Oczko wyrzekł: „Dziwny z pana człowiek“ i z otwartą w rękę pozostał tabakierą. Podróż niedaleką; przed południem stanąłem w Berdyczowie i zostawiwszy na stacyi powóz, udałem się do kościoła księży Karmelitów. Ale łotr ze mnie! Zapomniałem wówczas, co dobry ojciec mawiał: — jak ty dla Boga, tak będzie Bóg dla ciebie! Nie wszedłem do kościoła, bo przed murami klasztoru dostrzegłem znaną mi karetę podkomorzyny Zaleskiej. A gdy zapytany jej furman powiedział mi, że ona już po nabożeństwie jest w refektarzu na śniadaniu i wskazała boczne drzwi do klasztoru, ja w obawie, aby wnet nie odjechała, tam się udałem, jakby do mojego ołtarza. Skoro wszedłem do pierwszego pokoju, robaczek w drugim wnet zerwał się od stołu, aby zobaczyć, kto wchodzi, i spotkały się oczy nasze, i nie wiem czemu, cała się wstrzęsła, jakby przestraszona, a potem silnie spłonęła. Po uprzejmem powitaniu dano mi miejsce u stołu wprost przeciw jej twarzy, i modliłem się do mego anioła utkwionemi oczami. Na badania podkomorzyny, z kądem tam przybyłem, opowiedziałem jej dwutygodniową u pięciu panien Jastrzębskich zabawę nad rozbiorem ich mająteczku. Los tych sierot mocno zajął wszystkich, a najwidoczniej Józję sierotę. Zapytała staruszka, czy te panny znane mi były wprzód? Wypadło nietylko objawić, że nawet o nich nie słyszał, ale dodać jeszcze, na czyje wstawienie się dopełniałem tego rozbioru. — „Bóg ci to nagrodi — rzekła — żeś zlitował się nad sierotami“. — Dziś już mam tę nagrodę — odpowiedziałem — w niespodzianem tu zjechaniu się z paniami! — „Jacyż tam byli kredytorowie? Czy nie zechcą rozebrać pomiędzy sobą tych biednych panien?“ — Przedstawiłem najmniej podobieństwa po temu, a gdym prawił o panu de-Oczko, łysym jak kolano, i o jego tabakierce, i jak, odjeżdżając, zostawiłem go w osłupieniu z tabakierą otwartą w rękę, to cała scena mocno je

uśmiezyła. O! głupi, głupi byłem! Należało zupełnie o tem zamilczeć! Miłość to własna podszeptła mi to nikczemne samolubstwo, bo jeden Bóg tylko ma wiedzieć o chwalebny czynie. Może ktośby powiedział na tę sumienną uwagę, że już zdzieciniał; mniejsza o to, nie zmienię zdania mojego.

Co do rozmaitych kondescencji, spełnianych przezemnie, porównywałem nieraz położenie zjazdowego urzędnika z prezesem sądu głównego, pomny na moje dwuletnie atentowanie u krtek tego sądu, i zawszem uznawał, że łatwiej jest panu prezesowi w rzeczy rozjaśnionej dekretem sądu ziemskiego, a czasem i zjazdowego, i obustronnem wniesieniem we dwóch sądach adwokatów, przy naradzeniu się z deputatami sprostować mylną decyzję niższej instancyi, niż na zjeździe, w zawiązku procesu, same-mu, bez narady z nikim, trafnie obmyślić stanowczość i obie strony o swej nieomyślności przekonać. I dlatego nazwałem cudem poprzestanie na moim dekrete ob u stron, zażarcie wojujących, w małym wyżej opisanym procesie o wytłaczanie sianozęci przy młynku.

Oprócz spraw cywilnych, dołączono ukazem obowiązek dla sądu ziemskiego, aby sądził zdarzające się w powiecie sprawy kryminalne, jakie, za czasów Rzeczypospolitej, należały do sądów grodzkich, gdzie prezydował starosta grodowy lub jego zastępca. Takie sprawy, niecierpiące zwłoki, wymagały kolejnej członków sądowych bytności w mieście powiatowem. Jeden z nas po przejrzeniu śledztwa, dopełnionego przez sąd *niżny*, i po badaniu stawionego naocznie więźnia i świadków, stanowił opinię i przedstawiał ją sądowi głównemu 1-go departamentu. Tam opinia mogła być zmieniona, lub potwierdzoną; decyzya tego departamentu miała moc dekretu, wyjąwszy tylko sprawy, z których wynikało odjęcie komuś szlachectwa; takie bowiem z Żytomierza przed-

stawiane były po ostateczne postanowienie do senatu Nadto, do członków sądu ziemskiego należała rewizya kasy powiatowej, czyli *kaznaczejstwa*, a to dnia pierwszego każdego miesiąca, równie jak rewizya magazynu prowiantowego, który był wówczas o cztery mile od Zviahla, w miasteczku Korcu, w murach klasztoru księży Franciszkanów, którzy niekiedy, przez grzeczność, zapraszali mnie na obiad. W magazynie, przy mojej rewizyi, dostrzegałem widoczną kradzież pana *smotrytela*, bo gdy zdarzało się, wyręczając którego z kolegów, i w następnym zjechać miesiącu, pan smotrytel, w przygotowanym już raporcie, zamieszczał też samą, co wprzód, ilość myszojadów, i pokazywał je w kącie magazynu, jako niby poniesioną w ciągu miesiąca szkodę. Uśmiechem tylko zbywałem te fałsze. Smotrytel był Rosyanin w jakimś stopniu dymisjonowany. Podobne usterki dały mi się dostrzegać i w kaznaczejstwie, gdzie kaznaczejem był także Rosyanin. Zwykle wszystkie pieniądze liczyłem tak w monecie, jak i w owoczesnych asygnatach. Raz dostrzegłem, że braknie do raportu, jaki on przedstawił, rubli 25. Nie dowierzał mojej rachubie, liczył przy mnie owe asygnaty, a przekonawszy się, że nie popełnił omyłki, wyjął z kieszeni pugilares i dodał rs. 25. Pomnieć potrzeba, że kaznaczej, zapisując w swoją księgę wszelki w asygnatach przychód, każdej z osobna dodaje numer. Te 25 rs., z kieszeni wyjęte, nie należą do numeracyi w księdze zapisanej, zatem zdanie rachunku nie było rzetelne. Niech Bóg ich sądzi!

Byłem wówczas w samym kwiecie młodości, a przeto dziś nie dziwi mnie, że owe ciągłe z urzędowania nie przeszkadzały mi korzystać z wieści o jakim bądź niedalekim balu, zwłaszcza, jeśli spodziewałem się zastać panią mego serca. Jakoż co roku w jesieni, na imieniny gubernatora Komburleja, ściągała mnie jedynie myśl o niej. Pamiętne mi jest

zne tam zgromadzenie 1811 roku, na które przy-
 1) i mój ojciec w towarzystwie prezesa Dąbrowskie-
 2), zachęcony przez niego, a obadwa kontuszowi.
 3) rachodził się tam na sali korpusny generał, ciemną
 4) rarzy, z orlim nosem, przy wielkiej wstędze naj-
 5) wyższego orderu Ś-go Jerzego, Bagration, z bardzo
 6) znym sztabem, gdzie co do gości cywilnych oczy
 7) wszystkich były zwrócone na powabną panią Na-
 8) ryzkinową, ztąd mianowicie, że nie było nam tajem-
 9) nicą oczarowanie jej wdziękami najwyższej w kraju
 10) 1) tęgi. Z domu Czwerteyńska, była córką owego
 11) 2) siewca, który w Warszawie 1794 roku uległ sromom
 12) 3) karze, wymierzonej, jak na Ankwiczu, wyrokiem
 13) 4) ybunału rewolucyjnego. Pani Naryszkinowa, mając
 14) 5) użyłą znajomość z panią Ilińską, w dziełwiczem osie-
 15) 6) czeniu bawiła przy niej pod koniec panowania Ka-
 16) 7) rzyzny II, kiedy sam Iliński był tylko kamergerem
 17) 8) woru, mianowany przez cesarżową, gdy jako pierwszy
 18) 9) po zaborze kraju marszałek woliński gubernialny,
 19) 10) 1) 2) 3) 4) 5) 6) 7) 8) 9) 10) 11) 12) 13) 14) 15) 16) 17) 18) 19) 20) 21) 22) 23) 24) 25) 26) 27) 28) 29) 30) 31) 32) 33) 34) 35) 36) 37) 38) 39) 40) 41) 42) 43) 44) 45) 46) 47) 48) 49) 50) 51) 52) 53) 54) 55) 56) 57) 58) 59) 60) 61) 62) 63) 64) 65) 66) 67) 68) 69) 70) 71) 72) 73) 74) 75) 76) 77) 78) 79) 80) 81) 82) 83) 84) 85) 86) 87) 88) 89) 90) 91) 92) 93) 94) 95) 96) 97) 98) 99) 100) 101) 102) 103) 104) 105) 106) 107) 108) 109) 110) 111) 112) 113) 114) 115) 116) 117) 118) 119) 120) 121) 122) 123) 124) 125) 126) 127) 128) 129) 130) 131) 132) 133) 134) 135) 136) 137) 138) 139) 140) 141) 142) 143) 144) 145) 146) 147) 148) 149) 150) 151) 152) 153) 154) 155) 156) 157) 158) 159) 160) 161) 162) 163) 164) 165) 166) 167) 168) 169) 170) 171) 172) 173) 174) 175) 176) 177) 178) 179) 180) 181) 182) 183) 184) 185) 186) 187) 188) 189) 190) 191) 192) 193) 194) 195) 196) 197) 198) 199) 200) 201) 202) 203) 204) 205) 206) 207) 208) 209) 210) 211) 212) 213) 214) 215) 216) 217) 218) 219) 220) 221) 222) 223) 224) 225) 226) 227) 228) 229) 230) 231) 232) 233) 234) 235) 236) 237) 238) 239) 240) 241) 242) 243) 244) 245) 246) 247) 248) 249) 250) 251) 252) 253) 254) 255) 256) 257) 258) 259) 260) 261) 262) 263) 264) 265) 266) 267) 268) 269) 270) 271) 272) 273) 274) 275) 276) 277) 278) 279) 280) 281) 282) 283) 284) 285) 286) 287) 288) 289) 290) 291) 292) 293) 294) 295) 296) 297) 298) 299) 300) 301) 302) 303) 304) 305) 306) 307) 308) 309) 310) 311) 312) 313) 314) 315) 316) 317) 318) 319) 320) 321) 322) 323) 324) 325) 326) 327) 328) 329) 330) 331) 332) 333) 334) 335) 336) 337) 338) 339) 340) 341) 342) 343) 344) 345) 346) 347) 348) 349) 350) 351) 352) 353) 354) 355) 356) 357) 358) 359) 360) 361) 362) 363) 364) 365) 366) 367) 368) 369) 370) 371) 372) 373) 374) 375) 376) 377) 378) 379) 380) 381) 382) 383) 384) 385) 386) 387) 388) 389) 390) 391) 392) 393) 394) 395) 396) 397) 398) 399) 400) 401) 402) 403) 404) 405) 406) 407) 408) 409) 410) 411) 412) 413) 414) 415) 416) 417) 418) 419) 420) 421) 422) 423) 424) 425) 426) 427) 428) 429) 430) 431) 432) 433) 434) 435) 436) 437) 438) 439) 440) 441) 442) 443) 444) 445) 446) 447) 448) 449) 450) 451) 452) 453) 454) 455) 456) 457) 458) 459) 460) 461) 462) 463) 464) 465) 466) 467) 468) 469) 470) 471) 472) 473) 474) 475) 476) 477) 478) 479) 480) 481) 482) 483) 484) 485) 486) 487) 488) 489) 490) 491) 492) 493) 494) 495) 496) 497) 498) 499) 500) 501) 502) 503) 504) 505) 506) 507) 508) 509) 510) 511) 512) 513) 514) 515) 516) 517) 518) 519) 520) 521) 522) 523) 524) 525) 526) 527) 528) 529) 530) 531) 532) 533) 534) 535) 536) 537) 538) 539) 540) 541) 542) 543) 544) 545) 546) 547) 548) 549) 550) 551) 552) 553) 554) 555) 556) 557) 558) 559) 560) 561) 562) 563) 564) 565) 566) 567) 568) 569) 570) 571) 572) 573) 574) 575) 576) 577) 578) 579) 580) 581) 582) 583) 584) 585) 586) 587) 588) 589) 590) 591) 592) 593) 594) 595) 596) 597) 598) 599) 600) 601) 602) 603) 604) 605) 606) 607) 608) 609) 610) 611) 612) 613) 614) 615) 616) 617) 618) 619) 620) 621) 622) 623) 624) 625) 626) 627) 628) 629) 630) 631) 632) 633) 634) 635) 636) 637) 638) 639) 640) 641) 642) 643) 644) 645) 646) 647) 648) 649) 650) 651) 652) 653) 654) 655) 656) 657) 658) 659) 660) 661) 662) 663) 664) 665) 666) 667) 668) 669) 670) 671) 672) 673) 674) 675) 676) 677) 678) 679) 680) 681) 682) 683) 684) 685) 686) 687) 688) 689) 690) 691) 692) 693) 694) 695) 696) 697) 698) 699) 700) 701) 702) 703) 704) 705) 706) 707) 708) 709) 710) 711) 712) 713) 714) 715) 716) 717) 718) 719) 720) 721) 722) 723) 724) 725) 726) 727) 728) 729) 730) 731) 732) 733) 734) 735) 736) 737) 738) 739) 740) 741) 742) 743) 744) 745) 746) 747) 748) 749) 750) 751) 752) 753) 754) 755) 756) 757) 758) 759) 760) 761) 762) 763) 764) 765) 766) 767) 768) 769) 770) 771) 772) 773) 774) 775) 776) 777) 778) 779) 780) 781) 782) 783) 784) 785) 786) 787) 788) 789) 790) 791) 792) 793) 794) 795) 796) 797) 798) 799) 800) 801) 802) 803) 804) 805) 806) 807) 808) 809) 810) 811) 812) 813) 814) 815) 816) 817) 818) 819) 820) 821) 822) 823) 824) 825) 826) 827) 828) 829) 830) 831) 832) 833) 834) 835) 836) 837) 838) 839) 840) 841) 842) 843) 844) 845) 846) 847) 848) 849) 850) 851) 852) 853) 854) 855) 856) 857) 858) 859) 860) 861) 862) 863) 864) 865) 866) 867) 868) 869) 870) 871) 872) 873) 874) 875) 876) 877) 878) 879) 880) 881) 882) 883) 884) 885) 886) 887) 888) 889) 890) 891) 892) 893) 894) 895) 896) 897) 898) 899) 900) 901) 902) 903) 904) 905) 906) 907) 908) 909) 910) 911) 912) 913) 914) 915) 916) 917) 918) 919) 920) 921) 922) 923) 924) 925) 926) 927) 928) 929) 930) 931) 932) 933) 934) 935) 936) 937) 938) 939) 940) 941) 942) 943) 944) 945) 946) 947) 948) 949) 950) 951) 952) 953) 954) 955) 956) 957) 958) 959) 960) 961) 962) 963) 964) 965) 966) 967) 968) 969) 970) 971) 972) 973) 974) 975) 976) 977) 978) 979) 980) 981) 982) 983) 984) 985) 986) 987) 988) 989) 990) 991) 992) 993) 994) 995) 996) 997) 998) 999) 1000) 1001) 1002) 1003) 1004) 1005) 1006) 1007) 1008) 1009) 1010) 1011) 1012) 1013) 1014) 1015) 1016) 1017) 1018) 1019) 1020) 1021) 1022) 1023) 1024) 1025) 1026) 1027) 1028) 1029) 1030) 1031) 1032) 1033) 1034) 1035) 1036) 1037) 1038) 1039) 1040) 1041) 1042) 1043) 1044) 1045) 1046) 1047) 1048) 1049) 1050) 1051) 1052) 1053) 1054) 1055) 1056) 1057) 1058) 1059) 1060) 1061) 1062) 1063) 1064) 1065) 1066) 1067) 1068) 1069) 1070) 1071) 1072) 1073) 1074) 1075) 1076) 1077) 1078) 1079) 1080) 1081) 1082) 1083) 1084) 1085) 1086) 1087) 1088) 1089) 1090) 1091) 1092) 1093) 1094) 1095) 1096) 1097) 1098) 1099) 1100) 1101) 1102) 1103) 1104) 1105) 1106) 1107) 1108) 1109) 1110) 1111) 1112) 1113) 1114) 1115) 1116) 1117) 1118) 1119) 1120) 1121) 1122) 1123) 1124) 1125) 1126) 1127) 1128) 1129) 1130) 1131) 1132) 1133) 1134) 1135) 1136) 1137) 1138) 1139) 1140) 1141) 1142) 1143) 1144) 1145) 1146) 1147) 1148) 1149) 1150) 1151) 1152) 1153) 1154) 1155) 1156) 1157) 1158) 1159) 1160) 1161) 1162) 1163) 1164) 1165) 1166) 1167) 1168) 1169) 1170) 1171) 1172) 1173) 1174) 1175) 1176) 1177) 1178) 1179) 1180) 1181) 1182) 1183) 1184) 1185) 1186) 1187) 1188) 1189) 1190) 1191) 1192) 1193) 1194) 1195) 1196) 1197) 1198) 1199) 1200) 1201) 1202) 1203) 1204) 1205) 1206) 1207) 1208) 1209) 1210) 1211) 1212) 1213) 1214) 1215) 1216) 1217) 1218) 1219) 1220) 1221) 1222) 1223) 1224) 1225) 1226) 1227) 1228) 1229) 1230) 1231) 1232) 1233) 1234) 1235) 1236) 1237) 1238) 1239) 1240) 1241) 1242) 1243) 1244) 1245) 1246) 1247) 1248) 1249) 1250) 1251) 1252) 1253) 1254) 1255) 1256) 1257) 1258) 1259) 1260) 1261) 1262) 1263) 1264) 1265) 1266) 1267) 1268) 1269) 1270) 1271) 1272) 1273) 1274) 1275) 1276) 1277) 1278) 1279) 1280) 1281) 1282) 1283) 1284) 1285) 1286) 1287) 1288) 1289) 1290) 1291) 1292) 1293) 1294) 1295) 1296) 1297) 1298) 1299) 1300) 1301) 1302) 1303) 1304) 1305) 1306) 1307) 1308) 1309) 1310) 1311) 1312) 1313) 1314) 1315) 1316) 1317) 1318) 1319) 1320) 1321) 1322) 1323) 1324) 1325) 1326) 1327) 1328) 1329) 1330) 1331) 1332) 1333) 1334) 1335) 1336) 1337) 1338) 1339) 1340) 1341) 1342) 1343) 1344) 1345) 1346) 1347) 1348) 1349) 1350) 1351) 1352) 1353) 1354) 1355) 1356) 1357) 1358) 1359) 1360) 1361) 1362) 1363) 1364) 1365) 1366) 1367) 1368) 1369) 1370) 1371) 1372) 1373) 1374) 1375) 1376) 1377) 1378) 1379) 1380) 1381) 1382) 1383) 1384) 1385) 1386) 1387) 1388) 1389) 1390) 1391) 1392) 1393) 1394) 1395) 1396) 1397) 1398) 1399) 1400) 1401) 1402) 1403) 1404) 1405) 1406) 1407) 1408) 1409) 1410) 1411) 1412) 1413) 1414) 1415) 1416) 1417) 1418) 1419) 1420) 1421) 1422) 1423) 1424) 1425) 1426) 1427) 1428) 1429) 1430) 1431) 1432) 1433) 1434) 1435) 1436) 1437) 1438) 1439) 1440) 1441) 1442) 1443) 1444) 1445) 1446) 1447) 1448) 1449) 1450) 1451) 1452) 1453) 1454) 1455) 1456) 1457) 1458) 1459) 1460) 1461) 1462) 1463) 1464) 1465) 1466) 1467) 1468) 1469) 1470) 1471) 1472) 1473) 1474) 1475) 1476) 1477) 1478) 1479) 1480) 1481) 1482) 1483) 1484) 1485) 1486) 1487) 1488) 1489) 1490) 1491) 1492) 1493) 1494) 1495) 1496) 1497) 1498) 1499) 1500) 1501) 1502) 1503) 1504) 1505) 1506) 1507) 1508) 1509) 1510) 1511) 1512) 1513) 1514) 1515) 1516) 1517) 1518) 1519) 1520) 1521) 1522) 1523) 1524) 1525) 1526) 1527) 1528) 1529) 1530) 1531) 1532) 1533) 1534) 1535) 1536) 1537) 1538) 1539) 1540) 1541) 1542) 1543) 1544) 1545) 1546) 1547) 1548) 1549) 1550) 1551) 1552) 1553) 1554) 1555) 1556) 1557) 1558) 1559) 1560) 1561) 1562) 1563) 1564) 1565) 1566) 1567) 1568) 1569) 1570) 1571) 1572) 1573) 1574) 1575) 1576) 1577) 1578) 1579) 1580) 1581) 1582) 1583) 1584) 1585) 1586) 1587) 1588) 1589) 1590) 1591) 1592) 1593) 1594) 1595) 1596) 1597) 1598) 1599) 1600) 1601) 1602) 1603) 1604) 1605) 1606) 1607) 1608) 1609) 1610) 1611) 1612) 1613) 1614) 1615) 1616) 1617) 1618) 1619) 1620) 1621) 1622) 1623) 1624) 1625) 1626) 1627) 1628) 1629) 1630) 1631) 1632) 1633) 1634) 1635) 1636) 1637) 1638) 1639) 1640) 1641) 1642) 1643) 1644) 1645) 1646) 1647) 1648) 1649) 1650) 1651) 1652) 1653) 1654) 1655) 1656) 1657) 1658) 1659) 1660) 1661) 1662) 1663) 1664) 1665) 1666) 1667) 1668) 1669) 1670) 1671) 1672) 1673) 1674) 1675) 1676) 1677) 1678) 1679) 1680) 1681) 1682) 1683) 1684) 1685) 1686) 1687) 1688) 1689) 1690) 1691) 1692) 1693) 1694) 1695) 1696) 1697) 1698) 1699) 1700) 1701) 1702) 1703) 1704) 1705) 1706) 1707) 1708) 1709) 1710) 1711) 1712) 1713) 1714) 1715) 1716) 1717) 1718) 1719) 1720) 1721) 1722) 1723) 1724) 1725) 1726) 1727) 1728) 1729) 1730) 1731) 1732) 1733) 1734) 1735) 1736) 1737) 1738) 1739) 1740) 1741) 1742) 1743) 1744) 1745) 1746) 1747) 1748) 1749) 1750) 1751) 1752) 1753) 1754) 1755) 1756) 1757) 1758) 1759) 1760) 1761) 1762) 1763) 1764) 1765) 1766) 1767) 1768) 1769) 1770) 1771) 1772) 1773) 1774) 1775) 1776) 1777) 1778) 1779) 1780) 1781) 1782) 1783) 1784) 1785) 1786) 1787) 1788) 1789) 1790) 1791) 1792) 1793) 1794) 1795) 1796) 1797) 1798) 1799) 1800) 1801) 1802) 1803) 1804) 1805) 1806) 1807) 1808) 1809) 1810) 1811) 1812) 1813) 1814) 1815) 1816) 1817) 1818) 1819) 1820) 1821) 1822) 1823) 1824) 1825) 1826) 1827) 1828) 1829) 1830) 1831) 1832) 1833) 1834) 1835) 1836) 1837) 1838) 1839) 1840) 1841) 1842) 1843) 1844) 1845) 1846) 1847) 1848) 1849) 1850) 1851) 1852) 1853) 1854) 1855) 1856) 1857) 1858) 1859) 1860) 1861) 1862) 1863) 1864) 1865) 1866) 1867) 1868) 1869) 1870) 1871) 1872) 1873) 1874) 1875) 1876) 1877) 1878) 1879) 1880) 1881) 1882) 1883) 1884) 1885) 1886) 1887) 1888) 1889) 1890) 1891) 1892) 1893) 1894) 1895) 1896) 1897) 1898) 1899) 1900) 1901) 1902) 1903) 1904) 1905) 1906) 1907) 1908) 1909) 1910) 1911) 1912) 1913) 1914) 1915) 1916) 1917) 1918) 1919) 1920) 1921) 1922) 1923) 1924) 1925) 1926) 1927) 1928) 1929) 1930) 1931) 1932) 1933) 1934) 1935) 1936) 1937) 1938) 1939) 1940) 1941) 1942) 1943) 1944) 1945) 1946) 1947) 1948) 1949) 1950) 1951) 1952) 1953) 1954) 1955) 1956) 1957) 1958) 1959) 1960) 1961) 1962) 1963) 1964) 1965) 1966) 1967) 1968) 1969) 1970) 1971) 1972) 1973) 1974) 1975) 1976) 1977) 1978) 1979) 1980) 1981) 1982) 1983) 1984) 1985) 1986) 1987) 1988) 1989) 1990) 1991) 1992) 1993) 1994) 1995) 1996) 1997) 1998) 1999) 2000) 2001) 2002) 2003) 2004) 2005) 2006) 2007) 2008) 2009) 2010) 2011) 2012) 2013) 2014) 2015) 2016) 2017) 2018) 2019) 2020) 2021) 2022) 2023) 2024) 2025) 2026) 2027) 2028) 2029) 2030) 2031) 2032) 2033) 2034) 2035) 2036) 2037) 2038) 2039) 2040) 2041) 2042) 2043) 2044) 2045) 2046) 2047) 2048) 2049) 2050) 2051) 2052) 2053) 2054) 2055) 2056) 2057) 2058) 2059) 2060) 2061) 2062) 2063) 2064) 2065) 2066) 2067) 2068) 2069) 2070) 2071) 2072) 2073) 2074) 2075) 2076) 2077) 2078) 2079) 2080) 2081) 2082) 2083) 2084) 2085) 2086) 2087) 2088) 2089) 2090) 2091) 2092) 2093) 2094) 2095) 2096) 2097) 2098) 2099) 2100) 2101) 2102) 2103) 2104) 2105) 2106) 2107) 2108) 2109) 2110) 2111) 2112) 2113) 2114) 2115) 2116) 2117) 2118) 2119) 2120) 2121) 2122) 2123) 2124) 2125) 2126) 2127) 2128) 2129) 2130) 2131) 2132) 2133) 2134) 2135) 2136) 2137) 2138) 2139) 2140) 2141) 2142) 2143) 2144) 2145) 2146) 2147) 2148) 2149) 2150) 2151) 2152) 2153) 2154) 2155) 2

siałem odbyć tę pańszczyznę. A więc i Komb dostrzegał moje szaty dla Józi.

W 1813 roku na wiosnę byłem po raz pierwszy w powiecie łuckim we wsi Hołuzi, która od 1687, od czasów prapradziada mego, Jana podsto trębrowskiego, chorążego pancernego, który pierw z imienia zamieszkał tam na Wołyniu, dotąd praw spadku dziedzictwem jest w rodzie naszym. Oj mnie tam był wysłał dla obrachowania się z p sorem, który Hołuzyę posiadał trzy lata za areal wnym kontraktem, a był nim Litwin Rzewuski. I łem wskazaną sobie marszrutę na Krzewicze, g mieszkali nieznajomi jeszcze dla mnie państwo struscy, krewni nasi. Postruskiego nie zastałem w mu. Ciotka, dla wielkiego przywiązania ku m rodzicom, rada była z poznania się ze mną. P dwa dni zatrzymała mnie u siebie. Jedyna jej rzeczka, Bogunia, dziecię cudnie miłe, nie więcej niż lat pięć. Guwernantka przy niej była przyzw i utalentowana Szwajcarka, panna Genie. Dobre c cię nadzwyczaj było pieszczone przez matkę. bacząc na ciągłą jej troskę, aby wszelkim zac niom dziecka dogodzić, widząc to, że po pacie nie da zasnąć dziewczęciu, aż położone obok w łóżeczku okarmi konfiturami, ośmieliłem się po dzieć: — Przebacz, kochana ciociu, że ważę się bić tu moją uwagę. Takie pieszczoty, jakimi c swą otaczasz, miłe zapewne są dla niej na teraz; zdaje się, że na później zgubnemi będą. Wyma ich będzie i od męża, jako od lat dziecinnych os jona z niemi, a nie zdarzało mi się widzieć, aby tak pieścił żonę. — „Dlatego też właśnie teraz p najmniej należy dać jej poznać to silne moje ucz o jakim wy mężczyznie po ślubie zapominacie. O tego, ja spełniam przekazane od natury powoł matki. Może nieraz widziałeś, jak małe ptaszę wa w gniazdeczku nad piskletami. I moja Bog pisklę jeszcze, piórka jej nie odrosły tak, aby

atki obejść się mogła. Rozwój władzy w ptaszcęciu stę prędszy, ale za to krótsze jego życie; w miarę ęć dłuższego u nas życia i niemowlęstwo nasze ła dłużej. Nakoniec, nie wiadomo ci, że ja z po- żenia mego obowiązana się czuję do tych pieaszczot. obry Wicuś, mój mąż, kocha ją jak życie, ale tak iwnego jest charakteru, że nigdy nie da jej tego znać, a za najmniejsze jakieś jej uchybienie naj- rowiej ją gromi. Ona biedaczka drży na jego spoj- enie. Ja więc muszę czynnie pośredniczyć dla zła- dzenia tej surowości. Taką między niemi gram lę matki. Oto niedawno mieliśmy u siebie kilka ób na obiedzie. Bogunia u stołu, chcąc nalać so- e wody ze swej karafeczki, trąciła nią o kieliszek zy niej stojący, i roztknęła go. Ojciec ani się ode- wał, tylko spojrział na nią. Ja dostrzegłszy, co się nią dzieje, że zbladła, zadrżała i że ledwie na ześle utrzymać się może, porywam swój cały kie- zek, i, śmiejąc się, mówię do niej:— to szkło, dzie- ę moje! to szkło. Patrz! byle trącić niem o co twar- go, wnet oto tak rozbija się w kawałki, tu ude- ywszy pięknym kieliszkiem o talerz, roztknęłam go i miazgę. Ojciec był nierad temu, bo zdwoiła się koda, ale moja dziecina, oprzytomniawszy, uśmie- em mi to nagrodziła“.—W tych jej własnych wyra- ch najdokładniej odbija się rys jej duszy. Nazy- ali ją niektórzy egzaltowaną. Ja, pomnąc na do- dy jej później najzyczliwszych stosunków ze mną, ufności we mnie, gdy z córką mieszkała w Krze- ieńcu dla dokończenia jej nauk i talentów, gdy ja, bę- c w komisji edukacyjnej urzędniczej, przez trzy a codziennie prawie bywałam u niej, powiem lko, że jej serce pełne było najszlachetniejszych zuć.

Trzebaż mi coś przypomnieć sobie z mojej ęrszej bytności w Hołuzyi. Wiedziałem od ojca ęgo, że tam mieszkał mój prapradziad, rycerz z cza- w króla Jana-Kazimierza, że znajdował się w po-

tyczce znamienitej pod Cudnowem, a tu ożenił się z wdową po swoim przyjacielu, księciu Stefanie Czwertyńskim, i że ten majątek od roku 1687 bez przerwy pozostaje w naszym imieniu. Już ta jedna okoliczność stanowiła dla mnie Hołuzę, jako przedmiot mocno zajmujący. Ależ smutny jest widok Polesia! Wiekuiste sosny całą sadybę dość wielkiej wsi otaczają. Zostałem dwór blizki upadku. Dziad mój, który umarł 1795 roku, już tam nie mieszkał; przeniósł się był do drugiej o pół mili wioski Wólki-hołuzyjskiej, i tam życie zakończył. Pan posesor Rzewuski, uprzedzony listem mego ojca, że zjadę do niego, oczekiwał mnie niecierpliwie. Przenocowawszy tam, nazajutrz rano śpiesznie wziąłem się do obrachunku. Jakiś niedopłat należał się od dzierżawcy za ostatni rok posesyi. Na to przedstawił on zapomogę daną włościanom, która z obrachunku z nimi, jak poświadczał stary miejscowy gumienny, nie była ani odrobioną, ani zwróconą w pieniądzech. Jakież tam były niedobory w daninach; wszystko to spisywałem przez ciekawość tylko, czy też co zostanie do odebrania, bo w przekonaniu mojem powyższe punkta miały w kontrakcie swoje zastrzeżenia przeciw posesorowi. Nakoniec przedstawił nieurodzaj, jakiego doznał w tym roku ostatnim, z którego robiliśmy ów obrachunek. Słowem, przez wzgląd na klęskę nieurodzaju, jak zacząłem za każdym punktem jego pretensyi odejmować potrosze od sumki niedopłaconej za dzierżawę, pozostało tylko trzysta złotych do odebrania. Tu pan Rzewuski znalazł się tak silnie wymownym, tak do mego odezwał się przekonania, jakby w nim ożył grecki Demostenes. — „Panie! Przysięgam Bogu, że i grosza dać nie mogę, bo nie mam. Zboże wszystko sprzedałem na zaspokojenie długu, chudobkę i konie odesłałem do ojczyznej siedziby w gubernii Mińskiej; pozostała tylko para chabetów, aby się tam dowlec, i kilkanaście złotych na drogę. Ale ponieważ panu podobał się mój oto wiszący

w tej klatce kanarek, który, nie ma co mówić, pięknie śpiewa kuranty, to proszę przyjąć go za te 300 złotych, a mnie racz panie zakwitować, bo co do pieniędzy, nikt dać nie może, kto nie ma". Musiałem przyjąć kanarka, zakwitowałem pana Rzewuskiego, a oddawszy klatkę drucianą z ptaszkiem pod tymczasową straż i opiekę starcowi gumiennemu, odjechałem na dzień jeden o pół mili po najgorszej drodze do Wólki-Hołuzyjskiej, gdzie prawem dożywocia mieszkała macocha mego ojca, z domu Chajęcka, trzecia żona ś. p. mego dziada, przy której mieszkał i jej syn Mateusz, brat z innej matki mojego ojca, o 26 lat młodszy od niego. Powitano mnie jak można najuprzejmiej. Zostałem żyjącą tam jeszcze siostrą mego dziada, panną Judytę, mocno już nachylną wiekiem. Stryj mój, Mateusz, bardzo rad z mego przybycia, przez dwa dni mnie zatrzymał. Wracałem na Hołuzę, aby zabrać kanarka, i z nim, o ile można w najprostszym kierunku, wróciłem do rodziców. Dobry mój ojciec ani zmarszczył czoła, śmiał się tylko z kłopotu, jaki miałem, wioząc mil 30 klatkę z ptaszkiem. Ale po dwóch latach okropny spotkał los kochanego śpiewaka mego, który cały nasz dom ożywiał i zachwycał. Raz, wyjeżdżając z moim ojcem na imieniny do marszałka Jana Wyłężyńskiego, nie poleciłem nikomu pamiętać o nim, bo nazajutrz mieliśmy wrócić. Tymczasem ztamtąd udaliśmy się odwiedzić Budzyńskich w Wygnance; matka z moimi siostrami bez nas bawiła dni kilka u swej siostry w Wyszczukach i za powrotem z naszej podróży, zastałem.. milczącą klatkę! szlachetne ptaszę z głodu zamarło! O! jak silnie wyrzuciłem sobie tę niepamięć o nim! On pierwszy wzburzonym załem po sobie, jakby mnie sposobił do łez o stracie tylu krewnych i przyjaciół! W kilka miesięcy później, nocując w Berdyczowie 1895 roku, rdy rano wyszedłem na podsienie domostwa, dał mi

się słyszeć śpiew kanarka, który nucił tegoż, co ni gdyś mój, kuranta. Wnet posyłam żyda do kupca Szwajcara z prośbą o sprzedanie ptaszka. Za żądane pieniądze zbyć go nie chciał; a ja, wsłuchując się w śpiew jego, poczułem łzy w oczach.

W tymże 1813 roku musiałem odbyć pamiętną mi podróż do Zwiahła ze znaczną sumą pieniędzy w srebrze: dziewięć tysięcy kilkaset rubli. Opiekę szlachecką obrała ojca mego administratorem nad połową majątku senatora hr. Ilińskiego, nad drugą połową, z wymienieniem wiosek, był pan podkomorzyna Izbicki. Senator zawinił rządowi, nie uściwszy się w terminie z dostawy sukna dla armii. Łotry Niemcy na jego w Romanowie fabryce zrobili mu zawód. Spowodowali ogromne koszty na rozmaite machiny z zagranicy sprowadzane i z pieniędzmi, na resztyowych narzędzi przeznaczonych, już nie wrócili. Zatem majątek jego podpadł administracyi. Kłopot ten ciągnął się aż do r. 1819, w którym hr. Iliński sprzedał darowane mu przez Pawła I-go całe starostwo ulanowskie, w cenie po sto dukatów za duszę, za spokojił pretensyę rządową i zwolnił się z pod administracyi. Członek opieki szlacheckiej, który spisywał inwentarze dóbr, niską, jak zwykle, stanowiąc intratę. Ztąd mój ojciec, nie zarządzając gospodarstwem w podanych sobie wioskach, spokojnie spełniał obowiązki administratora; odbierał tylko od komisarza pana hr. biegię łatwo zebraną coroczną intratę inwentarza wskazaną i odsyłał ją do opieki szlacheckiej, która owe pieniądze wyprawiała do stolicy.

Gdy się puścił o mil siedem, po części lasar w tę podróż do Zwiahła, wówczas ruch był wielki po Wołyniu wojsk wracających z pod Moskwy i pierwszym upadku Napoleona I. Pomiędzy regularnymi pułkami snuły się oddziały baszkirów i kirgizów wiary muzułmańskiej. Spotkanie się z nimi w lasach wcale nie było bezpieczne. Dla impozycji przeto wdziałem na siebie mundur, wziąłem do brzo-

kę szpadę i kazalem ucześcić dzwonek do dyszla. Był w tem widoczny pozór urzędnika, jakim istotnie byłem. Tę postawę przybrałem jedynie dla ocalenia od napadu skrzynki z pieniędzmi pod fartuchem bryki, gdzie jakoby wiozłem ważne urzędowe papiery. Ściemniać się zaczęło pod miasteczkiem Rohaczowem, które las wielki otaczał. Postanowiłem tam zanocować. Wjeżdżam na rynek. Mój Kowalski, zajrzawszy do domostwa, gdzie zwykle zajeżdżał, wraca z tem, że tam kwateruje rotmistrz baszkirów. Zwiedził po kolei resztę niewielką domów, bo ich było tylko trzy, czy cztery, i znalazł je zajęte wszystkie tą dżiczą. A więc wysiadam z bryki ukorzyć się przed panem rotmistrzem, aby raczył mnie przyjąć na nocleg. Zastaję go siedzącego za stołem, gdzie stoi miedziana półgarncówka, a przed nimi lampeczki z wiszniakiem. Powitałem go uprzejmie po polsku, bo i dziś po rusku nie umiem; proszę go, aby jako urzędnikowi, jadącemu z ważnymi dokumentami do Zwiahła, pozwolił mi przenocować tu w sieniach. — „Nie — odpowiada — nigdy na to nie pozwolę! urzędowe dokumenta będą pod moją opieką; ja na całą noc wartę moją postawię przy waszej powózce; a wy tu ze mną w izbie nocować macie, ale wprzód wypijcie stakan wiszniaku.“ Mróz przeszedł po mnie! Pomyślałem, że kozak na straży zajrzeć może pod fartuch, gdzie podniesiona i spuszczone skrzynka, wyda brzęk pieniędzy. — Ja nie chcę panu przeszkadzać — rzekłem — ja bardzo rano mam wyjechać, mogę pana obudzić. — Oho! raniej ja, niż wy, już spać nie będę. — I powstawszy z ławki, zawołał na żyda: — *Dawaj tretij stakan* — a mnie bierze za rękę i chce sadowić przy sobie. — Pozwólże pan, abym dał dyspozycję moim ludziom. — Nim bryczka w sień zajechała, poleciłem furmanowi, aby nieodstępnie był przy niej, gdy Kowalski, zniósłszy tłumok, ślać będzie łóżko dla mnie, Kowalskiemu zaś, aby spał w bryce, mając pod nogami skrzynkę. Żadnego wówczas nie pijałem trun-

ku; a tu dla ujęcia sobie pana rotmistrza, musiałem wypić lampeczkę śmierdzącego wódką wiszniaku. Udając mocno zmęczonego podróżą, przeprosiłem rotmistrza, że ból głowy zmusza mnie położyć się, i ni- by śpiący, nie prędko mogłem zasnąć. Ale rotmistrz, szczęściem dla mnie, zapomniał postawić kozaka przy mojej bryce.

Nazajutrz, skoro się ubrałem, Kowalski wniósł mi kawę. Rotmistrz w pół ubrany pyta:—*Czto eto?*— To kawa, panie dobrodzieju, proszę pana.—Kowalski odrzekł:—*Kofe, kofel* panie dobrodzieju!—*Wy Francuz, ili czto? Pijtie so mnoju mołoko.*— Wypij sobie tę kawę, mówię do lokaja, a powiedz żydowi, niech nam da sprążonego mleka i bułek.—Moja powolność ujęła kozaka.

Co do administracji mojego ojca później zagroziła mu najniewinniej odpowiedzialność za kolegę, podkomorzego Izbickiego. Ten w ciągu administracji nad drugą połową dóbr hr. Ilińskiego poddał swój majątek pod rozbiór. Koledzy moi w tajemnicy przedemną, zastraszeni odpowiedzialnością, że źle obranego administratora, jeśliby ten przy upadku swoich tunduszów nie złożył dochodów z powierzonego mu majątku, zmienili swoje poprzednie postanowienie, i chociaż tam były oznaczone wsie, jakie któremu z tych dwóch obywateli były podane, opieka szlachecka poprawiając to, postanowiła, że jeden za drugiego ma odpowiadać. Postanowienie to w czasie naszych sądów było dopiero w projekcie napisane.

Wszedłszy raz do izby sądowej, gdzie zastał samego tylko regenta, poczciwego Żukotyńskiego, który był potem sędzią żytomiarskim, przeglądałem papiery leżące na stole. Przypadkiem wpadł mi do rąk ów projekt przeciw memu ojcu. Zaledwem skończył czytać, nadchodzi sędzia i mój towarzysz, podśedek Jasiennicki. Udało mi się uprosić ich, aby nie robili tak wyraźnej krzywdy niewinnemu ojcu memu. I starzy raczyli usłuchać mej rady, że dość będzie

dla spokojności członków opieki, gdy wydamy odezwę do sądu niższego, aby na majątku pana Izbickiego położono areszt, który go zmusi do zdania rachunku z administracyi, a z przyczyny ogłoszonego rozbioru na tymże jego majątku, abyśmy innego obrali administratora do wiosek, jakie mu były podane. I dobra zawsze harmonia trwała między nami.

W ciągu działań naszych w komplecie, co bywało trzy razy w roku po dwa zwykle tygodnie, sędzia Kozłowski, dziedzic wsi Ferdynandowa, zapraszał nas niekiedy na obiady; ja zaś nie miałem kucharza i żywiłem się z traktierni. Kochany ojciec, oprócz zwykłej pensyi czterdziestu dukatów rocznie, dawał mi odjeżdżającemu na sądy do Zwiahła po kilkadziesiąt rubli srebrnych. Raz dwa zacięte procesy miały się wytoczyć przed naszym sądem. Jeden między braćmi Ignacym i Franciszkiem Łosiami ze wsi Kamienia, spadłej na nich po stryju bezdzietnym, lecz szczęściem oba zapisali się zgodnie na kompromis, obierając nasz komplet sądowy na sumiennych, czyli ostatecznych sędziów; drugi zaś przykry dla nas, bo należący do kryminalnych; proces był taki: Wojciech Świętosławski, z czasów polskich chorąży krzemieniecki, na sejm czteroletni z Wołynia nieszczęsny poseł, w końcu konfederat targowicki, o którym niżej coś powiem, wydał był córkę swoją za Kazimierza Pułaskiego, który był synem generała Antoniego, konfederata barskiego, a w końcu także targowickiego. Pomimo takiego pomiędzy nimi powinowactwa i jedności ducha, Świętosławski i generał Pułaski weszli do sądu naszego z oskarżeniem się wzajemnem o nielegalne noszenie orderu Orła Białego.

Zarzut samozwaństwa stanowi sprawę ważną. Opinia sądu ziemskiego miała przejść, jako w rzeczy kryminalnej, pod ostateczną decyzję do departamentu 1-go. Gdy sadzenie tej sprawy było jeszcze w zawieszaniu, sędzia po sesyi zaprasza nas na obiad. Gdyśmy zasiedli do stołu, gdzie do tej ucztY należa:

znajomy mi pan Lityński, jurysta i dorywczy poeta, którego dwa tomiki wierszy niewartych wspomnienia już nam były znane, wszedł do sędziego obywatel przybyły z powiatu, który, gdy gospodarz dał mu miejsce u stołu, zapytał: — Jak wiele spraw panowie już osądziliście? — Lityński odezwał się: — Krótko panu powiem: Dwa Łosie, Zgodziło się, Targowica jeszcze fica. — Ten koncept rymowany obudził w nas śmiech powszechny. Ale szczęściem dla nas, to ścianie poskromione zostało. Ktoś z obywateli, mających przewagę w powiecie, przedstawił obu stronom, że wynikię z osobistości wzajemne ich zarzuty nietylko krzywdzą ich poważny kontusz, lecz są obelgą naszej przeszłości; że ta sprawa stanie się głośną ku hańbie naszej, a ztąd oni ściagną na siebie obrzydzenie i pogardę współziomków. Na tak trafne uwagi obie strony cofnęły swoje oskarżenia, i rozchodząc się na prawo i lewo, warczały tylko na siebie, jak dwa psy zażarte, którym nie dozwolono zagryźć się na śmierć.

O panu Wojciechu Świętosławskim później slyszalem z ust mego teścia, ś. p. Łukasza, podkomorze-go Łażnińskiego, coś okropnego. Zdarzenie, które nie pojmuje, jak on mógł przeżyć.

W pierwszych latach panowania cesarza Aleksandra I wielki książę Konstanty przejeżdżał się po Wołyniu z powodu przeglądu wojsk tam rozlokowanych, a tutejsi magnaci, dawniejsi dygnitarze Rzeczypospolitej, których to województwo było gniazdem, na wyścigi setowali go świetnymi balami. Mój teść, młody wówczas, bogaty posiadacz klucza Raśnickiego, który nań spadł po stryju bezdzietnym, łowczym w. kor., lubiący zabawy, nie omijał sposobności po temu. Po kilku innych licznych zgromadzeniach był z kolei na balu, danym dla wielkiego księcia przez strażnika koronnego w Zaslawiu, księcia Janusza Sanguszkę. Już sala pełna była gości, kiedy wszedł pan Świętosławski. Po przywitaniu gospodarza prosi,

aby go zaprezentował wielkiemu księciu. Oba ku niemu się zbliżają; następuje prezentacya, po której wielki książę podnosi głowę, przypomina coś sobie i pyta: — Czy nie poseł wołyński na sejm konstytucyjny? — Świętosławski, rad temu wspomnieniu, bo wówczas miał zasługę u dzisiejszego dworu, jakby z chlubą, śmiało odpowiada: — Tak jest. — A wielki książę z uśmiechem głośno się odezwał: — Pocóż pan szukasz mojej znajomości, kiedy ja nie daję pieniędzy, jak niegdyś babka moja, Katarzyna II? — Konfuzya bez ratunku!... Odszedł winowajca i cicho wymknął się z balu.

W 1813 roku niemiłe miałem zajście z deputatem 1-go departamentu, Karolem Pruszyńskim. Był to mężczyzna bardzo przystojny, siłnej budowy, ale nadzwyczaj dumny ze swej piękności i bogactwa, a jeszcze wówczas kawaler. Ojciec jego Józef Pruszyński, niegdyś rotmistrz kawaleryi narodowej, co znaczyło rangę generała, kawaler orderu Ś. Stanisława, posiadał w naszym powiecie Zwiąhelskim Czartoryę Starą i Nową, Korostki i jakieś osady po leśnych obszarach; ożeniony był z posażną Kordyszówną, z którą mając pięć córek i jedynego syna Karola, nietylko żył z nią w separacyi, lecz i w ohydny procesie, do którego z hańbą swoją wpływał pan Karol, przychylny dla ojca, z niepoczciwemi przeciw matce zarzutami. Moje z nim zajście nastąpiło z takiego powodu:

Staruszek Francuz de Mousseau, mieszkający w Romanowie, wuj pani senatorowej Ilińskiej (senator bowiem, rozwiódłszy się z pierwszą swoją żoną Komorowską z domu, siostrą owej Komorowskiej, która nieszczęsnym losem swoim dała przedmiot do poezyi Malczewskiemu p. t. „Marya,“ ożenił się powtórnie z wdową, panią de Craque, rodem francuską), owóż ten jej wuj polubił mnie i przysłał mi na pamiątkę trzy tomy wyborowych poezyj, tłómaczonych na jego język z angielskiego, Aleksandra Pope.

Zaledwie je otrzymałem, jeszcze nieoprawne, a na wet z kartkami nierozciętemi, wypadło mi jechać do Żytomierza w pilnym interesie ojca. Podpisałem się na tych trzech książkach, jako do mnie należących, i wzięłem je z sobą, aby w podróży tej czytać. Przybywszy do Żytomierza, wyszedłem natychmiast na miasto, a mój Kowalski uporządkował się na stancyi, położył owe książki na stoliku przy łóżku i wyszedłszy przed sień, zagapił się nad widokiem ludnej ulicy. Wtem Ka ol Pruszyński, który go znał u mnie lokajem, zbliża się i zapytuje, czy jestem na stancyi, a nie zważając na to, że mnie nie zastał, wchodzi do izby, przegląda moje książki i zabiera je z sobą, mówiąc: — Powiedz swemu panu, że ja dziś przejrzę tylko te książki, a jutro je oddam.—Kowalski, znając dobre nasze stosunki, zezwolił na to. Nazajutrz spotykam się z Karolem; przeprasza mnie, że nie oddaje jeszcze owych poezyj, lecz że za dwa dni odda niezawodnie. Minęły owe dwa dni i wyjechałem do domu, nie odebrawszy moich książek.

Po upływie kilku tygodni przybywam znów do Żytomierza; spotykam na ulicy Pruszyńskiego. Po przywitaniu zapytuję go:—A moją książkę?—Dziś odniosę je ci z podziękowaniem, bo też śliczne to są poezye!—Nie przyniósł ich przecież, chociaż wiedział, gdzie mieszkam. W dwa dni potem dostrzegam go zdaleka wprost mnie idącego; lecz skoro mnie spostrzegł, wnet skierował się w boczną ulicę i to tak przyśpieszonym krokiem, że napróżno chciałbym go dopędzić. Pomyślałem sobie: nie darmo on mnie unika, już moje książki przepadły.

Tegoż dnia wieczorem byłem z wizytą u marszałka gubernialnego, Mańskiego. Nie zastałem z gości nikogo; ale gdy przy podanych fajkach gawędziliśmy, wchodzi elegant wyperfumowany Karol Pruszyński, i gdy usiadł przy mnie na kanapie, ja po niejakiem czasie najgrzeczniej, nawet z uśmiechem zapytuję go pocichu, kiedy też oddasz mi moje książ-

— A on z naciskiem, z wyraźną złością, odpowiedział mi:— Milcz! ja ci zapłacę za te książki!— Silnie mnie to oburzyło; a więc odrzekłem mu na ucho:— Zatrzymaj przy sobie swoje pieniądze, bez których nicbyś nie mógł żyć, a moich książek, jeśli jutro o godzinie dziesiętej rano nie oddasz mi, to publicznie nazwę cię łodzie. — Jak oparzony zerwał się, pożegnał Mańkę i wyszedł.

Niezdługo zjawia się lokaj miejscowy i oznajmia mi, że jakiś pan, tu na ulicy, wzywa mnie na imię. Domyślałem się, że to on. Żegnając gospodarza i z laską w ręku wyszedłszy, stanąłem przed drzwiami na ulicy. Lubo noc już ciemna, widzę zecież Pruszyńskiego i zapytuję go:—Czego pan żąda jeszcze odemnie? — Chcę się dowiedzieć, gdzie pan mieszka i czy jutro rano o ómej godzinie będzie pan w domu? — Dałem mu informację o moim mieszkaniu i że o naznaczonej godzinie czekać o będę u siebie. On odszedł, a ja w przeciwną puściłem się stronę, ażeby wstąpić do życzliwego dla mnie Wincentego Karwickiego, którego brat starszy, Stanisław, mój dobry znajomy, mieszkał w Karpowicach i wówczas był także w Żytomierzu. Przewidując, że Pruszyński, mocno dotknięty, wyzwie mnie na pojedynek, opowiedziałem Karwickiemu moje zatargi z deputatem i uprosiłem go, ażeby na wypadek wywołania był moim sekundantem, zastrzegając tylko, że rozprawa nasza ma być na pistolety; a dostrzegłszy u stoliku przy jego łóżku najwyborniejsze kuchennejterowskie, zamówiłem je sobie na jutro. Przespały noc spokojnie, czekam owej ósmej godziny. Nadchodzi do mnie Stanisław Karwicki. Po przywitaniu mówi, że z przykrością spełnia obowiązek honorowy, złożony na niego przez Karola Pruszyńskiego... A ja u przerywam zapytaniem: — Czy przywoziłeś od niego moje książki? — Nie dał mi żadnych. — To pozwoli, abyśmy zajrzeli do zegarka. — Patrz, już wpół do dziewiątej; a ja powiedziałem dość stanowczo pa

nu Pruszyńskiemu na jego uwłaczające mi słowa jeśli dziś rano o ósmej nie odda mi moich ksiąg to nazwę go łajdakiem. Przebacz mi to!—Ależ luj się, o taką bagatelę życie ryzykować!—Kiedy mnie mocno obraził głupią impozycją bogactwa: go, chcąc mnie zbyć pieniędzmi, a nadto zbyt niosłym tonem przemawiając do mnie.

Krótko z tem skończę: Przewidywałem, że r wyzwie, przeto proszę cię, ażebyś o czasie i mie mojej rozprawy z panem Pruszyńskim raczył pociąć z bratem swoim Wincentym, który przyrzekł moim sekundantem. — Widocznie spostrzegłem z szanie się Stanisława Karwickiego ztąd, że mnie dzi niezachwianego, a może i dlatego, że z bratem jego wplątał się do tej sprawy. Pożegnał i odjechał z niczem. Pruszyński pewnie myślał ja, zastraszonego pojedyńkiem, gotów będę przez sel danta przeproszać go. Czekam daremnie, nie wyjdąc z mieszkania przez dzień cały. Nazajutrz i udaję się do Wincentego Karwickiego. Żyd, u którego on miał stancję, powiedział mi, że ten pan chciał wczoraj przed południem z bratem swoim Karpowiczem. Waham się, co mam robić? Czekam jednak do wieczora. Na trzeci dzień uderzam do pułki mego Eligiego Piotrowskiego, który był w czasie deputatem departamentu cywilnego. Opowiadam mu cały wypadek i szukam jego rady. Nie chcę wiem odjeżdżać, ażeby Pruszyński nie rozgłosił, kobym ja zemknął, ale obok tego przedstawiłem konieczną potrzebę powrotu do domu. Pocziwy i do swej śmierci zacny przyjaciel, liczne w gubernii miał stosunki, a wówczas właśnie dla jakiegoś rządowego był tam zjazd marszałków i kilku znamienskich obywateli; wysłuchawszy przeto mojej sprawy, tak doradził: — Zaczekaj do jutra. Ja dziś wieczorem zbiorę u siebie sąd honorowy, który wskazy jak masz postąpić. — Jakoż nazajutrz, gdy zrana leżałem u niego, uspokoił mnie tem: — Karwicz obac

omknęli, bo Stanisław czuł pewnie brak słuszności ze strony fanfaronu Pruszyńskiego. Zdecydowano, żebyś bezpiecznie wracał do domu, a Gracyan Lenkiewicz bierze na siebie załatwić zakończenie zatar-
 tu.—Wracam spokojny do domu.

Po dwóch dniach, gdy wieczorem sam na sam z kochanym ojcem gramy w rumel-pikietę, wchodzi do mnie posłaniec z Żytomierza, z paczką w ręku. Na krześle poznałem rękę zacnej duszy Eligiego; przy przeglądnięciu książek w paczce znajduję list jego. Pisze mi, że Pruszyński, dobrze przyparty, ze wstydem przyznał się do winy przed Lenkiewiczem, że moje książki darował był pannie Chinczównie (którą, mówiąc w nawiasie, bałamucił); a przeto, że odebrane od niej książki zwraca i zrzeka się w tej sprawie jakiejś bądź honorowej sa'vsfakcyi. Podpis mój na książkach znalazłem podskrobany. Zataiłem przed ojcem moim zajście z Pruszyńskim, ale w następnym 1814 roku na wyborach, wyjaśniło się to przed nim, lecz jakim sposobem, nadmienię pod tą datą.

Raz będąc w Wołczyńcu, żadnych nie zastałem miłości, a panny zajęte były dobroczynnym uczynkiem, kłusowaniem szarpi dla szpitali. Gdy po obiedzie wyszły na chwilę z salonu, podkomorzyna, pozostawszy mnie, zapytała:—Czy wiesz z czego te szarpie robią robaczek?—Nie zgadnę, rzekłem.—Ona bierze trochę strzępów z miejsca, przy którym Józia siedziała, i oddaje do rąk moich i uśmiechnięta, rzecze:—Weź to sobie pamiątkę, bo to z jej koszulki. — O! z jakimże niesieniem radości ucałowałem i jej rękę i tę szczyptę szarpi. Zachowały się dotąd ślady laku w sztamachu moim, gdzie pomiędzy sklejonemi jego kartkami tę drogą pamiątkę chowałem. Wówczas to w tej czerwonej mojej księdze panna Teofila, niby mi przychyliwa, raczyła jakieś francuskie wiersze napisać, z jej zapewne rady i wyboru, kazała Józii z jakiegoś autora francuskiego wpisać wierszyk o zaletach przyjaźni z potępieniem uczuć niestałej miłości. Mam

to wszystko w tym moim sztambuchu od lat :
dziesięciu.

Bawiąc tam wtenczas przez dwa dni, na-
niłem, jak łatwo z czarnego marmuru dają się
rżynać pieczętki z jakiembądź godłem lub też :
pisem wkoło i że taką udało mi się zrobić dla
jej siostry. Panny Zaleskie, jedna po drugiej, pi-
o takie pieczętki i podały myśl do nich. Najst-
panna Tekla, wyrysowała sosnę z napisem: *Le*
ne me change pas; młodsza Teofila, drzewo ze-
otoczone żywym powojem, z napisem: *Mém*

Même sa mort ne m'en séparé pas; Józia
działa nad nieskończonym jeszcze rysunkiem bu-
pansetek, a napis już był gotowy: *A, qui les*
naître. Jej ćwiarteczka z rysunkiem leżała prze-
na stołiku, ciągle coś poprawiała w pansetkach;
strzegłem, że często ust swoich dotyka ołów-
A więc proszę ją, aby i mnie dozwoliła doda-
dwa listki; biorę jej ołówek. O! młodości! po-
mi uleciała tak prędko! Kładę go do ust moich
łem w rajul! Z tym ołówkiem żal mi się poze-
Ona mnie ocknęła: „Niech pan rysuje, bo je-
mam coś dodać.“ I zaledwie wzięła go w-
znów ust dotyka... W lat 50 potem nadmie-
o tym pocałunku ołówkowym w wierszu p. t.
pamiętywanie starca“, który tu przywodzę:

I.

Ona! ten anioł! już w grobie!
Grób otwarto na kobiercu!
Bo przysięgła przeciw sobie,
Bo był ktoś inny w jej sercu!...

II.

Ona! ten anioł! już w grobie!
A czas mych uczuć nie zmienia:
Bóg dozwolił, by po sobie
Złaza mi wieczne wspomnienia!

III.

Na dobry dzień w każdy raneek,
 Jej rzut oka dotąd pieszczę,
 A z wieczornych pogadanek,
 Każdy jej wyraz tkwi jeszcze.

IV.

Raz usiadłem przy stoliku,
 Gdzie kreśliła sobie kwiatek;
 I koleją, a bez liku,
 Kładziemy listki w dodatek.

V

Pali wzmianka!... sekret święty!...
 Usta dziś na to niemieją!...
 Jej ołówek w ustach tknięty,
 Latał do moich koleją!...

VI.

Pół wieku już będzie temu,
 Dzieli nas kamień grobowy;
 A ogniem jest sercu memu
 Pocałunek ołówkowy!

VII.

Pięćdziesiąty rok upływa,
 Jam się otoczył wnukami;
 A ona dziś jakby żywa,
 Czulem wejrzeniem w snach mamil...

Wpisując te wierszyki, żal mnie mocny prze-
 żał do ludzi, którzy tak niegodnie sponiewierali
 moją młodość. Wierzę w nieśmiertelność duszy,
 d pewny jestem, że ich dręczy dziś wspomnienie
 , jaki ona za ich sprawą przetrwała na ziemi;
 zy ich może i boleść moja nad nią. Był potem
 / odwet, najniewinniej przezemnie sprawiony, ale
 m w porze właściwej nadmienię.

Aby przerwać tak smutne marzenia, przejdę do wesołych krotchwilek z moich lat wiosennych. Nie pomnę, kto mnie nauczył kabały, która nie tylko mocno zajmowała, ale nawet ściągała podziw i nieuków i uczonych. Mówiono mi, że tą kabałą rozciekawia niegdyś Tadeusza Czackiego przyjaciel jego, obywał gubernii kijowskiej, p. Szymanowski. Córka jego marszałkowa Rościszewska, Szymanowska z domu jako naoczny świadek usilnej a daremnej prośby Czackiego, aby mu jej ojciec odkrył tajemnicę, mówiła mi o tem. Każdy z rozsądnych żartuje z odgadnięciem przyszłości przez jakąbądź kabałę. Z tego wszystkiem Marya Lenormand cieszyła się sławą et ropejską: dwory monarsze udawały się do niej. Ona w czasie najwyższej potęgi Napoleona I przepowiedziała rychły jego upadek, a tryumf legitymistów. Zdaje się, iż najsluszniej wypada przypuścić, że i wróżka była jasnowidząca. Ale z pospolitych kabał ilstek lubo żartujemy, przecież nie można zaprzeczyć że pociąg do badań o przyszłość, choćby z kombinacyi politycznych, jest nam wrodzoną słabością. Nie podobniemy z tego względu do zwierząt domowych które spokojnie się tuczą wcale nie ciekawe, cznie pod nóż rzeźnika. Moja kabała ma pozór mistycyzmu. Ktoś ciekawy układa sobie abecadło z rozmaitych znaków, temi podaje pytania jemu tylko wiadome, a ja, nie znając znaczenia tych hieroglifów zasiadam nad niemi, z kombinacyi ich pomiędzy sobą, wyprowadzam rachunek algebraiczny i pod mojem piórem w oczach otaczających mnie składa się temiz znakami niewiadoma dla mnie odpowiedź. Jedyne tylko daję zastrzeżenie, aby w miejscu jakiegobądź znaków, nie pisać numerów, bo niektóre liczby mogą tam wejść z rachunku w miejscu liter, jakicnie ma w zapytaniu, a w odpowiedzi, jeśli między hieroglifami znajdzie się jaki numer, ten oznaczać będzie literę, jaka w zwykłym jest porządku alfabetycznym, jako to: 3 znaczy literę *c*; 4 literę *d* i t.

Pierwszą zrobiłem próbę mojej biegłości w tej mistycznej kabale roku 1812, będąc z Kazimierzem Budzyńskim w Staszówce u jego szwagra, czcigodnego Seweryna Bukara, który miał dwóch synów, a żadnej jeszcze córki, i tej bardzo sobie życzył. Zastaliśmy tam dla spodziewanej potrzeby akuszerkę znaną w całej okolicy, panią Kurczmińską z Lubaru. Wieczorem w familijnem kółku i ona swoje zajmowała miejsce, jako w dniach oczekiwania gość wysokiego znaczenia. Bukar wśród rozmowy ze mną zapytał: „Czy to prawda, że tobie znana jest tajemnica hieroglificznej kabały, o której, w wojsku jeszcze będąc, słyszałem?” Prawda, że tajemnicę odkryto mi, ale wyznam ci, że sił swoich na to nie doświadczałem. „Spróbuj proszę! ja pójdę do mojej kancelaryi dla ułożenia alfabetu.” Niebawem wrócił z zapytaniem. Wobec wszystkich zrobiłem mój rachunek i na niewiadome zapytanie dałem odpowiedź. Gdy ją wziął do rąk, wówczas nam powiedział: „Kwestyę podałem w pani Kurczmińskiej: jakiego nam gościa przyniesie?” „Ah! — zawołała — toż to rzecz ciekawa! Ależ to Bogu tylko wiadomo!” Bukar dobywa z zanadru swój alfabet, aby dojść, jaka jest odpowiedź, i potem głośno rad nadzwyczaj czytał:

Czego nigdy nie zgadła akuszerka żadna,
Kabala przepowiada: będzie córka ładna!

Ucieszyła wszystkich ta wyrocznia; lecz nazajutrz, gdy istotnie Bóg im dał upragnioną córkę, Kurczmińska przyznawała mi duch wieszczcy i taką wiarę pokładała w mej kabale, że podwakroć nasyłała mi w interesach swoich badania, na które odpisywałem, że wieszczcy mój duch zasnął. Klotylda Bukarówna była istotnie ładną brunetką. Wyszła za Władysława Bernatowicza i dwa lata temu, jak mieszkając na Podolu około Baru, tam życie skończyła.

Zbiórę z pamięci, o ile w niej zatrzymała się, tryumfy mojej kabały i z późniejszej daty. Gdy od pierwszych dni stycznia 1820 przez trzy lata ciągle mieszkalem w Krzemieńcu, w tym natenczas *petit Paris*, byłem raz w towarzystwie samych kobiet, gdzie obok poważnych matron, były też ozdoby i pociechy rodu ludzkiego z rozwitemi powaby przy darach serca i umysłu. Pomiedzy tym kwiatem najwięcej jaśniała panna A. K. Lecz dla mnie, powagą urzędu zaszczyconego, były to marne przynęty; serce, raz doznawszy zawodu, było jakby martwe. Do miasta przybyła jakaś wiekowa z za granicy Niemka, która udając Sybillę, znaczne osiągała korzyści. Ztąd jedna z dam starszych wspomniała o słyszanej kiedyś hieroglificznej kabale, jako o sztuce mało komu znanej i dziś pono już zatraconej. Na to ważyłem odezwać się: Rzecz budząca ciekawość ludzką, czasem jakby pożyteczna, przechodzi w następne pokolenia, i dlatego nie da się zatracić; ja sam w młodszym latach udawałem kapłana tej sztuki. Wnet wszystkie razem zaczęły tak silnie nalegać, żem odmówić nie mógł. Pannę A. K. wezwano do ułożenia alfabetu, która w drugim pokoju rysując rozmaite hieroglify, tam pisała niemi pytanie, którego ani się mógł domyślić w towarzystwie dam niedawno mówiących o ostatnim balu i strojach. Wraca panna A. K. z ułożonem już zapytaniem i prosi, aby wolno jej było patrzeć na moje algebraiczne działanie. Chętnie zezwoliłem na to. Usiedliśmy za stolikiem naprzeciw siebie. I nie więcej, jak w pięć minut, odpowiedź była gotową, a do rąk panny A. K. oddałem ją. Wówczas jedna z dam odezwała się: „Gdy pan już nam odpowiedziałeś, przeto możemy odkryć zapytanie, którego po kobietach, bzdurzących o balu i strojach, pewnie spodziewać się nie mogłeś. Oto byłyśmy ciekawe dowiedzieć się, jakie będzie powodzenie zamierzonej wojny z Turcyą o wyswobodzenie Grecyi.” Ja równie ciekawy jestem odpowiedzi

kwesty, rzekłem, zajmującej dziś całą Europę. mczasem panna A. K. dobyła z za gorsu swój al-et i wyszła znów do drugiego pokoju, aby tam notnie bez żadnej przeszkody odcyfrować moją oowiedź, jej własnymi znakami napisaną. Długo i zatrzymała się, a towarzystwo szczebiotliwe zanniało i o niej, i o mojej kabale. Nakoniec wra-i i nic nikomu nie mówiąc, cichutko miejsce swoje iada. Nieprędko pani marszałkowa S., z którą i tam przybyła, ocknąwszy towarzystwo z zapo-ienia, odezwała się: „Antosiu! Jakaż jest odpo-dź?” Omyłka zająć musiała w rachunkach, bo odpowiedzi nikt nie zrozumie. I mówiąc to, mo-się rumieniła. A więc wszystkie razem nalega-aby im oddała moją wyrocznię. Pani S., po-tawszy, gwałtem odebrała ją od niej i czyta:

Potężna północ z zachodem,
Święte przymierze stanowi,
Z niewiernym walczyć narodem,
I wrócić wolność wschodowi.

Tam tyranów dotknie kara,
Tu miłości niepokoję;
Jedną wojnę wznieci wiara,
A drugą spojrzenie twoje.

Nie dbałem o to zupełnie, jakie z tej odpowie-nioski roić sobie będzie panna Antonina K. ecni w tem towarzystwie; Bogiem tylko świadczę że do serca tej panny wcale nie pukałem. A co d wynikło, powiem pod rokiem 1840, jeśli dożyję. starość dopiero poznałem tę prawdę, że człowiek, lny jeszcze zająć kobietę, nie powinien żartować łrażliwością nerwów młodzietkiej panienki.

Później, gdym mieszkał na Podolu we wsi szelówce, trzymanej za kontraktem arendowym gubernatora Giżyckiego, przybyłem odwiedzić ko-nego ojca; przy mnie nadjechał do niego mój

bardzo zycyliwy Seweryn Bukar w jednej karecie z wdową panią S., przybyła z Galicyi, a krewną Budzyńskich, która, objeżdżając domy familijne, zaczęła tę pielgrzymkę od wdowca Bukara, któremu niedawno żona, Budzyńska z domu, umarła. Pani S., pomimo swoich lat 56, dosyć na zdrowiu czerstwa i rumiana, a jak starzy mówili, że lat temu 30 głośną była pięknoscia, teraz bardzo widoczną objawiała skłonność do powtórzenia z wdowcem Bukarem matrymonialnych związków. Po dwóch dniach od czasu ich przybycia do mojego ojca, Bukar opowiedział przed nią, jak niegdyś kabała moja trafnie przepowiedziała mu córkę. Pani S. z najśladzszem przymileniem uprosiła mnie, abym na jej zapytanie raczył dać wyrachowaną odpowiedź. Zasiadła sama do ulżenia alfabetu pewnemi, jej tylko wiadomemi znakami, i waha się jeszcze, jak ma powierzyć najdroższemu sercu tajemnicę. Bukar, dostrzegłszy to, upewnił ją, że nie mając jej alfabetu, nikt nie przeczyta zapytania, że nakoniec można w zapytaniu pomieścić taki ogólnik, z którego nie objawi się tajna myśl pani: „A więc dobrze, pójdę za radą pana.“ I oto na jej zapytanie odpowiedź:

Na wschód przy domku posadz dwie żółędzie;
 Za lat trzydzieści dwa dębczaki będzie.
 Pierwszego lipca, o wieczornej dobie,
 W cieniu tych drzewek siądz i dumaj sobie.
 Gdy snem najśladzszym sklei się powieka,
 Sen ci opowie, jaki cię los czeka.

„O niegodziwa kabała!—zawołała pani S.—Ja badam, czego mam się spodziewać teraz w moich zamysłach, a ona mi na to przyrzeka odpowiedź w śnie i to po latach trzydziestu. Gdybym nawet dożyła tej starości, to bez łaski kabały wiedzieć będę, że grób mnie tylko czeka.“ Mój ojciec, Bukar i moje siostry, słowem wszyscy, nie mogliśmy powstrzymać serdecznego śmiechu.

W lat dwadzieścia potem, bawiąc w roku 1843 dni kilka w Żytomierzu, bywałem na wieczorach u marszałka gubernialnego, który z żoną tam mieszkał. Raz tam zastałem dość liczne towarzystwo, gdzie znajdowała się siostra gospodarza, wdowa marszałkowa Z. z dwiema pięknymi córkami i z synem lat młodzieńczych, którego nazajutrz miała wyprawić do stolicy, gdzie miał być umieszczony w korpusie paziów. Ta wdowa z powiatu owruckiego nie była mi znaną, równie jak i jej dzieci, a nawet nie wiedziałem, że ona ma i trzecią córkę imieniem Hermię, która wówczas bawiła w domu familijnym. Owymi dniami przybyła też do Żytomierza wróżka, rodem z Anglii, mówiąca po francusku, którą i ja w towarzystwie dwóch innych byłem ciekawy poznać. A gdy u marszałka mówiono o niej, przywiódłem balamuctwo jej odpowiedzi na zapytanie, rzucione dla próby: jaka była najstraszniejsza chwila w życiu mojem? Ona, spojrzawszy na czerwoną wstążeczkę w butonierce mojej, co ją wprowadziło w mniemanie, że mam krzyż legii honorowej, a potem, wpatrzywszy się w horoskopy, leżące przed nią, jakby mapa obrotu ciał niebieskich, rzekła mi tonem powagi: „Dzień najstraszniejszy dla pana był pod Lipskiem, kiedy wasz książe Józef tonął.” Śmieliśmy się z Angielki, a obecna na tym wieczorze panna Kondracka, dobrze mi znajoma, bo jej rodzice byli sąsiadami mojego ojca, odezwała się na to: „Kabała pana daleko jest trafniejszą, jak mi opowiadały siostry jego o danej odpowiedzi wdowie pani S.” Tu pani marszałkowa Z., którą teraz dopiero poznałem, z nieśmiałością prosi, abym wyrachował odpowiedź na jej tajemne zapytanie. Otoczyły mnie damy i sam gospodarz, tak usilnie nalegając, że trudno mi było odmówić. Wówczas to marszałkowa Rościszewska, Szymanowska z domu, opowiadała, że ojciec jej dziwił tą kabałą Tadeusza Czackiego, i lubo w przyjaźni żyli z sobą, nie chciał mu objawić tajemnicy tej

sztuki. Ja, lubo zajęty rachunkiem nad kwestję wdowy pani Z., otoczony przy stoliku damami, słyszę niektórych szepty o projektach podawania mi pitań. Unikając tej pracy rachunkowej, oddałem pani Z. odpowiedź, za którą wszyscy ciekawością zdję odeszli, a ja nieznacznie wymknąłem się z salonu nie czekając nawet na odcyfrowanie mojej odpowiedzi. Nazajutrz miałem odjechać do domu. Lecz z ledwim wypił kawę poranną, wchodzi do mnie ś. Józef Cieszkowski i rzecze: „Ach! co pan narobił swoją kabałą! Pani Z., odcyfrowawszy odpowiedź płakała.” Jakto? rzekłem, może smutna przepowiednia o synu, którego dziś ma wyprawić do stolicy. „Czyliż pan nie wiesz?” Zkądże mam wiedzieć, kiedy nie znam hieroglifów jej alfabetu? Słuchajże pani Ona zapytała, jaki los będzie jej trzeciej córki, Herminii, której tu niema. Odpowiedź pana przepisałem sobie, oto ona jest:

Człowiek swój los, jak pajak nić, wysnuwa z siebie.
 Drzewo szczęścia tu rośnie, a owoce w niebie;
 Lecz kwiat jego, bojaźnią Bożą wykarmiony,
 Da uczuć twej Hermince raj matki, raj żony!

Ta odpowiedź rozrzewniała matkę, a ja nie mogłem zataić uśmiechu, gdy ona, płacząc z radością powiedziała: „I jeszcze tak spieścił moją Herminę! W blizkiem sąsiedztwie moich rodziców, o dwóch wiorsty, we wsi Romanówce, mieszkał baron Bryman. Rozmaicie mówiono o jego pochodzeniu, szepotano nawet, że był synem bogatego w Warszawie blacharza. Staranne wychowanie, jakie tam odebrał w konwikcie u Teatynów, gdzie ścisłą zabrawał przez jaźń z synem jednego z magnatów i po skończonych naukach odbył z nim podróż po całej prawie Europie, dało mu swobodny przystęp do wyższego świata. Umiał też niepospolicie odgrywać rolę arystokraty, lubo fundusze jego w kapitale musiały być szczupłe. Senator hr. Iliński lubił go i pozwolił mu w m

jątku swoim, w Romanowie, mieszkać, gdzie przy pięknym ogrodzie z parkiem był dom dość wygodny. W sąsiedztwie wiedziiano, że on się kochał w siostrze senatora, wdowie Zabierzewskiej, która posiadając w Galicyi pięć wiosek, ciągle we Lwowie mieszkała. Brykman mógł się podobać, był bardzo przystojny, ujmujących obyczajów, a przytem biegły w kilku językach, posiadał talent uczonego przy fortepianie śpiewu. Na balach w Romanowie widywałem go zwykle w pąsowym mundurze maltańskim z orderem bawarskim na szyi. Za co ten znak zasługi mógł otrzymać, nie śmiał go nikt o to zapytać. Rzadko nawiedzał sąsiadów, lecz poważając mego ojca, dość często bywał u nas. Gdy raz na wiosnę w dzień pogodny przyszedłem do niego, rad, jak zawsze, przywitał mnie, lecz zaledwie zaczęliśmy rozmawiać, wszedł ogrodnik z zapytaniem, gdzie ma rozsadzić kwiaty, które mu z sąsiedztwa przysłano?

On daje na to polecenie, a w końcu rzecze: „Daruj mi, kochany Szymonie! On mi tam sympatyę popsuje; opuszczę cię na chwilę, ale się nie znużysz. Oto są dwa listy z rozmaity datą, które wczoraj wieczorem przywieziono m iz poczty w przedmiocie politycznym z za granicy; zabaw się tymczasem czytaniem ich, a pewnie cię zajmą”. To powiedziawszy, schwycił ze stolika jakąś ściwkę zapisaną, która przy wyjętych z kopert listach leżała, schował ją do kantorka i wyszedł z ogrodnikiem. Polityka z owych czasach była bardzo zajmująca, bo kiedyż ona była inną dla nas, karmionych zawsze nadzieją? Chwytam owe listy... zdziwiony, poznaję że one należą do mojego fachu. Uśmiechnąłem się, pomnąc na ową ściwkę tak skrętnie schowaną do kantorka. Był to pewnie klucz dla odczytania listu od kochanki, bo gdyby to było w rzeczy, kraj nasz interesującej, to powinien był zostawić mi ów tajemniczy alfabet. Jakoż rzuciwszy uwagę na początek jednego z listów, zaraz przekonałem się o pra-

wdzie mego domysłu. Data ze Lwowa, gdzie pani Zabierzevska mieszkała. Łatwo doszedłem od nici do kłębka. Oba listy tchnęły najżywszem uczuciem stęsknionej miłości. Zdaje się, że biedaczka wdowa miała wzór przed sobą w listach Nowoj Heloizy. Gdy byłem ku końcowi drugiego listu, nadchodzi z ogrodu Brykman, widzi mój uśmiech nad tym listem i pyta: „A prawda, żeś się ubawił?” — Dziękuję ci za twoją ufność we mnie — rzekłem mu — i bądź spokojny: tajemnicy przed nikim nie wydam. — „Oho! już jakieś domysły!” — Abym cię przekonał, że nie domysły tylko, to będę głośno ten śliczny list deklamował. — I zacząłem mu go czytać. Wyrywa mi z rąk tę korespondencyę i biegnie do kantorka zająrzeć, czy tam klucz schował, a znalazłszy tam schowaną ćwiartkę, zbliża się do mnie zdziwiony i woła: „Szymonie! powiedz mi, czy ty masz dyabła przy sobie?” — Nie dyabła — przerywam — ale przyjaźń dla ciebie, która nakazuje cię ostrzedz, że wszystkie podobne hieroglify dają się łatwo rozwiązać. Ja ci wskażę pewniejszy sposób tajnej korespondencyi. Oto weź dwie ćwiartki papieru tej wielkości, jakie są używane zwykle do listów, połóż jedną na drugiej; poliniuj wierzchnią i w rozmaitych odstępach na tych liniach powyrzynaj szczyrykiem dziurki, tak, aby obie ćwiartki zarówno były podziurawione. Jedną z nich zostaw u siebie, a drugą jej odeślij. Gdy będziesz miał pisać do niej, połóż na listowym papierze ową podziurawioną ćwiartkę i w każdej dziurce pisz zwykle litery, gdy skończysz swój list, zdejm dziurawą ćwiartkę i pomiędzy napisane przez dziurki litery, pododawaj teże wielkości i tem samem piórem jakie zechcesz litery tegoż pospolitego alfabetu i daj to czytać najbiegłyszemu w dociekaniu tajemnic, a pewnie, choćby miał dyabła przy sobie, nic nie wyczyta. Osoba zaś, do której list zaadresujesz, odebrawszy go, połóż na nim swoją dziurawą ćwiartkę: przestanki pomiędzy dziurkami zasło-

nią dla niej niepotrzebne litery jakie po napisaniu listu dodałeś a przez dziurki czytać będzie twój cały list. Na to rzucił mi się w objęcia i serdecznie uściskał. — „O! jakże ci wdzięczny jestem za tę informację! Mam do niej pisać, a więc proszę, nie traćmy czasu, zróbmy zaraz owe dziurki w dwóch ćwiartkach, jedną z nich dla niej przyłaczę do mojego listu. Ale ktoż cię nauczył odcyfrowywać rozmaite znaki w miejscu liter i używać do tajnej korespondencji tych dziurawych kartek?” — Tobie powiem, lecz z warunkiem, abyś tego nikomu nie objawił, bo ten, co mnie nauczył, prosił, aby nie rozgłaszać, że on umie odcyfrowywać tajne korespondencje; nie wiem, czy go znasz: jest to szambelan, poczciwy Zwierzchowski. — „O! znam go! jego córki kształciły się w Puławach pod okiem Księżnej Generałowej Ziemi Podolskich.” I natychmiast wzięliśmy się do dziurawienia dwóch ćwiartek po liniach zrobionych ołówkiem na położonej zwierzchu, czyli raczej ja sam wzięłem się do tej roboty, aby szczęściu dwojga kochanków czemkolwiek dopomóc. Ale we własnych szalach miłosnych znikąd nie miałem pomocy i wsparcia.

Będąc w Wołyńcu, przywiozłem pannom marmurowe pieczętki, dość szczęśliwie przezemie wypracowane, z podanemi na to godłami i napisem. Wówczas, wieczorem, będąc sam na sam z panną Bierzyńską przy fortepianie, oddałem jej moje tłumaczenie wierszem Pigmaliona z Jana Jakóba Rousseau z dedykacją do niej. Skryła natychmiast zarumieniona mój zeszyt wewnątrz fortepianu, zdało się jakby na to, aby która z ciotek nie dostrzegła go. Całe tłumaczenie moje zaginęło u mnie w brulionie, a w pamięci pozostał tylko wiersz do niej następujący:

Ty, coś wzniciła miłość bez nadziei,
Dla której ogniem dusza moja płonie!

Poznaj swe wdzięki w cudnej Galatei,
 A moje tylko serce w Pigmalionie!
 Tu ci wzór dają niebo mu łaskawsze:
 On ocknął kamień... tyś kamieniem zawszel

Może kto inny zwodniczym obrazem
 Łudząc niewinność, duszę twą porywa;
 Ach! łatwo znajdziesz połączone razem
 Wszystkie przymioty, na jakich mnie zbywa;
 Lecz wspomnisz kiedyś!.. W tych przymiotów tłumie,
 Nie będzie serca, co się kochać umiel..

Anielskie a biedne dziewczę sierota! Czegoż wymagałem po niej? Czyliż na dowód jej wzajemności mogłem oczekiwać, aby mi się rzuciła na szyję? O! ciemnoto moich lat młodych! Nie dość było ci cho poprzestać na wyłącznych dla mnie jej grzecznościach, gdy innym sześciu, równie jak ja młodym, ale darami natury i losu hojnie wyposażonym, dość jawną przy mnie okazywała obojętność? Wzdychał do niej bogaty Teodor Ryłski, Antoni Sobański, Sylwester Załęski, Franciszek Charleński, Paweł Abramowicz i Mikołaj Przytułski, z którymi tam raz niespodzianie zjechawszy się, patrzyłem na nią, jak Tantal śród wody, która przed nim umyka, ile razy chciał ją pragnienie ugasić. Ona wówczas, w takim towarzystwie nadskakujących jej, stojąc przy mnie we framudze okna, przytłumionym swoim głosem zapytała: „Powiedz pan! dlaczego pomiędzy tak wesołymi pan jeden jesteś zawsze smutny?“ Z gorzkim uśmiechem powiedziałem jej:— Bom ja tu jeden tylko niepewny siebie! bo ja tylko jeden widzę jasno, jak mi daleko do serca pani!— „Pan zawsze w tym względzie mylisz się: wszyscy tu panu sprzyjamy“. I jakby także zasmucona, spuściła oczy i cichutko westchnęła.

W roku 1814 w czerwcu, ciotka moja, Eudzyńska z Wygnanki, umyśliła być w Berdyczowie na onufrejskim jarmarku i wzięła z sobą dla towarzysztwa moja młodszą siostrę Katarzynę. Tam będąc

w teatrze, ujrzała w łoży obok swojej panią podkomorzynę Zaleską z panpami. Jako znajome sobie, powitały się starszki i nazajutrz pani Zalewska, pragnąca najbliższych z tym domem stosunków, a to dla Teofli, w której Kazimierz, lubo zawsze ostrożnie, gustował, wizytowała panią Budzyńską na jej kwaterze. Siostra moja po raz pierwszy z tem całym towarzystwem zabrała znajomość. Bierzyńska objawiła jej naprzód swój domysł, z pierwszego na nią spojrzenia w teatrze, iż ona niezawodnie jest moją siostrą, a to z wielkiego do mnie podobieństwa. Nasze z wiejskiem choćby najstaranniejszem, wychowaniem panny, mają dusze prawie na dłoni i jeśli tylko objawi się wzajemna sympatya, dość na to godziny, aby się spoufaliły. Odszedłszy na stronę, rade obie rozmawiały z sobą i w ciągu rozmowy, dobra Józia po dwakroć całowała ją, powtarzając cicho: „Ach, jak ty jesteś podobna do brata“. Kobiety ten swój język zawsze dobrze rozumieją. Moja siostra, korzystając z tej chwili, powiedziała jej: „Ja nigdy nie miałam przyjemności widzieć cię, a już cię uwielbiałam od trzech lat z opowiadań brata mego, który, zawsze tobą zachwycony, słusznie cię nazywa aniołem!“ Tu znów powtarzały się uściski i serdeczne całowania, które położyły pieczęć trafnemu domysłowi mej siostry, że Bierzyńska najmocniej mi sprzyja. Po powrocie z Berdyczowa, opowiadała mi z tryumfem odgadnienie serca Józii. A siostra starsza odezwała się na to: „Ja mówiłam, że ona sercem mogła przyłgnąć do niego; ale powtarzam wam zawsze, iż boleję nad przyszłością ich obojga; bo familia, a mianowicie opiekun jej majątku, nie będzie zważał na pocziwą skłonność sieroty, i wydadzą ją za jakiegoś bogacza, jak gdyby w niej serca nie było“. To zdanie siostry mojej starszej było najtrafniejsze i jej przepowiednia sprawdziła się ku naszczęściu mojej drogiej Józii!

W tymże 1814 roku dnia 4 lipca, oprócz kre-

wnych i sąsiadów, zjechało się kilku obywateli tak na imieniny mojego ojca, jako też dla narady, kto ma być wybrany na gubernialnego marszałka. Mój ojciec listami do niektórych z rodziny mieszkających w powiecie Łuckim, Włodzimierskim i Rowieńskim, uprzedził już wprzód, że na ten urząd ma podać kandydata, który w zdarzeniu potrzeby gubernii może wpływami swemi dopomódz w stolicy. Powszechnie wiadano, że oskarżony Komburlej o rozmaite jego podwładnych nadużycia już nie będzie naszym gubernatorem, a przynajmniej tak wnioskowano. I rojono też sobie, że ten od korony urząd dostanie się generałowi Bartłomiejowi Giżyckiemu, który za urlopem siedział w swojej wsi Mołoczkach. Te wieści pewnie opierały się na tajnych o to staraniach, a po powiatach przechodziły z ust do ust, jakby niezawodne. Lecz gubernia chce Giżyckiego mieć wprzód marszałkiem gubernialnym; idzie tylko o dodanie mu kandydata, który wtenczas ma wejść w jego urząd, gdy on istotnie zostanie gubernatorem. Na tym u nas zjeździe ojciec zaproponował na kandydata starszego syna senatora Ilińskiego, pana hrabiego Henryka, który, jak w naszym powiecie umówiono się, ma być obrany na marszałka zwichelskiego. Skoro Giżycki zostanie gubernatorem, a Henryk Iliński, jako kandydat, zajmie jego miejsce, interesa gubernii ku naszemu dobru najzgodniej załatwiać się będą, bo Giżycki ożeniony jest z ciotką pana Henryka. Jeden z gości ozwał się: — „Ależ podobno ten młody pan hrabia, wychowany w stolicy przez Francuzów, nie umie, jak mi mówiono, i dwóch słów porządnie złożyć po polsku“. — Nie wierzcie temu — rzekł mój ojciec. — Poznacie go na wyborach; dobry on Polak, jak każdy z nas, co kontusz nosimy; a za jego uczciwość, ja ręczę. — O Giżyckim szepnął drugi: — „To generał rosyjski, przywykły, mospanie, trzymać w subordynacyi podkomendnych, czy uzna go Cesarz gubernatorem na miejscu Komourleja, jeszcze z pewnością nie

wiemy, lecz na gubernialnego marszałka czy nie będzie straszny? — Prawda — rzekł mój ojciec — że on ma żywy temperament, łatwo się oburza, ale wówczas tylko, kiedy jest dotknięty na honorze. Z żywości swego temperamentu złożył dowód w oczach moich przy obiedzie u senatora Ilińskiego, z którego siostrą on jest ożeniony. Senator miał stryja Jana, starostę cudnowieckiego i skarzynieckiego; te dwa starostwa były mu nadane od rzeczypospolitej prawem dożywotniem, zamiast pewnej sumy ich przodkowi należnej; oprócz tego pan starosta posiadał dziedzictwem tu blisko mnie wieś Romanówkę i w lasach klucz Kureński; co spadło, jako po bezdzietnym, na jedyne go synowca jego, senatora. Z tym nieboszczykiem starostą byłem w zażytych stosunkach i nieraz w lasach kureńskich, gdzie on dojeżdżał niekiedy ze Skarżyniec, polowaliśmy z sobą, do czego osobiście zwywał mnie tu, bywając u mnie. Był to człowiek zacny, nosił się po naszymu, ale do wyższego towarzystwa wcale nieusposobiony.

Co do mnie, przy zbliżających się w 1814 roku wyborach już wiedziałem z ust kochanego ojca, że życzy on sobie, abym jeszcze na trzy lata był obrany podsędkiem sądu ziemskiego. Lecz pomimo to, że ten dla mnie urząd był bolesną męką w miasteczku Zwiąhlu, pragnąłem wyrwać się z domu i zamieszkać jak najdalej od Wolczyńca, aby daremną nie ludzić się nadzieją.

Już miałem rok 24-ty. Po szatach stałej miłości przez lat cztery przyszła nakoniec rozwaga. Brat mój starszy, ś. p. Antoni, nie zważając na awagi ojcowskie, starał się uparcie o rękę najstarszej córki chorążego łuckiego, Rocha Teleżyńskiego, panny Ksawery. Teleżyński posiadał wprawdzie dwie piękne wioski, ale pojezuickie, z których opłacał corocznie do *kaznaczejstwa* dziewięć tysięcy złotych; i na to był syn i cztery córki, a w dodatku, wojna 1812 roku okropnie zniszczyła te wio-

ski, i dziedzic ich, z przyczyny podejrzeń o patryotyzm, ciężkie na mieniu swoim poniósł nieodzyskane straty; ztąd po córkach Teleżyńskiego, żaden prawie posażek nie był spodziewany. Rozmyślałem nad tem, że gdybym cudem jakim, nawet miał szczęście otrzymać rękę panny Bierzyńskiej, gdzież ją poprowadzę? W położeniu mojem, wypada na to wziąć jakąś dzierżawę; a kochanym rodzicom dość będzie kłopotu, gdy brat mój ożeni się z Teleżyńską i zapotrzebuje posesyi. Gotowość na to w domu naszym niepodobna dla dwóch razem żeniących się synów. Raz gdy matka z mojami siostrami wyjechała do Wyszczukus odwiedzić siostrę swoją wdowę Wiktoryę Budzyńską, a ja zostałem sam-na-sam z ojcem, który wieczorem bawiąc się ze mną ulubioną mu grą w rumla, przywodził mi zaślepienie mego brata Antoniego i żale na to, iż nie idzie za radą jego, aby w miejscu panny Ksawery, starał się o starszą córkę starosty o milę od nas, której ojciec, wdowiec podeszły, ma porządną wieś, a dwie tylko córki, na które spadnie wioska i po bezdzietnej staruszce stolnikowej ich ciotce; ta skarga jego, te ojcowskie żale tak mocno mnie przejęły, że mając w duszy stanowcze wyzwolenie się od drogich, lecz bolesnych kajdan, które mnie ciągnęły ku Bierzyńskiej, bez żadnego namysłu powiedziałem. — Jeśli połączenie się z tym domem, tak upragnione jest kochanemu ojcu, ja gotów jestem starać się o młodszą. — „Dobrze synu — rzekł mi — jeśli tylko masz skłonność ku niej; bo naprawdę rzekłszy, choć dobra dziewczyna, nie wykwinna i pięknie gra na fortepianie, ale nie jest ładna“. — Zamilkłem na to, a w myśli miałem to jedynie, że dogodzę kochanemu ojcu i przysięgą wierności wyzwolę się od nierozważnych marzeń o tamtej. Nazajutrz udałem się do pana starosty. Jako dobry sąsiad i przyjaciel mego ojca, powitał mnie najuprzejmiej. Bawiłem cały dzień. Może zdziwiłem pannę Salomeę, która z ojcem i siostrą często bywała u nas, a pierw-

szy raz dostrzegła moje głębokie wpatrywanie się w jej niebieskie oczy; one mnie wcale nie zachwycały, tylko ciekawie badałem w nich, jaka będzie moja z nią przyszłość? Na grzeczną prośbę gospodarza, przyjąłem tam nocleg. Bawiąc dzień cały, ani jednym słowem nie dałem jeszcze pojąć moich tam zamiarów; a tymczasem struny u fortepianu pękały od silnych a biegłych uderzeń śród kolejnych sonat, mazurów, uwertur i t. d. Po nich nieprędko zasnąłem: brzmiały one w uszach, a w sercu i w głowie zamęt, który dał się przywieść do ładu, gdy w duszy Bogu i sobie powiedział: — Poniosę tę ofiarę dla kochanego ojca, a w nagrodę, będę miał pokój umarłych!...

K O N I E C.

BIBLIOTEKA SZCZEPAŃSKICH

Nf _____

DOTYCHCZAS WYSZŁY:

Tom.

1. Juliusz Słowacki. **Powieści poetyckie**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 2, 3 i 4. Bolesławita. **Tufacze**, opowiadanie historyczne, z przedmową *Adama Pługa*.
5. Gustaw Le Bon. **Psychologia rozwoju narodów**, z przedmową *Juliana Ochrowicza*.
6. Eliza Orzeszkowa. **Trzy nowelle**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
7. Iwan Turgeniew. **Z zapisek myśliwego**, w przekładzie i z przedmową *Klemensa Junoszy*.
- 8, 9 i 10. Fryderyk hr. Skarbek. **Dzieje Księstwa Warszawskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
11. Wiktor Gomulicki. **Cudna Mieszczka**, obrazek warszawski, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
12. Jan Kochanowski. **Psalterz Dawidów**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
13. Jan Zacharyasiewicz. **Zakopane skarby**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 14 i 15. Bolesławita. **Czarna Perła**, powieść, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
16. Julian Mohort i Klemens Junosza. **Listy do przyszłej narzeczonej i Listy do cudzej żony**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
17. Teodor Jeske-Choiński. **Stłumione Iskry**, powieść, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
18. Juliusz Słowacki. **Poemata**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
19. Władysław Smoleński. **Szkoły historyczne w Polsce** (główne kierunki poglądów na przeszłość) studjum, z przedmową *Aleksandra Rembowskiego*.

Tom.

20. Maryan Gawalewicz. **Szkiecy i obrazki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
21. Piotr Chmielowski. **Liberalizm i obskurantyzm na Litwie i Rusi (1815—1825)**, z przedmową *Bronisława Chlebowskiego*.
- 22 i 23. Franciszek Wężyk. **Władystaw Łokietek**, powieść historyczna, z przedmową *Juliana Młohorta*.
24. Roman Plenkwicz. **Kształcenie młodzieży** (Nauczanie początkowe i średnie), z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
25. Zygmunt Krasiński. **Irydyon**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 26, 27, 28 i 29. F. Bernatowicz. **Pojata, córka Łozdejki**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
30. Julian Ochorowicz. **Wiedza tajemna w Egipcie i Istota bytu**, z przedmową *Ignacego Matuszewskiego*.
31. Klemens Junosza. **Na zgliszczach**, powieść wiejska, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
- 32 i 33. Anna Potocka. **Pamiętniki**, tłómaczyła J. A., z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
34. H. Lachambre i A. Machuron. **Wyprawa André'go balonem do bieguna**, w przekładzie M. O., z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 35 i 36. Berta baronowa Suttner. **Precz z orężem!** historia prawdziwa, obrobił Włodzimierz Trąmpczyński, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
37. Fryderyk hr. Skarbek. **Pamiętniki Seglasy**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 38 i 39. Fridtjof Nansen. **Podróż do bieguna północnego**, w przekładzie i z przedmową *Stanisława Janiszewskiego*.
- 40, 41, 42. Wiktor Hugo. **Rok dziewięćdziesiąty trzeci**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
43. Klementyna z Tańskich Hofmanowa. **Dziennik Franciszki Krasińskiej**, z przedmową *T. Jeske-Choińskiego*.
44. Wiktor Biernacki. **Nowe dziedziny widma**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
- 45 i 46. Hr. A. K. Tołstoj. **Książę Srebrny**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
47. Juliusz Słowacki. **Beniowski**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
- 48 i 49. Teodor Tomasz Jeż. **Szandor Kowacz**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
50. Adam Krechowicki. **Stella**.—**Tartówna**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
51. G. Kraemer. **Syberja i znaczenie wielkiej kolei Syberyjskiej**, w tłómacz. i z przedmową *Włodz. Trąmpczyńskiego*.
- 52, 53, 54, 58. **Dzieje Narodu Polskiego**, z przedmową *Władysława Smoleńskiego*.

Tom.

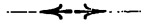
55. Adolf Dygasiński. **Wilki, psy i ludzie.** — W puszczy, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 - 56, 57. Marek Twain. **Przygody Huck'a**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
 59. **Pamiętniki Franciszka Karpińskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
 - 60, 61. J. I. Kraszewski. **Barani Kożuszek**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 62. Marya Rodziewiczówna. **Straszny Dziadunio**, z przedmową *Adama Pługa*.
 - 63, 64, 65. Ludwik Gallet. **Kapitan Czart.**—**Przygody Cyrana de Bergerac**, przekład Gomulickiego, z przedm. *Święcickiego*.
 - 66, 67. Oskar Mysin. **Berezyna**, w przekładzie i z przedmową *Włodzimierza Trąpczyńskiego*.
 68. Konstanty Rengarten. **Pieszko do Chin**, w przekładzie Henryka Wernica, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
 69. C. F. Gordon Cumming. **Życie w Chinach**, w przekładzie d-ra Wik. Wolskiego, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
 70. Michał Bałucki. **Przekłete pieniądze**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 - 71, 72. Ferdynand Hoesick. **Mitość w życiu Zyg. Kraslińskiego**, z przedmową *Piotra Chmielowskiego*.
 - 73, 74. Kajetan Kraszewski. **Bartochowski**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 - 75, 76, 77, 78, 79, 80. Cervantes. **Don Kiszot**, w przekładzie W. Zakrzewskiego, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
 81. Edmund Biernacki. **Istota i granice wiedzy lekarskiej**, z przedmową *Juliana Ochorowicza*.
 - 82, 83. Anna Neumanowa. **Obrazy z życia na Wschodzie**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
 84. Stanisław Grudziński. **Połpanek**, z przedmową *Teodora Jeske-Choińskiego*.
 - 85, 86. Teod. Tom. Jeż. **Nad rzekami Babilonu**. Powieść.
 87. Teodor Jeske-Choiński. **Historyczna powieść polska**. Studium krytyczno-literackie.
 88. Włodzimierz Zagórski. **Wybór poezyi**, z przedmową *Wiktora Gomulickiego*.
 89. **Pamiętniki Szymona Konopackiego**, z przedmową *J. A. Święcickiego*.
-



BIBLIOTEKA DZIEŁ WYBOROWYCH

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.



WARUNKI PRENUMERATY

we Lwowie i całym Państwie Austriackim

| | |
|-----------------------------|--------------|
| Rocznie . . (52 tomy) . . . | złr. 14 |
| Półrocznie. (26 tomów) . . | „ 7 |
| Kwartalnie (13 tomów) . . | „ 3 cent. 50 |
| Miesięcznie (4—5 tomów) „ | 1 „ 20 |

Cena każdego tomu 30 cent.

Główni współpracownicy

Dr. Piotr Chmielowski,
Teodor Jeske-Choiński,
Dr. Julian Ochorowicz,
Julian Adolf Świącicki.

WYDAWCY

Granowski i Sikorski.

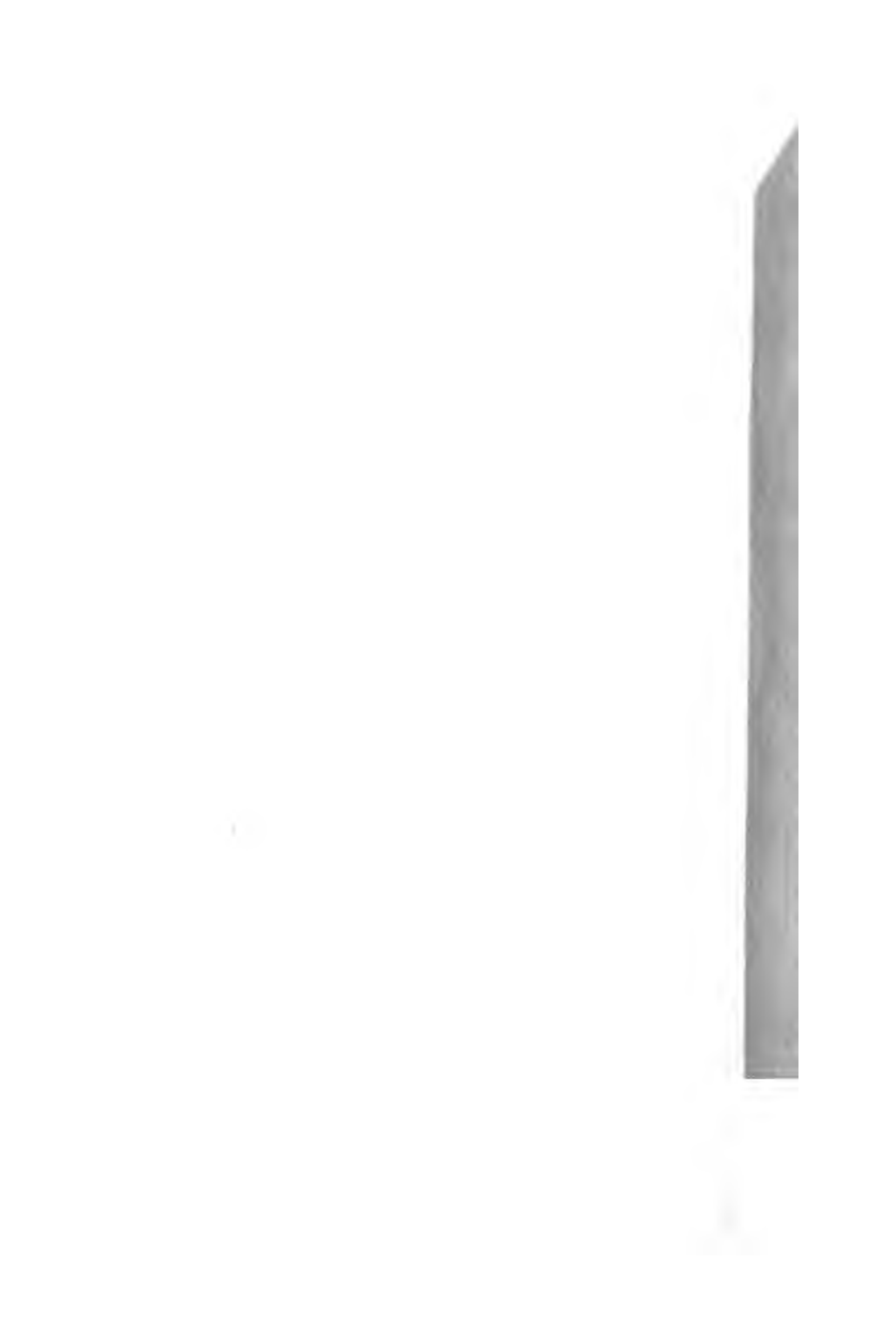
REDAKTOR

Franc. Jul. Granowski.



Redakcja i Administracja: Warszawa, Nowy-Świat 47.—Telefonu 564
Filie: w Łodzi ul. Piotrkowska № 92,—we Lwowie Plac Maryacki l. 4.

Drukarnia Granowskiego i Sikorskiego, Nowy-Świat 47.



Stanford University Libraries



3 6105 015 031 375

PG

715

K-5752

v.1

Stanford University Libraries
Stanford, California

Return this book on or before date due.

| | | |
|--|--|--|
| | | |
|--|--|--|

